

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/62

1952



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Hubert RIPKA:

O FEDERACJĘ POLSKO-CZESKĄ

Manès SPERBER:

O KILKU BŁĘDACH

Jan ULATOWSKI:

BUNT ROMANTYCZNY NIHILISTY

SPIS RZECZY :

Hubert Ripka:	<i>O federację polsko-czeską</i>	3
Aleksander Hertz:	<i>Po amerykańskich wyborach</i> ..	15
Manès Sperber:	<i>O kilku błędach</i>	33
Czesław Miłosz:	<i>Norwid</i>	38
Melchior Wańkowicz:	<i>Trzy pokolenia (dok.)</i>	41

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Nad grobem stonia ze „Sprawy Polskiej”</i>	83
Jerzy Prądyński:	<i>List z Niemiec</i>	90
Berlińczyk:	<i>Kronika niemiecka</i>	96
Beo:	<i>Kronika ukraińska</i>	103
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	105

SPRAWY KRAJOWE

P. Dunin:	<i>„Przechodnia wartości moralnych”</i>	109
Berlińczyk:	<i>Kronika krajowa</i>	117

KRONIKA KULTURALNA

Jan Ulatowski:	<i>Wystawy paryskie</i>	122
Krytyk:	<i>Chaplin jako Andersen filmu</i> ..	131

KSIAŻKI

Jan Ulatowski:	<i>Bunt romantyczny nihilisty</i>	137
Kaj:	<i>Przedpotopowy prorok</i>	144
„	<i>Messie</i>	148
Londyńczyk:	<i>Ludzie poza prawem</i>	149
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151

S. Mękowski, S. L. Lewicki, M. D. Adamski, Wł. Diamand, Z. Grabowski, J. Prądyński:

Listy do Redakcji

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1952

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Hubert RÍPKA, ur. w r. 1895 na Morawach; doktorat filozofii na uniwersytecie w Pradze. Redaktor „Narodni Osvození” (1925-1930). Do r. 1938 naczelny redaktor największego pisma czeskiego „Lidove Noviny”. Po Monachium wyemigrował do Francji, potem do Anglii. Członek Komitetu Narodowego Czeskiego w r. 1939 i minister stanu w londyńskim rządzie czeskim do r. 1945. Od r. 1945 aż do przewrotu komunistycznego w r. 1948 — minister Handlu Zagranicznego Republiki Czechosłowackiej. Od r. 1949 wykłada w New School of Social Research w New Yorku i jest członkiem Komitetu Wykonawczego Rady Wolnych Czechosłowaków w Waszyngtonie. Min. Ripka brał bardzo czynny udział w czasie wojny w toczących się w Londynie pertraktacjach nad federacją polsko-czeską.

Melchior WANKOWICZ, ur. w maj. rodzinnym Kalużyce Ihumeńskiego powiatu z. Mińskiej.

Wykształcenie: Matura gimn. Chrzanowskiego 1911. Dyplom Szkoły Nauk Politycznych na Wszechnicy Jagiell. w 1914. Magisterium prawa na Uniw. Warsz. 1922.

Praca społeczna: Założyciel i redaktor pism konspiracyjnych Sekcji Koronnej Mł. Narodowej „Wici” i „Dla Polski”, Sekretarz Generalny Petu (konspiracji tejże młodzieży) na Królestwo w 1910-11, założyciel i członek Komendy Naczelnej konspiracji Związek Broni w latach rewolucji w Rosji. Trzymiesięczne więzienie rosyjskie. Członek komendy Naczelnej Wschód P.O.W. w 1918, szef działu propagandy POW, założyciel i red. konsp. pisma „Sumienie”. Uczestnik zamachu na Niemców 21 maja 1918, ujawnia się na rozkaz władz P.O.W., sądzony sądem polowym.

Współpracownik pilsudczykowski „Rządu i Wojska”, korespondent n-dem. „Gazety Warszawskiej” na froncie lwowskim, uczestnik odzyskania Lwowa. W 1920 wysłany w misji na Litwę Kowieńską, w czasie najścia bolszewików żołnierz Robotniczego Batalionu Obrony Warszawy. Dwa Krzyże Walecznych.

Współzałożyciel „Straży Kresowej” w 1919, członek Komit. Wyk. i kierownik propagandy na Kresy wobec oczekiwanego plebiscytu. Zakłada i prowadzi 26 pism w sześciu językach, dwie drukarnie, jedenaście księgarni i liczne wydawnictwa książkowe.

Praca literacka: Poza dwicoma niedużymi książkami w 1921-1923, pracę jako pisarz podejmuje w 1935, kiedy wydaje w jednym dniu „Szczenięce Lata” i „Opierzona Rewolucja”, w 1936 ukazuje się „Smutek”, który jest polskim best-sellerem i którego 9 wydanie zdjęli z maszyn w Bydgoszczy wkraczający Niemcy. W roku 1937 „COP”, w roku 1939 sześćsetstronicową „Sztafetę” o pochodzie gospodarczym polskim.

W 1939 dwukrotnie więziony przez bolszewików, przechodzi Dniestr, pisze w Bukareszcie „Wrzesień Zagwiazdy”, który rząd zabronił wydać. Odsunięty od wszelkiej możliwości pracy, pracuje trzy lata nad dziełem o Żydach, którego mały fragment wydaje w Palestynie w 1942 w książce pod tytułem „De Profundis”. W 1944 wydaje równocześnie w Rzymie i w USA „Rodzinę Korzeniewskich”, w 1945-47 — trzy tomy „Monte Cassino”, w 1946 „Kundlizm”, w 1947 „Wrzesień Zagwiazdy”, w 1949

(Dok. not biograficznych na str. 159)

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stéphençon, Paris (18^e)

O federację polsko-czeską

Problem stosunków polsko-czechosłowackich od czasu rozmów Masaryka z Dmowskim z okresu pierwszej wojny światowej, w zasadzie nie uległ zmianie: obie strony przyznają, że najściślejsza współpraca leży w interesie obu narodów, ale praktycznie rzecz biorąc nie robi się w tym kierunku prawie nic.

ŹRÓDŁO ANTAGONIZMÓW

W okresie lat 1917 — 1918 uczyniono co prawda kilka posunięć, zmierzających do nawiązania współpracy, lecz ani jedno z nich nie powiodło się. W pierwszych latach ostatniej wojny rządy obu narodów pertraktowały już nawet w Londynie, w sprawie federacji, rozmowy te jednak w końcu również speliły na niczym.

Po ostatniej katastrofie narodowej, która dotknęła Polskę i Czechosłowację i oddała je w niewolę sowiecką, w kołach emigracji politycznej tychże narodów ponownie rozważa się potrzebę wzajemnego współzycia na przyszłość. Na razie jednak wypowiada się tylko ogólnikowe życzenia: nie znalazł się dotąd nikt, kto by im potrafił nadać realniejszą treść.

Doświadczenia z przeszłości nie są zbyt zachęcające. Ale czy mamy dlatego zrezygnować z nadziei na przyszłość? Właśnie te tragiczne doświadczenia, przez które przechodzą Czechosłowacja i Polska od lat 1938 — 1939 (nie sięgając już okresów poprzednich) są najmocniejszym argumentem za najściślejszym połączeniem obu państw po wyzwoleniu.

Główne źródła dotychczasowych waśni, nieporozumień i targów są ogólnie dobrze znane: wynikały one z różnych koncepcji polityki zagranicznej, z wybujałego nacjonalizmu i psychologicznych różnic między obydwojma narodami. Pilsudski mówił nieraz, że być może Polacy będą kiedyś zmuszeni do wojny z Niemcami, co niewątpliwie będzie zadaniem bardzo ciężkim, ale na pewno zawsze będą się bili z Rosją. Czechosłowacy

natomiast nie wierzyli w konflikt z Rosją, a za swych nieprzejednanych wrogów uważali Niemców. Podczas gdy polityka polska i czechosłowacka w stosunku do Niemców była od czasu do czasu koordynowana — w odniesieniu do Rosji była zawsze wręcz odmienna. Według mego przekonania, właśnie to odmienne nastawienie Czechosłowaków i Polaków do Rosji było główną przyczyną rozdziewików między nami i to aż do niedawnej przeszłości. Wybujały nacjonalizm prowadził niekiedy do zatargów granicznych (na Śląsku i w Karpatach), a głównie do przeceniania własnej ważności i siły, oraz do wzajemnego pogardliwego stosunku. Polska uważała siebie za mocarstwo, dążąc do uzyskania równych uprawnień na arenie politycznej z Francją, Niemcami, Włochami i Rosją, nie zwracała zaś uwagi na małą Czechosłowację oraz resztę małych państw środkowej i południowo-wschodniej Europy. (Dyplomacja polska nie była przeciwna polityce, wynikającej w 1933 roku z „Paktu czterech”, lub w 1938 r. z układu w Monachium, ale czuła się bardzo pokrzywdzona tym, że nie była zaproszona do wspólnych obrad z Wielką Brytanią, Niemcami i Włochami). Zaś Czechosłowacja z dumą zawsze podkreślała, że jej potencjał gospodarczo-wojskowy jest znacznie wyższy niż wskazywałyby na to cyfra jej ludności. Jej dyplomacja świadomie podkreślała swoje wpływy, które niewątpliwie miała w Genewie, i chętnie wyolbrzymiała stanowisko Czechosłowacji, jej inicjatywę i przodującą rolę w Małej Entencie aż do 1936 — 1937 roku. Polskiemu kompleksowi mocarstwowości, którym Polacy byli tak obciążeni, przeciwstawiał się kompleks doskonałości demokratycznej, którym szczycili się Czechosłowacy. Arystokratyzm polski, przenikający i do warstw ludowych, z trudnością mógł znaleźć wspólną platformę z demokratyzmem czechosłowackich mieszczan, chłopów i robotników. Różnice psychologiczne, odmienny tok historyczny, ruchy religijne i inna struktura społeczna, wszystko to pogłębiało było zupełnym brakiem jakiegokolwiek znajomości roli historycznej i cywilizacyjnej obu narodów. Znacznie więcej wiedzieliśmy o innych narodach aniżeli o sobie nawzajem. Nieznajomość ta cechowała przeważnie licznych polityków a ponadto razilo wywyższanie siebie samych przy jednoczesnym niedocenianiu drugich, wzajemne wyszydzenia, zazdrość i podejrzliwa nieufność.

Czy możemy więc mieć nadzieję, że uda się nam przełamać odziedziczone różnice i że zdołamy podjąć harmonijną współpracę? W moim najgłębszym przekonaniu — warunki do ostatecznej zgody czechosłowacko-polskiej nigdy dotąd nie były tak sprzyjające jak obecnie, w okresie wspólnej naszej niedoli, kiedy rozstrzyga się sprawa już samego istnienia naszych narodów.

Postaram się wyjaśnić, na czym opieram tę swoją nadzieję, nie dążąc bynajmniej do przemilczania trudności, na które natrafiamy już obecnie, a z którymi będziemy mieli do czynienia nawet po wyzwoleniu naszych krajów.

WSPÓLNE KONCEPCJE POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Stwierdzam przede wszystkim, że w zasadzie zbliżyliśmy się w zagadnieniach polityki zagranicznej, zwłaszcza w odniesieniu do problemu Rosji. Czesi i Słowacy na zawsze wyleczeni zostali z dotychczasowego romantycznego rusofilstwa, w którym byli wychowywani od ostatniego wyzwolenia narodowego, upatrując w olbrzymiej Rosji swego protektora przeciwko ekspansji niemieckiej. Jarzmo sowieckie, które mój kraj przygnała w tej samej mierze co Polskę, przekonało ich dostatecznie, że zagrożeni są tak samo przez niemiecki jak i rosyjski imperializm.

Polacy również przekonali się, że niemiecki „Drang nach Osten” wcale nie był mniej groźny od naporu Rosji. Ta okoliczność powoduje, że jedna i druga strona — politycznie i psychologicznie — tak są już do siebie zbliżone, że mogą — po raz pierwszy od ubiegłego stulecia — uzgodnić swoje stanowisko w stosunku do sąsiednich mocarstw, a tym samym usunąć zasadniczą przeszkodę, która dotychczas ich rozdzielała.

Pragnę ściśle wyrazić swoją myśl: to zbliżenie psychologiczne, które na tle wzajemnego stosunku do Rosji i Niemiec już powstało, może przyczynić się do tego, aby narody nasze dążyły do stosowania wspólnej pozytywnej polityki wobec sąsiadujących mocarstw. Przez politykę tę rozumiem obronę narodowych interesów polskich i czechosłowackich poprzez dążenie do ułożenia *przyjaznych stosunków* z Niemcami i Rosją. Inaczej mówiąc: zbliżenie polsko-czechosłowackie nie powinno być skierowane przeciwko Niemcom lub Rosji, lecz wręcz odwrotnie — przyczynić się winno do przyjaznej z nimi współpracy.

Naturalnie, nie tylko od Polaków lub Czechosłowaków zależy, czy cel ten uda się zrealizować. W równej mierze zależy to od Niemców i Rosjan. Ale Polacy i Czechosłowacy muszą sobie należycie uświadomić wagę tego zagadnienia i wspólnie, wytrwale dążyć do jego zrealizowania.

Polityka nastawiona wrogo, czy to w odniesieniu do Niemiec czy też Rosji, z trudem dałaby się na dalszą metę pogodzić ze ścisłą współpracą czechosłowacko-polską. Nie ludźmy się sytuacją obecną. Dzisiaj nie byłoby trudno połączyć Polaków z Czechosłowakami we wspólnej walce przeciwko Rosji sowieckiej, która jednych i drugich wyzyskuje i gnębi. Ale po załamaniu się dyktatury stalinowskiej sytuacja ulegnie dużej zmianie. Nikt z nas nie może przewidzieć, co wtedy istotnie nastąpi. Czy przyszedłby reżim rosyjski dostosowany do zasad istotnej demokracji? Czy dojdzie do federacji narodów Rosji, czy też rozpadnie się ona na szereg państw niepodległych? A w tym ostatnim wypadku, jak ułożą się wzajemne stosunki

niepodległej Ukrainy z Polską, Czechosłowacją i Rumunią? Kto może dziś przewidzieć czy te tak różne i tak doniosłe przewroty nie nakłonią Polaków i Czechosłowaków do zrewidowania dzisiejszego wrogości nastawienia wobec Rosji? Również na dłuższą metę nie dałoby się utrzymać wrogości polityki wobec Niemiec, zwłaszcza, iż coraz bardziej trzeba liczyć się z prawdopodobieństwem, że po załamaniu się państwa sowiecko-komunistycznego, Niemcy, przynajmniej przez jakiś czas będą znacznie silniejsze od Rosji (nawet w wypadku, gdy Rosja zostanie zjednoczona). Na samych założeniach negatywnych nie można budować trwałego związku polsko-czechosłowackiego.

Nie można uważać za złą politykę, jeżeli Polacy i Czechosłowacy bronią i bronić się będą przeciwko imperialistycznej ekspansji niemieckiej czy rosyjskiej. Jest to raczej polityka pozytywna: *broniąc swoich interesów przeciwko tym państwom, bronią tym samym dzisiejszego interesu całej Europy*. Wprawdzie Hitler został pokonany, ale nie zginął z nim razem pangermański „Drang nach Osten”. Jeżeli nawet wielkie mocarstwo stalinowskie, rozciągające się od Saksonii i Czech aż po Indochiny, rozleci się tak samo jak zawsze dotąd rozpadały się wszelkie imperia, budowane siłą i gwałtem, to kto może zapewnić, że równocześnie zniknie imperialistyczna ekspansja, uprawiana przez Rosję od tylu wieków? A jeżeli na arenie międzynarodowej pojawi się niepodległa Ukraina, czy możemy z całą pewnością wierzyć, że młody nacjonalizm 45 milionów Ukraińców, w oparciu o wielkie przemysłowo-rolnicze bogactwa swojej ziemi, będzie mniej agresywny, niż wszystkie dotychczasowe nowe nacjonalizmy w początkach swojego rozwoju? Nie wiadomo, czy ambicją silnej Ukrainy nie będzie dążenie do odziediczenia imperializmu rosyjskiego w środkowej Europie i na Bałkanach, nie zapominając ani o Konstantynopolu ani o Dunaju? Bynajmniej nie twierdzę, że cele imperialistyczne zawsze będą decydowały o polityce Niemiec, Rosji czy też Ukrainy, ale sądzę, że byłoby lekkomyślnością, nie brać tego pod uwagę. Jestem przekonany, że dopóki Polacy i Czechosłowacy będą tym dążeniom stawiali opór, to przez to samo już oddadzą usługę nie tylko sobie nawzajem ale i reszcie Europy.

Nie trzeba przypominać, że rozbieżność polityki polskiej i czechosłowackiej w stosunku do Niemiec i Rosji przyniosła w rezultacie wielkie szkody dla obu narodów; korzyści z tego odniósł wyłącznie imperializm bądź niemiecki, bądź rosyjski. To samo może być w przyszłości.

ZBLIŻENIE GOSPODARCZE I SPOŁECZNE

Mam nadzieję, że dzisiaj znacznie łatwiej, niż w przeszłości, można pokonać te wszystkie trudności, wynikające z różnic powstałych na tle innej struktury społecznej i odmiennych nastawień psychologicznych.

Polska obecna uprzemysławia się w niebywałym tempie. W niedługim czasie jej zdolność przemysłowa będzie równa czechosłowackiej, a może nawet i zdoła ją prześcignąć. Równocześnie, zlikwidowanie wielkich majątków ziemskich w Polsce, wspólne dążenia komunistów polskich i czechosłowackich do kolektywizowania wsi, prowadzą do upodobnienia ich struktur rolniczych. Tak więc stopniowo zanikają różnice ekonomiczne a łącznie z tym w znacznej mierze i różnice w strukturze społecznej obydwóch narodów, różnice, które przed ostatnią wojną były znacznie większą przeszkodą we wzajemnej współpracy, niż można by to przypuszczać. Czechosłowacki robotnik czy rolnik stanowczo będzie bliższy polskiemu robotnikowi i rolnikowi aniżeli to miało miejsce w przeszłości — przynajmniej pod względem socjalnym. Ponadto reżim komunistyczny w obu krajach w dużym stopniu pomnaża szeregi biurokracji administracyjnej, technicznej i gospodarczej — tak że nawet ta liczna klasa czy warstwa w tych krajach, będzie sobie bliższa pod względem socjalnym i umysłowym, niżli biurokracja dawniejsze, które urabiane były przez rządy sprawujące władzę przed ostatnią wojną. O ile tzw. średnie warstwy miejskie (burżuazja wielka i mała) nie zostaną całkowicie zlikwidowane (zależy to oczywiście od czasu trwania reżimu komunistycznego), to nawet i te warstwy w obydwóch krajach pod względem społecznym zostaną do siebie zbliżone. Zrównanie i zbliżenie poszczególnych klas społecznych ma miejsce nie tylko w Polsce i Czechosłowacji, ale w podobny sposób proces ten odbywa się na Węgrzech, w Rumunii, w Bułgarii i w Jugosławii. Według mego przekonania stworzy to sprzyjające warunki dla przyszłej najściślej współpracy obu narodów po ich wyzwoleniu. Równocześnie należy uwzględnić rewolucję gospodarczą, która w tych krajach odbywa się w postaci uprzemysławiania (nie tylko w rozwoju samego przemysłu w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz również w postaci „uprzemysławiania” ich rolnictwa). Aczkolwiek dokonywujące się uprzemysłowienie ma oczywiście na celu jedynie powiększenie mocarstwa wojennego i militarnego potencjału Sowietów i w żadnym wypadku nie są brane pod uwagę interesy i potrzeby państw środkowo-europejskich, to jednak po rozpadnięciu się państwa sowieckiego, przyczyni się ono do podniesienia dobrobytu tych narodów.

Jeżeli przypomnimy sobie jak niesłuszny był pogląd, że kraje „przemysłowe” korzystnie mogą się uzupełniać z krajami „rolniczymi” (teoria ta posłużyła nazistom do całkowitego opanowania państw rolniczych przez przemysł niemiecki), jeżeli w dodatku uświadomimy sobie, że wymiana gospodarcza i handlowa jest najintensywniejsza między krajami wyłącznie wysoko uprzemysłowionymi, na pewno nie popełnimy błędu twierdząc, że uprzemysłowienie środkowej i południowo-wschodniej Europy w znacznym stopniu przyczyni się do daleko głębszej i szerszej współpracy aniżeli było to możliwe w przeszłości.

Nadzieja ta ma największe uzasadnienie, jeżeli chodzi o Czechosłowację i Polskę, kraje bezpośrednio ze sobą sąsiadujące (nie mam tutaj na myśli jedynie wspólnego zagłębia śląskiego), oraz mające specyficznie wygodne warunki dla skoordynowania własnej polityki gospodarczej.

Zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że wyrównanie, względnie zbliżenie ekonomicznych i socjalnych struktur nie wystarczy do wyrównania lub zbliżenia „sposobów” myślenia dwóch lub więcej narodów. Ich psychiki, upodobania, zamiłowania, przewrażliwienia i dążenia, są w większej mierze rezultatem „tradycji” narodów, aniżeli gospodarczych lub społecznych warunków. Mimo to, nie ulegając przesadnym nadziejom, jestem przekonany, że zarówno Polak jak i Czechosłowak na tym samym poziomie społecznym — lub co ważniejsze — wykonujący ten sam zawód, znacznie łatwiej dojdą do porozumienia, niż w przeszłości mógł to uczynić polski „szlachcic” z czeskim czy słowackim „małomieszczańcem” (czy to z miast czy też ze wsi). Twierdząc, że dawna przepaść między polską „arystokracją” a czechosłowacką „demokracją” w dzisiejszym stadium rozwojowym została usunięta.

Sądzę, że czytelnik rozumie, co mam na myśli. Jestem daleki, by w czymkolwiek podważać sławną i twórczą rolę, jaką odegrała w rozwoju narodowo-polskim szlachta polska — zresztą cenię również wielki wpływ, jaki na nasz naród wywarła czeska (prawdziwie czeska) szlachta. Również w pełni uświadomiam sobie nieocenione zasługi czeskiej czy też słowackiej burżuazji, ściśle wyrażając się, nie tylko tzw. „inteligencji”. Inteligencja w Polsce miała mentalność „arystokratyczną”, w Czechosłowacji „burżuazyjną”.

Mam również wrażenie, że do polsko-czechosłowackiego wzajemnego porozumienia pomogą katolicy, którzy występując przeciwko uciskowi komunistycznemu, zapewniają sobie w przyszłości wielką rolę (w przeszłości nie było zbyt wiele kontaktów między katolikami polskimi, czeskimi czy też słowackimi; a jeśli nawet i były nie miały one większego znaczenia).

EGOIZMY NACJONALISTYCZNE

Jeżeli powyższe zmiany, jakie zaszły w ostatnim czasie w dziedzinie polityki zagranicznej, spraw gospodarczych i społecznych, dają nadzieję, że warunki dla współpracy polsko-czechosłowackiej są dzisiaj bez porównania dogodniejsze, aniżeli kiedykolwiek przedtem, to nie wolno jednak ukrywać, że współpraca ta może być poważnie zagrożona przez przesadny nacjonalizm, ściślej mówiąc przez jednostronny egoizm narodowy jednej i drugiej strony.

Przed wszystkim, byłoby niewskazane, nie docenianie ważności idei narodowej. Nacjonalizm w dzisiejszym świecie bynajmniej nie jest mniej dynamiczny niż to miało miejsce daw-

niej. Liczni zapaleni federaliści mogą z łatwością zaszkodzić powodzeniu wielkiego dzieła, na którym w dużym stopniu spoczywa cała przyszłość Europy, przez swoje lekceważenie żywotności narodowej. Nawet międzynarodowy komunizm (tym mniej socjalizm) nie był w stanie przełamać nacjonalizmu (stalinizm jest imperialistycznym „bolszewizmem narodowym”). Narody środkowo-europejskie podporządkowane Moskwie, są dzisiaj bardziej nacjonalistyczne niż dawniej: jest to zupełnie zrozumiała reakcja, przeciwko wyzyskującej przemocy obcego mocarstwa. Zresztą nacjonalizm dzisiejszy przedstawia jedną z najpotężniejszych sił, z którą mają do czynienia sowieckie sfery rządzące i służący komunistyczni. Niewątpliwie leży w naszym interesie, aby siła ta, która przeciwstawi się konsolidacji sowieckiego mocarstwa i która zagraża mu w samych jego podstawach, była wszelkimi sposobami wspierana tym bardziej, że ma ona swój wpływ i na te masy pracujące, które ideowo wciążgnięte zostały przez komunizm.

Trzeba więc sobie postawić pytanie, czy nacjonalizm państw środkowo-europejskich nie będzie stanowił dużej przeszkody w ich współpracy w przyszłości. Należy obawiać się, że z chwilą, gdy niebezpieczeństwo sowieckie przestanie zagrażać, wystygną również marzenia o ogólnym zjednoczeniu Europy, obecnie osiągnące pewne konkretne wyniki. Czy podobna sytuacja nie wytworzy się i w Europie środkowej? Czy warstwy rządzące nie będą powodowały się wyłącznie narodowym egoizmem, zaślepione jedynie swoimi ograniczonymi interesami bez oglądania się na sąsiadów i bez troszczenia się o jutro? Czy też znowu — jak to miało miejsce w przeszłości — nie będą szukały oparcia i zabezpieczenia swoich praw u tego czy innego mocarstwa, nie bacząc, że przez to mogą stać się jego marionetkami?

Nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa pod pozorem, że „nie jest ono aktualne”. Czas nagli. Nikt dzisiaj na pewno nie potrafi powiedzieć, kiedy i w jaki sposób narody środkowo-europejskie zostaną uwolnione. Ale nastąpi to prędzej, niż wielu ludzi tego się spodziewa. Kto przypuszcza, że obecny podział Europy może trwać dziesięć czy dwadzieścia lat, ten po prostu nie chce widzieć tragicznej rzeczywistości, którą żyje dzisiejszy czas. Obecna sytuacja nie jest do utrzymania na dłuższą metę. Jak długo pod panowaniem Moskwy pozostaje Saksonia, Czechy i duża część Austrii, Europa zachodnia a z nią i Stany Zjednoczone Ameryki, pozostają wciąż zagrożone, ze wszystkimi następstwami natury wojskowej, finansowej i ekonomicznej. Październikowy kongres partii komunistycznej dotychczas udowodnił, że Sowiety nie pozostawiają Zachodu w spokoju (nie mogą tego zrobić z uwagi na własne bezpieczeństwo). Należy również wziąć pod uwagę, że cała Azja jest w stanie ciągłego wrzenia. Nie potrzeba mieć specjalnej znajomości tych spraw ani być wyjątkowo przewidującym, by zdawać sobie sprawę, że szybko zbliża się czas decyzji, czy Europa zachodnia podda się hegemonii sowieckiej, względnie czy Unia Atlanty-

eka znacznie wywierać nacisk, aby Sowiety wycofały się do swoich granic. Wyzwolenie narodów środkowo-europejskich jest podstawowym warunkiem przywrócenia jeśli nie pokoju światowego, to przynajmniej bardziej ustabilizowanych warunków polityczno-gospodarczych dla Europy.

Stwierdzam, że czas nagli, a wobec tego musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Należy już teraz przygotować plany zreorganizowania środkowej Europy po jej wyzwoleniu, by rozbijały nacjonalizmy nie rozpetwały nowych waśni i kłótni. Jestem ponadto przekonany, że tylko plan konstruktywny, zmierzający do współpracy federacyjnej tych narodów, będzie mógł skutecznie przeciwstawić się zatarłom mocarstw o zabezpieczeniu dla siebie „stref wpływów” w tej części Europy. Przygotowanie takiego planu jest obecnie łatwiejsze niż kiedykolwiek.

Jeżeli dzisiaj Węgry i Czechosłowacy są sobie znacznie bliżsi niż kiedykolwiek przedtem, na pewno Polacy i Czechosłowacy są sobie jeszcze bliżsi. Między nimi nie ma ani jednego spornego zagadnienia, które by ich istotnie rozdzielało. W swoim czasie graniczne kłótnie zostały zażegnane; i są wszystkie dane po temu, by na Śląsku, gdzie dawniej wspólne interesy tak się ścierały, wspólnie zarządzać tamtejszym bogactwem górniczo-przemysłowym. O ile Czechosłowacy i Polacy dojdą do porozumienia na tle najściślejszej współpracy ze sobą, *przez to samo już będą mogli odegrać pionierską rolę w federacji całej Europy środkowej.*

TRUDNOŚCI JAKIE NAS CZEKAJĄ

Należy również powiedzieć jasno, że wśród emigracji zarówno polskiej jak i czeskiej są jednostki, które wahają się czy pójść po tej drodze. Po obydwóch stronach są ludzie, którzy żyją wyłącznie przeszłością a od załamania się komunizmu oczekują jedynie powrotu dawnej niezmienionej przeszłości. Doprawdy byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdyby ludzie ci dorwali się do steru; nie jest to bardzo prawdopodobne, ale nie jest i zupełnie wykluczone — trzeba bowiem pamiętać, że po załamaniu się komunizmu powstanie pewien chaos na tle politycznym i społecznym, zaś umysły ludzkie będą podatne na wszelkie nastroje emocjonalne. A ludzie przeszłości, przesiąknięci starymi uprzedzeniami i wzajemną nieufnością, na pewno poderwałyby zarówno Polaków jak i Czechosłowaków do podjęcia na nowo starych kłótni.

Większe niebezpieczeństwo zagraża ze strony tych, którzy w prawdzie są za przyjazną współpracą polsko-czechosłowacką, ale chcą, by Polska, Czechosłowacja i reszta państw środkowo-europejskich bezpośrednio uczestniczyły jedynie w ogólnoeuropejskiej federacji, a nie tworzyły ściślejszych związków z sobą. Do grupy tej należą wszyscy ci, którzy występują przeciwko

federacjom regionalnym, względnie konfederacjom, obawiając się, by federacje regionalne nie utrudniały federacji ogólnoeuropejskiej względnie, by Europa środkowa, regionalnie zwarta, nie odsunęła się od Europy zachodniej. Są to argumenty, nad którymi należy się poważnie zastanowić. Pomimo to, uważam, że nawet w wypadku, gdyby nie dało się stworzyć specjalnej federacji Europy środkowej, nie stoi na przeszkodzie, by Polacy i Czechosłowacy dążyli do nawiązania ściślejszej współpracy, uzgadniając w ramach ogólnoeuropejskiej federacji swe specjalne wspólne zainteresowania, dla których staraliby się stworzyć odpowiednie formy.

Najpoważniejsze zastrzeżenia pochodzą od tych Czechosłowaków, którzy obawiają się, by ścisła współpraca z Polakami, nie naraziła ich na zawile komplikacje z Niemcami, względnie z Rosją czy Ukrainą. To samo dotyczy tych Polaków, którzy planują urządzenie Europy środkowej w taki sposób, by zabezpieczyć w niej przewagę polską.

Obawy niektórych Czechosłowaków co do wrogiego stosunku Niemiec, są podzielane również przez licznych Węgrów i Rumunów; przy czym nie zwracają oni na razie uwagi na to, jaka byłaby wówczas reakcja Rosji. Wątpię bardzo, by Czechosłowacy poprawili swoje stosunki z Niemcami okazując brak zainteresowania sprawami polskimi a ściśle mówiąc sprawą granic polsko-niemieckich. Niemcy nie kryją się z tym, że dążą do przywrócenia granic z 1937 roku. Takie postawienie sprawy pozornie zaspakaja interesy narodowe Czechosłowaków. Ale sądzę, że wystarczającym ostrzeżeniem dla nich może być fakt, że za przyłączeniem do Rzeszy „Sudetenlandu” wypowiadali się otwarcie nie tylko tzw. Niemcy sudetcy, wysiedleni do Niemiec, ale także (o czym wiem) i dwaj członkowie rządu w Bonn. Nie pocieszajmy się, że to nie są oficjalne wypowiedzi: Hitler również z samego początku nie groził publicznie, że jego właściwym zamiarem jest likwidacja Czechosłowacji, zaś Goering po przyłączeniu Austrii urzędowo zapewniał rząd czechosłowacki, że Niemcy nie mają żadnych agresywnych czy wrogich zamiarów wobec Czechosłowacji. Mamy dość doświadczeń, abyśmy byli dostatecznie świadomi, że imperializm niemiecki (który nie jest monopolem wyłącznie tylko „prawicy” niemieckiej lub dawnych nazistów) w równej mierze zagraża Czechosłowacji jak i Polsce, a także i Austrii i pozostałym państwom naddunajskim. Czy mają się powtórzyć dawne błędy, które wszyscy popelnialiśmy? Czy znów ma się o nas mówić, że historia niczego nas nie nauczyła? Cóż pomogło Czechosłowakom, że „z powodu” korytarza gdańskiego nie chcieli zadrżnąć stosunków z Niemcami? A Polska, czy uratowana została antyczechosłowacką polityką Becka? Po upadku niepodległości Austrii, Czechosłowacji i Polski, czy Węgry, Rumunia, Jugosławia i Bułgaria nie zostały przekształcone w bezwolnych satelitów Reich'u, dla którego potęgi musieli ginąć synowie węgierscy i rumuńscy?

Na pewno trudno by nam przyszło iść razem z Polakami, gdyby pragnęli oni zastosować politykę wrogą wobec Niemców, lub przeciwko przyszłej demokratycznej Rosji. Taka lekkomyślna polityka doprowadziłaby ich w końcu do całkowitej izolacji. Ale jestem przekonany, że nie tylko my Czechosłowacy, lecz i reszta narodów Europy środkowej a nawet i zachodnia Europa zainteresowane są bezpośrednio, *by Polska była krajem pod względem gospodarczym i społecznym silnym i świetnie prosperującym*. Naturalnie w naszym interesie jest przyjazna współpraca z Niemcami. Wierzmy, że porozumienie z Niemcami a Polską i Czechosłowacją jest możliwe pod warunkiem, że Niemcy faktycznie będą rządzili przez prawdziwych demokratów, którzy szczerze będą dążyć do ułożenia wzajemnej współpracy wśród narodów Europy środkami li-tylko pokojowymi. W tym wypadku będzie można znaleźć nowe konstruktywne rozwiązania nawet i dla najbardziej skomplikowanych problemów. Natomiast, gdyby Niemcy zamierzali kroczyć po linii tradycyjnego imperializmu, a zwłaszcza z myślą „Drang nach Osten”, uważam, że Czechosłowacy i inne narody środkowo-europejskie w interesie własnej obrony powinny zwrócić temu się przeciwstawiać idąc ręką z Polakami.

Zastrzeżenia Czechosłowaków i innych narodów byłyby uzasadnione, gdyby Polacy ukrywali właściwe swoje zamiary, których ostatecznym celem byłaby hegemonia Polski nad mniejszymi jej sąsiadami. Wydaje mi się, że niektóre odłamy emigracji polskiej nie wyzbyły się jeszcze tej myśli; w niektórych umysłach ciągle jeszcze tkwi marzenie o wielkiej Polsce, która obejmowałaby obszar Szczecina po Kijów i Morze Czarne. Tego rodzaju marzenia „imperialistyczne” przynoszą szkodę polskiej sprawie w całym wolnym świecie w większym stopniu niż to Polacy przypuszczają.

Pewną nieufność wywołują również ci Polacy, którzy wprowadzić dalecy są od powyższych planów, ale którzy rozważając zagadnienie środkowo-europejskiej konferencji, wykreślają z niej Austrię ograniczając ją jedynie do Polski (ewentualnie z państwami bałtyckimi), Czechosłowacji i Węgier. O ile mi wiadomo, niektórzy z nich nie biorą w rachubę Austrii przypuszczając, że sama Austria tego nie pragnie względnie, że udział tego państwa „niemieckiego” w konfederacji jest raczej niewskazany. Inni zaś łudzą się nadzieją, że Niemcy utraciwszy wschodnie obszary za Odrą i Nisą, mogliby otrzymać rekompensatę w postaci Austrii. Kto tak sądzi, świadomie czy też podświadomie, ulega wpływowi dawnej dyplomacji polskiej, która przypuszczała, że napór niemiecki na Polskę zostanie odwrócony z chwilą, gdy Niemcy zaangażowani będą w Austrii i nad Dunajem. Jeżeli w niedawnej przeszłości te smutne kalkulacje całkowicie zawiodły, na pewno spotkałby je taki sam los i w przyszłości, zaś Niemcy tym bardziej nalegaliby nie tylko na przywrócenie granic z Polską z 1937 r. ale ponadto na zwrot Gdańska wraz z korytarzem i tej części Górnego Ślą-

ską, którą utracili po pierwszej wojnie światowej. Ci Polacy, którzy będą się sprzeciwiali wcieleniu Austrii do konferencji środkowo-europejskiej, muszą tym samym wywoływać wrażenie, że mają na celu organizowanie pod swoją egidą akcji antyniemieckiej. Powtarzam to co już raz wyraźnie podkreśliłem, że zdrowy rozsądek nakazuje nam, by Polacy i Czechosłowacy wraz z innymi narodami stworzyli wspólną zapórę przeciwko imperializmowi niemieckiemu. Natomiast za niebezpieczny w skutkach dla tych wszystkich państw uważałbym fakt powstania bloku skierowanego przeciwko Niemcom i opartego wyłącznie na nienawiści narodowej przeciwko narodowi niemieckiemu. Jeżeli są Polacy, którzy marzą jedynie o zapewnieniu Polsce „hegemonii”, to sądzę, iż nasi polscy przyjaciele rozumieją także nasze stanowisko: że broniąc się przeciwko hegemonii niemieckiej czy też rosyjskiej, bronić się musielibyśmy i przeciw hegemonii polskiej. Bez względu na to, jak będzie rozwiązane zagadnienie środkowo-europejskie, na pewno nie znajdzie się ani jeden Czechosłowak a tym bardziej Węgier, który by nie chciał współpracy z Austrią. Naturalnie nie w naszej jest mocy, by Austrię zmusić siłą do tej współpracy, jeżeli sama nie będzie jej chciała. Ale obowiązkiem nas wszystkich (a niewątpliwie także i Polaków) są starania o pozyskanie Austrii. Zresztą problem Austrii, tak jak przedtem, nadal pozostaje zagadnieniem ogólnie-europejskim.

Dla reorganizacji Europy środkowej, po jej uwolnieniu z jarzma sowieckiego, niewątpliwie można przygotować różne rozwiązania, a jeżeli są pewne cenne koncepcje myślowe, należy je wszystkie szczegółowo przestudiować. Osobiście jestem przekonany, zarówno ze stanowiska narodowo-czechosłowackiego, jak i europejskiego, że z trudem zdołano by osiągnąć cel, tymi planami nakreślony, gdyby w przewidzianej organizacji zabrakło Polski lub Austrii.

EUROPIE POTRZEBNY JEST ZWIAZEK CZESKO-POLSKI

W każdym jednak wypadku, czy powstanie federacja ogólnoeuropejska, czy jedynie związki regionalne, a nawet (ewentualność ta byłaby godna pożałowania) gdyby Europa, a z nią i Europa środkowa nawiązały do dawnego systemu związku państw suwerennych — obowiązkiem Polaków i Czechosłowaków jest wiernie iść razem, wzajemnie sobie pomagać i doradzać. Mówię to z głębokiego przekonania, na podstawie dokładnego przestudiowania historycznych perspektyw (w przeszłości i przyszłości), potwierdzonych przez przykre doświadczenia. *Oslabienie jednych, jest ze szkodą dla drugich; co jednych wzmacnia jest z korzyścią także dla drugich. Silny związek czechosłowacko-polski leży w żywotnym interesie obu narodów; ponadto zaś leży w interesie całej Europy.*

Czy wolno nam obarczać się odpowiedzialnością, pozostając głuchymi na wezwanie dziejowe, które się nie powtórzy?

Co stoi na przeszkodzie połączenia naszego wysiłku?

Czy rozbicie emigracyjnych ugrupowań? — W każdym z nich istnieje świadomość korzyści wynikających ze związku czesko-polskiego. Dlaczego więc nie mamy się połączyć we wspólnej akcji?

Czy może różnice poglądów na takie czy inne zagadnienie międzynarodowe, czy wewnątrzno-polityczne? — Będą się one tylko powiększać i pogłębiać, jeżeli wspólnym i przyjacielskim wysiłkiem nie postaramy się ich wyrównać i usunąć.

Czy też może wreszcie różnorodność stanowisk poszczególnych mocarstw zachodnich w odniesieniu do zagadnień środkowo-europejskich a zwłaszcza do zagadnień polskich lub czesko-słowackich? — Ależ właśnie jest to jeszcze jeden dowód więcej, abyśmy my, Polacy i Czechosłowacy mieli uzgodnioną pozytywną koncepcję polityczną.

A może wahania, rozpacz i nieufność osamotnionych Czechosłowaków i Polaków? — Cóż może jednak ich przekonać, jeśli nie wspólne zdecydowanie, zamierzenia i pełne przeświadczenie tych z nas, którzy uważamy związek czesko-słowacko-polski za konieczność dziejową?

Bo nawet jeśli brać pod uwagę przeciwstawne poglądy czy też stanowiska naszych austriackich, węgierskich, rumuńskich, jugosłowiańskich i bułgarskich przyjaciół, to przecież mimo wszystko nie znajdzie się wśród nich wielu takich, którzy by odrzucali pogląd o potrzebie konfederacyjnej współpracy narodów środkowo-europejskich po ich wyzwoleniu.

Jeżeli więc istnieją na ten temat różnice zapatrywań, to właśnie porozumienie polsko-czeskie może w dużym stopniu przyczynić się do uzgodnienia stanowisk także i wśród innych.

Czas nagli. Zbliża się historyczna decyzja o losie świata. Od nas zależy, od Czechosłowaków i Polaków, by nie zdecydowano o nas — bez nas i przeciwko nam.

Hubert RIPKA

Zamieszczony powyżej znakomity artykuł wybitnego polityka czeskiego uważamy za duży krok w zbliżeniu polsko-czeskim. Nie ze wszystkimi tezami autora możemy się zgodzić: np. przywiązanie większej wagi do federacji regionalnych, niż do federacji ogólnoeuropejskiej. Naturalnie federacja ogólnoeuropejska nie wyklucza ściślejszych porozumień między poszczególnymi narodami. Ściśły związek polsko-czeski uważamy również za niezbędny dla równowagi europejskiej.

Po amerykańskich wyborach

I

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zwycięstwo, jakie w Ameryce w dniu 4 listopada odnieśli Republikanie, było w znacznie większym stopniu zwycięstwem osobistym generała Eisenhowera, niż partii, którą on reprezentuje. I można zapytać się, czy przy innym kandydacie republikańskim wynik wyborów byłby taki sam? We wszystkich prawie stanach i okręgach wyborczych ilość głosów, oddanych na generała, była znacznie wyższa od ilości głosów, jakie otrzymywali tam inni kandydaci republikańscy. I jakkolwiek — rzecz w takich okolicznościach nieunikniona — zwycięstwo w wyborach prezydenckich dało Republikanom również zwycięstwo w wyborach gubernatorskich i do Kongresu, to jednak wyniki tu nie są tak imponujące, jak by to powinno wynikać z takiego sukcesu głównego kandydata.

A sukces jest to kolosalny. Za kandydatem republikańskim poszła duża część Południa, zdobył on dla siebie i dla swej partii dużo głosów w przemysłowych rejonach wielkomiejskich, wśród farmerów, wśród kobiet i tzw. Niezależnych. Okręgi i środowiska, które normalnie i tradycyjnie szły za Demokratami, tym razem poszły za kandydatem republikańskim. Eisenhower poczynił duże wyłomy w grupach etnicznie mniejszościowych, gdzie dotąd przeważnie panowali Demokraci. I bodaj tylko jedni jedyni Murzyni wiernie wytrwali przy kandydaturze demokratycznej.

Niewątpliwie decydujące znacznie w tym wszystkim miała osoba republikańskiego kandydata. Eisenhower stanął do wyborów w aureoli swej legendy, legendy zwycięskiego generała, legendy herosa, legendy Męża Przeznaczenia. Niewątpliwie też w toku samej kampanii przedwyborczej aureola ta nieco przybladła, w miarę jak wyrastała postać demokratycznego oponenta generała. Ale okres kampanii przedwyborczej był zbyt krótki, by mógł dokonać tu poważniejszych zmian. Od Eisenhowera na stronę Stevensona przechodzili intelektualści, przechodziła młodzież, ale szerokie masy były wciąż pod urokiem legendy. Niektóre z tych apostazji mogły być osobiście przykre dla generała — dość wymienić tu odejście bojowego liberała republikańskiego Senato-

ra Morse'a z Oregonu — ale, jak się okazało, poważniejszego wpływu na wynik wyborów nie miały.

Walka była bardzo nierówna. Z jednej strony stał heros, z drugiej zaś — nieznanym ogółowi człowiek, który próbował „przemawiać do rozumu”.

Leży w tradycji amerykańskiej powierzenie zwycięskiemu w wojnie generałowi najwyższej godności w Unii. Eisenhower będzie trzydziestym czwartym prezydentem Stanów Zjednoczonych i dziesiątym wśród nich, który nosił mundur generalski. Wśród tych prezydentów — generałów byli dwaj bardzo wielcy — George Washington i Andrew Jackson. Inni — jak choćby Ulysses S. Grant, zwycięzca w Wojnie Domowej — nie przeszli do Panteonu wielkości amerykańskiej. Czy przejdzie do niego dziesiąty Prezydent-generał — o tym zawyrokuje przyszła historia Stanów Zjednoczonych.

Wynik wyborów tegorocznych nie da się jednak sprowadzić tylko do uroku legendy Eisenhowera. Legenda ta odpowiadała również i pewnym nastrojom, jakie bezspornie nurtują dziś w masach amerykańskich. Zreżna propaganda stworzyła dla tych nastrojów odpowiednie ujęcie.

Nie da się zaprzeczyć, że Amerykanie są zmęczeni wojną koreańską. Trwa ona tak długo, toczy się tak daleko, pociąga za sobą takie ofiary, a końca jej wciąż nie widać. I nic dziwnego, że masy wyborców zelektryzowała obietnica Eisenhowera, że sam pojedzie na Koreę, że wojnę szybko zakończy, że żołnierzy wróci ich matkom i żonom. Skoro ON tak mówi, to z pewnością tak się stanie!

Ale nie mniejszej wagi były i inne momenty. Drożyzna stale rośnie, stale rosną i podatki. Obietnica, że nowa administracja radykalnie zredukuje budżet, że podatki zostaną zmniejszone, trafiła do słuchaczy. Nie każdy z nich zastanawiał się nad tym, w jaki sposób nowa administracja potrafi to wszystko zrobić.

Na podatny grunt padła też zapowiedź likwidacji wpływów komunistycznych w aparacie państwowym. I tu znów nie każdy zastanawiał się nad tym, czy wpływy te są poważne, czy nawet naprawdę istnieją. Strach przed komunizmem kazał widzieć w generale tego, który tej złośliwej hydrze komunistycznej zechce urwać głowę i potrafi to zrobić.

A poza tym Demokraci już od dwudziestu lat byli u władzy i ostatni okres ich rządów był połączony z szeregiem brzydkich skandalów. Prawda, że żaden ze skandalów doby Trumana rozmiarami swymi nie zbliżał się do skandalów dawnych administracji republikańskich. Ale o tamtych skandalach zostały się tylko mętne wspomnienia, podczas gdy skandale obecne były czymś żywym i wstrząsającym.

Nie trzeba też zapominać, że i w tych wyborach, podobnie jak we wszystkich poprzednich, Republikanie mieli przewagę w środkach oddziaływania propagandowego. Mieli więcej pieniędzy, niż Demokraci, i mieli do dyspozycji prawie całą wielką prasę. Łączny nakład pism pro-stevensonowskich wynosił tylko 14

procent całego nakładu amerykańskiej prasy codziennej. W tak zdecydowanie demokratycznym mieście, jak New York, tylko jedno wielkie pismo codzienne — „New York Post” — bez zastrzeżeń i z entuzjazmem popierało Gubernatora Illinois.

Na tym miejscu pozwolimy sobie na małą dygresję na temat owego, używając wyrażenia Stevensona, jednopartyjnego oblicza prasy amerykańskiej. Popularna — i to nie tylko w świecie komunistycznym — teza, że prasa amerykańska jest zależna od Wall Street i dlatego jest republikańska, jest dużym uproszczeniem. To nie „New York Times” szuka ogłoszeniodawców na Wall Street, to ogłoszeniodawcy z Wall Street zabiegają dla siebie o miejsce na łamach „New York Times’a”. Prasa amerykańska jest dziś tak potężna, że sama stała się częścią Big Businessu. Amerykańscy magnaci prasowi zajmują poważne i odpowiedzialne miejsce w rodzinie amerykańskich potentatów przemysłowych czy bankowych. Jeżeli prasa amerykańska jest w swej przytłaczającej większości republikańska, to dlatego że amerykański Big Business jest w swej przytłaczającej większości republikański. Prasa amerykańska nie jest więc sługą świata wielkich kapitałów, ale jednym z ważnych partnerów tego świata. Oczywiście, jeżeli chodzi o czytelnika, dystynkcja ta ma ściśle teoretyczne znaczenie.

Wiele więc okoliczności złożyło się na to kolosalne zwycięstwo, jakie w dniu 4-tym listopada odniósł Eisenhower i jego partia. Zwycięstwo to stworzyło w Stanach Zjednoczonych nową sytuację polityczną, która ze swej strony będzie miała bezwątpnie szerokie konsekwencje w skali międzynarodowej. Oczywiście dopiero przyszłość nam powie, jak konkretnie potoczy się życie amerykańskie w epoce nowej administracji. Ze praktyczna działalność tej administracji będzie miała mało wspólnego z mowami i deklaracjami, jakie padały w czasie kampanii wyborczej — to zdaje się być zupełnie pewne. Świat pozaamerykański postąpiłby bardzo lekkomyślnie, gdyby na podstawie tych oświadczeń chciał tworzyć jakieś prognozy odnośnie przyszłej polityki Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza w zakresie stosunków międzynarodowych. Amerykanie, świadomi historii własnego narodu, oświadczeń takich, rzecz jasna zbyt poważnie nie traktują.

II

Nie wdając się w prognozy, spróbujmy przeanalizować te fakty, jakie stworzyły wybory, i te tendencje, jakie — jak się wydaje — w toku wyborów dały się ujawnić.

Przypomnijmy raz jeszcze, że osobiste zwycięstwo Eisenhowera jest znacznie większe od zwycięstwa jego partii, że — co więcej — to ostatnie jest bezpośrednim następstwem pierwszego. Zwycięski generał w swym triumfalnym pochodzie przez Amerykę ciągnął za sobą swych przyjaciół partyjnych.

Jest to moment o kolosalnym znaczeniu politycznym. Przede wszystkim niezmiernie wzmacnia on pozycję nowego Prezydenta wewnątrz jego własnej partii. Partia zawdzięcza mu więcej, niż on partii. Republikanom nie wolno jest zapominać o tym, że moc ich przywódcy jest w narodzie amerykańskim głębiej ugruntowana, niż ich własna moc. I w wypadku konfliktu między Prezydentem a jego własną partią — konflikty takie nie raz już się zdarzały w dziejach Stanów Zjednoczonych i zawsze powtórzyć się mogą — Eisenhower będzie mógł powołać się na to, że mandat, który on osobiście otrzymał, ma w masach znacznie większe i mocniejsze oparcie, niż mandat, powierzony Partii Republikańskiej.

Z drugiej jednak strony nowy Prezydent musi pamiętać i o tym, że mandat jego jest czymś szerszym od mandatu, jaki zazwyczaj otrzymuje przywódca zwycięskiej partii. Duża część z tych, którzy głosy swe oddali za generałem, była daleka od republikanizmu. Nowy Prezydent powinien pamiętać — jak o tym pamiętał w podobnych okolicznościach, w roku 1932, Franklin D. Roosevelt — że mandat, jaki od narodu otrzymał, nie jest mandatem ściśle republikańskim i że z tego powodu prezydentura jego nie powinna schodzić na płaszczyznę prezydentury wąsko-partijnej.

Czy Prezydent Eisenhower wyciągnie z tego wszystkiego odpowiednie wnioski praktyczne — i o tym powie nam przyszłość.

W każdym jednak razie nowy Prezydent będzie miał przy sobie republikański Kongres, Kongres partii, której przewodzi. To w zasadzie powinno stworzyć mocną i zdrową podstawę dla rządów przyszłej administracji. Ale już i dziś zdają się tu zarysowywać poważne trudności.

Fakt, że nowy Prezydent ma współdziałać z Kongresem, w którym większość stanowi partia przez niego kierowana, znaczyłby bardzo dużo, gdyby amerykański system partyjny był wierną kopią systemów Starego Świata. Tak jednak wcale nie jest. Amerykańskie stronnictwo polityczne jest bardzo luźną koalicją czy kombinacją techniczną różnorodnych grup, regionów, tendencji. Jego zasadniczą funkcją jest zorganizowanie i przeprowadzenie wyborów. Jest ono bardzo słabo związane programem — z reguły bardzo ogólnikowym i kompromisowym — i obca jest mu dyscyplina partyjna. W szczególnym stopniu odnosi się to do szerokiego ogólnonarodowego. W codziennej też praktyce amerykańskiego życia politycznego i życia amerykańskich ciał przedstawicielskich od podziału na Demokratów i Republikanów znacznie ważniejszy jest podział na konserwatystów i liberałów, izolacjonistów i internacjonalistów, oraz na specjalne bloki regionalne i bloki specjalnych interesów. Podziały te, które przechodzą przez obie partie, krzyżują się ze sobą i łączą w najrozmaitszych kombinacjach, stwarzając obraz stosunków znacznie bardziej skomplikowany, niż proste rozróżnienie między Republikanami i Demokratami.

Od przywódcy partyjnego — w wypadku partii u władzy — od Prezydenta — bardzo zależy, czy ta różnorodność wewnętrzno-partyjna zostanie w jakiś sposób zrównoważona i scharmonizowana. Jeżeli Prezydent jest człowiekiem o wielkim autorytecie, jeżeli jest bardzo zręczny i sprężysty — wyniki mogą być dobre. Ale nawet i taki mistrz taktyki, jakim był Franklin D. Roosevelt, nie zawsze dawał sobie radę ze swoją partią. Trumanowi udawało się to bardzo rzadko. Jak się to uda Eisenhowerowi — o tym dowiemy się z czasem. Jedno zdaje się być pewne — wielki generał nie uniknie tu trudnych decyzji strategicznych, tym razem w dziedzinie strategii politycznej.

Jest rzeczą bardzo interesującą, że wśród tych republikańskich kandydatów, którzy przegrali w rozgrywce wyborczej, znaleźli się tacy skrajni izolacjoniści, jak Senatorowie Cain z Washingtonu (stanu, nie stolicy; stolica nie jest reprezentowana w Kongresie), Ecton z Montany i Kem z Missouri. Ze skrajnie prawicowego skrzydła Senatorów republikańskich bodaj tylko Jenner z Indiany i McCarthy z Wisconsin (otrzymał on dość słabą większość i w swym stanie był znacznie w tyle za Eisenhowerem i republikańskim kandydatem na Gubernatora) wyszli zwycięsko z wyborów. W rezultacie w Senacie skrajnie prawicowe skrzydło Partii Republikańskiej uległo osłabieniu.

Równocześnie jednak w Massachusetts przepadł Senator Lodge, jeden z najbardziej internacjonalistycznie usposobionych Republikanów i umiarkowany liberał w polityce wewnętrznej. Lodge był właśnie tym, który zainicjował kandydaturę Eisenhowera. Ale przegrana Lodge'a miała, zdaje się, źródło czysto lokalne i nie należało by z niej wyciągać zbyt daleko sięgających wniosków.

W nowym Kongresie zdają się przeważać umiarkowanie konserwatywni Republikanie, właśnie ci, którzy w Senatorze Taftcie z Ohio widzą swego najlepszego eksponenta. Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że w nowym Senacie, Senator z Ohio będzie odgrywać w jego (słabej) republikańskiej większości rolę podobną do tej, jaką dotąd odgrywał w republikańskiej mniejszości. Oznaczać to będzie konserwatyzm w polityce wewnętrznej, stopniowe i w miarę możliwości likwidowanie reform New Dealu, oszczędności budżetowe i redukcja podatków, zwłaszcza tych, które obciążają Big Business.

W zakresie polityki zagranicznej powinno by to oznaczać umiarkowany izolacjonizm, silniejsze zainteresowanie dla Pacyfiku niż dla Atlantyku, oraz rezerwę wobec Narodów Zjednoczonych.

Będą to jednak bardziej tendencje, niż konkretny program. Żaden polityk amerykański nie idzie ślepo za swoim programem, nawet jeżeli go posiada i zwłaszcza gdy jest u władzy. A Taft jest politykiem, i amerykańskim politykiem. Nie mniej jednak Senator z Ohio był głównym antagonistą Eisenhowera w okresie konwencyjnym, a w czasie kampanii wyborczej nie on szukał zbliżenia z generałem, ale generał — z nim.

Jeżeli Eisenhower będzie wierny swym dawnym poglądom na sprawy międzynarodowe, to możliwe są scysje pomiędzy nim a potężną grupą Tafta. I znów nie można dziś przewidzieć, czy nowy Prezydent potrafi trudności te przezwyciężyć zręczną grą w obrębie swej partii. W każdym jednak razie pozostaje mu jeszcze jeden środek — szukanie pomocy Demokratów.

Wśród tych ostatnich grupa izolacjonistyczna jest bez porównania słabsza niż wśród Republikanów. Nawet skrajnie reakcyjni południowi Demokraci są na ogół zwolennikami aktywnej amerykańskiej polityki w Narodach Zjednoczonych i na całym świecie. Wybory ostatnie dały Senatowi dwóch takich wybitnych demokratycznych internacjonalistów — Mansfield'a i Symington'a. I jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że Eisenhower w swej polityce międzynarodowej (zawsze zakładając, że będzie to polityka „dawnego” Ike'a!) będzie mógł liczyć na poparcie Demokratów. To znów może bardzo wzmocnić jego pozycję wewnątrzno-partijną zwłaszcza wobec Senatora z Ohio.

Sprawa polityki wewnętrznej przedstawia się inaczej. Tu między Eisenhowerem a Taftem różnice są znacznie mniejsze. Po mowie, jaką Eisenhower wygłosił w Abilene, Texas, jeden z obecnych dziennikarzy zawołał: „Ależ ten człowiek nie jest ani na lewo, ani na prawo od Tafta, on jest daleko w tyle za Taftem (far behind Taft)!”

Z drugiej jednak strony Eisenhower kandydaturę swą zawdzięcza liberalnemu skrzydłu Partii Republikańskiej. A większość, którą w wyborach otrzymał, nie była z pewnością większością konserwatywną. Ludzie, którzy głosowali na generała, głosowali przeciwko Trumanowi, ale nie głosowali przeciwko reformom New Dealu. Na pytanie więc: czy i jak daleko pójdzie Eisenhower po drodze likwidowania pozostałości New Dealu? — trzeba odpowiedzieć, że politycy amerykańscy są praktykami, że częściej zasady przystosowują do rzeczywistości, niż rzeczywistość do zasad. W wypadku też poważnego kryzysu gospodarczego nowa administracja może być zmuszona — bez większego sprzeciwu ze strony Tafta — do użycia środków, które będą miały wspólnego z metodami New Dealu, niż ze wskazaniami Hoovera. Jest to bardzo możliwe!

III

W każdym razie — a zwłaszcza w dziedzinie polityki wewnętrznej — nową administrację czekają bardzo ciężkie zadania. Piszący te słowa nie zdziwiłby się, gdyby nie jeden z polityków demokratycznych z uczuciem ulgi przyjął tegoroczną porażkę i gdyby uczucie niepokoju przenikało serce niejednego z triumfujących Republikanów. Dużo bowiem przemawia za tym, że najbliższe czterolecie nie będzie łatwe dla partii u władzy.

Ameryka dziś przeżywa okres prosperity. Ale nawet już dziś, choć nie ma bezrobocia, choć Amerykanie wciąż kupują auta, elektryczne lodownice i aparaty telewizyjne, nie brak zapowiedzi nadciągającej burzy. Ta burza gospodarcza zapewne nie będzie tak ostra, jak katastrofa roku 1929, i zapewne jej następstwa nie będą zwalczane metodami Tafta — Hoovera. Ale pogorszenie gospodarcze jest bardzo możliwe i odpowiedzialność za to będzie przez wyborców przypisana partii rządzącej. Jest rzeczą pewną, że w wyborach obecnych lęk przed „republikańską” depresją był ważnym motywem, skłaniającym wielu wyborców, nawet spośród tych zniechęconych do rządów Trumana, do oddania swych głosów na Stevensona, jako dającego lepszą niż Eisenhower gwarancję utrzymania w Stanach Zjednoczonych obecnego stanu dobrobytu.

W takich warunkach Republikanie mogliby sobie powiedzieć, że lepiej jest przegrać w roku 1952, by zatriumfować w roku 1956 i w następnych czterolecich, niż wygrać w tym roku z dużą szansą klęski w roku 1956 i zapewne w następnych czterolecich. Rzecz jednak jest w tym, że Republikanie właśnie tego powiedzieć nie mogli, że musieli pójść za wszelką cenę na zwycięstwo tegoroczne, choćby z perspektywą klęski za cztery lata. I tu dochodzimy do najciekawszego i najważniejszego aspektu tegorocznych wyborów.

Tegoroczna kampania wyborcza była jedną z najbardziej dramatycznych i namiętnych w całej historii narodu amerykańskiego. Wynik jej do końca był zagadką. Wszystko w tej kampanii było niezwykle. Niezwykli byli kandydaci, niezwykle były metody walki, niezwykle była frekwencja przy wyborach i niezwykle były wahania w nastrojach wyborców. Początkowi fanatycy wielbicieli Generała stawiali się pod koniec kampanii nie mniej fanatycznymi wielbicielami Gubernatora. I odwrotnie, całe okręgi tradycyjnie demokratyczne ławą poszły za republikańskim kandydatem. Zawodowi specjaliści od prognoz wyborczych zupełnie potracili głowy — zresztą rok 1948 nauczył ich ostrożności.

Było też rzeczą wyraźną, że Partia Republikańska w wyborach tych zdobyła się na maksymalny wysiłek, by zwyciężyć. Wysunęła niezwyklego kandydata, zmobilizowała wszystkich swych ludzi — od Lodge'a i Aikena aż do Jennera i McCarthy'ego, użyła wszelkich środków, jakie pieniądź i współczesna technika dać mogą. I nawet ci Republikanie, którzy byli w pełni świadomi przyszłych trudności, wiedzieli, że w tym roku muszą wygrać, że przegrać im nie wolno.

Albowiem dla Republikanów i dla Eisenhowera była to walka na śmierć i życie. Stawką było tu samo dalsze istnienie Partii Republikańskiej jako partii ogólnonarodowej.

Musimy jasno stwierdzić, że w tym roku konsekwencje klęski byłyby zupełnie inne dla każdej z obu partii i dla każdego z obu kandydatów. Zaczniemy od kandydatów.

Dla Eisenhowera przegrana tegoroczna byłaby w ogóle zupełnym przekreśleniem jakichkolwiek szans jego dalszej kariery politycznej. Kandydat z takim nazwiskiem, z taką legendą, który przegrywa, nie może marzyć o dalszych próbach, musi opuścić widownię. Eisenhower miał do wyboru: albo Biały Dom, albo dożywotnią prezydenturę Uniwersytetu Kolumbijskiego.

Inaczej Stevenson. Przede wszystkim jest on o dziesięć lat młodszy od generała. Ale ważniejsze jest to, że w ciągu tych paru miesięcy dotąd nieznany Gubernator Illinois wyrósł do rozmiarów wielkiej postaci w skali narodowej i międzynarodowej. Nawet przeciwnicy jego musieli przyznać, że jest to postać niezwykła, że jest to materiał na bardzo wielkiego Prezydenta. Stevenson, stając się teraz nominalnym przywódcą swej partii, ma przed sobą cztery lata, które może poświęcić i na przebudowanie wewnętrzne swego stronnictwa i na dalsze rozwinięcie swego autorytetu. Nie, dla Stevensona klęska tegoroczna nie jest końcem kariery. Przeciwnie — może ona być dopiero jej początkiem. Takich ludzi, jak Stevenson, prędko się nie zapomina.

A i Partia Demokratyczna może z pewnością przetrzymać porażkę tegoroczną. I porażka ta nawet może wyjść dla niej z korzyścią. Przy wszystkich wahaniach w nastrojach społeczeństwa nie ulega wątpliwości, że Demokraci mają bardzo głębokie korzenie w masach narodu, że są partią dynamiczną, partią, która w przeszłości dała Jeffersona i Jacksona, a w czasach najnowszych — Wilsona, Roosevelta i Stevensona. I jakkolwiek tegoroczna przegrana jest dla Demokratów rzeczą bardzo przykłą i bolesną, to jednak nie jest ona klęską. Demokraci wiedzą, że czekają ich jeszcze dni lepsze.

Tej pewności Republikanie mieć nie mogli. Albowiem nawet ostatnie wybory nie zaprzeczyły faktowi, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci Wspaniała Stara Partia (Grand Old Party (GOP) — nazwa, którą Partia Republikańska chętnie się posługuje) staje się partią mniejszości. I że mniejszość ta powoli ale systematycznie się kurczy. Nie ulega wątpliwości, że ilość Amerykanów, utożsamiających się z Demokratami, jest większa niż tych, którzy wiernie stoją przy Republikanach.

Jeżeli Republikanie, jako partia ogólnonarodowa, mieli istnieć, to tendencja ta musiała być zatrzymana. Dokonać tego mogło tylko zwycięstwo wyborcze, które by wykazało, że partia jest wciąż żywotna, i które by w konsekwencji, dając jej władzę, umożliwiło odbudowanie się. Sama partia, jako taka, do odniesienia takiego zwycięstwa już nie była zdolna. Z tego zdawali sobie sprawę przywódcy jej anty-taftowskiego skrzydła. Konieczny był nowy przywódca, którego popularność osobista byłaby znacznie większa, niż popularność samej partii. Gdyby jednak taki przywódca zawiódł, gdyby Partia Republikańska, nawet pod wodzą Eisenhowera, poniosła klęskę, dalsze jej szanse jako partii ogólnonarodowej byłyby beznadziejne. Republikanie pamiętali, że mniej więcej przed stu laty w podobnych okolicz-

nościach zwyrodniała i zesła z widowni inna wielka partia amerykańska — Stronnictwo tzw. Whigów.

Powtarzamy raz jeszcze — dla Wspaniałej Starej Partii stawką w tegorocznej rozgrywce było jej dalsze istnienie. Walka szła na śmierć i życie.

IV

To, że GOP stawiała się partią mniejszości, ma swe głębokie historyczne uzasadnienie. Partia ta powstała w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch Wojny Domowej i skoncentrowała w swych szeregach te siły, które — głównie na Północy — dla tych czy innych względów były przeciwne separamatyzmowi Południa i instytucji niewolnictwa. Jak każda wielka partia amerykańska, tak i Republikanie od samego początku byli techniczną kombinacją bardzo różnorodnych grup i sfer interesów. Do nowej partii weszły niedobitki dawnych konserwatywnych Whigów, weszli skrajni nacjonaści z dziwacznej grupy, noszącej nazwę „Know-Nothing Party” i nienawidzącej wszelkich cudzoziemców (zwłaszcza Irlandczyków), i weszli radykalni „aboliconiści”, gorący wrogowie niewolnictwa jako instytucji sprzecznej z Deklaracją Niepodległości i z Pismem Świętym. Lincoln potrafił te sprzeczne elementy scharmonizować i poprowadzić do walki w imię wspólnej sprawy.

Jeszcze osobliwiej przedstawiała się ta koalicja od strony swego składu społecznego. Spotkali się tu ze sobą przedstawiciele Big Businessu przemysłowych miast północnych i radykalni farmerzy Środkowego Zachodu, wrogo usposobieni zarówno do kapitalizmu jak i do niewolniczej gospodarki plantacyjnej. Było to połączenie elementów kapitalistycznych, wysoce konserwatywnych, hołdujących zasadzie „what is good for business is good for America”, i radykalnych liberałów, zarówno farmerów jak i intelektualistów.

Od śmierci Lincolna, którego geniusz umiał tę koalicję utrzymywać w stanie równowagi wewnętrznej, szala wpływów w partii coraz bardziej przechylała się na stronę skrzydła konserwatywnego. Skrzydło to osiągnęło szczyt swoich wpływów za prezydentury Mc Kinley'a, kiedy to jak mówiono — drut telefoniczny bezpośrednio łączył Wall Street z Białym Domem.

Były to również czasy zaciętych walk między skrzydłem liberalnym i konserwatywnym w Partii Republikańskiej. Liberalowie mieli poważne oparcie w masach farmerskich, zwłaszcza na Środkowym Zachodzie, i mieli w swych szeregach wielu utalentowanych działaczy, ludzi odważnych i głęboko ideowych. Punkt kulminacyjny tych walk nastąpił w roku 1912, kiedy to republikanscy liberalowie, skupieni przy Teodorze Rooseveltcie, zerwali z prawicą i utworzyli nowe stronnictwo pod nazwą Partii Postępowej. Temu rozłamowi w obrębie Wspaniałej Starej Partii zawdzięczał swe zwycięstwo kandydat Demokratów Woodrow Wilson.

Ale jak wszystkie trzecie partie, tak i Partia Postępowa była zjawiskiem przejściowym. Rebelianci powrócili na łono dawnej partii. Nie wszyscy jednak; a i ci, którzy powrócili, nie czuli się w niej dobrze. Od roku bowiem 1920 konserwatywna Stara Gwardia była znów górą w Partii Republikańskiej. Tak że gdy nastała era New Dealu, wielu republikańskich liberałów uznało, że miejsce ich jest w szeregach Roosevelta.

Od roku też 1912 zachodzi coraz liczniejsze przenoszenie się elementów liberalnych z Partii Republikańskiej do Demokratycznej. Exodusowi temu Demokraci zawdzięczają wielu wybitnych przywódców. Dość wymienić tu Wallace'a i Ickes'a. Wielu też liberałów, nie wstępując oficjalnie do Partii Demokratycznej, zrywało jednak z Republikańską i dawało swe pełne poparcie Rooseveltowi. Wystarczy wymienić tu takich ludzi, jak wielki liberał senator George Norris z Nebraska, jak wspomniały dziennikarz William Allen White, jak wreszcie Fiorello H. La Guardia. W decyzji senatora Morse'a dania swego poparcia Stevensonowi i wystąpienia z Partii Republikańskiej można widzieć jeszcze jeden przykład tego długiego procesu.

Każda taka dezercja osłabiała liberalną grupę w Partii Republikańskiej i wzmacniała pozycję konserwatystów i Big Businessu. W okresie New Dealu, gdy Roosevelt ostatecznie skonsolidował nową koalicję demokratyczną, radykalizm republikański stał się jakąś formą szczątkową, zażytkiem czcigodnym, ale mało żywotnym. W obecnym Senacie, po apostazji Morse'a, tylko Aiken z Vermontu i Langer z Północnej Dakoty mogą być uważani za autentycznych przedstawicieli dawnego republikańskiego radykalizmu.

V.

Z samego swego założenia i historycznie rzecz biorąc, amerykańskie stronnictwo polityczne ma być szeroką koalicją, mieszczącą w sobie także i różne kierunki ideologiczne. Ze szkodą czy z korzyścią dla siebie, cechy te dotąd zachowywała Partia Demokratyczna, łącząca w sobie północny radykalizm i południowy konserwatyzm. Taki stan równowagi wewnętrznej w Partii Republikańskiej zanikał. W partii głos należał do konserwatystów w rodzaju Hoovera i Tafta, stających w obronie takiego systemu społeczno-gospodarczego, na który wyrok wydała sama historia.

Rooseveltowski New Deal był daleki od skrajnego radykalizmu. W swych treściach społecznych był bardziej konserwatywny, niż nowatorski. Był po prostu śmiałą próbą uratowania kapitalizmu amerykańskiego przez jego modernizację. Jeżeli kapitalizm ten miał zwycięsko wyjść z katastrofy Wielkiego Kryzysu, to musiał się przystosować do tych zmian, jakie niesła historia, to musiał odejść od „indywidualizmu” epoki Morganów, Vanderbiltoów i Carnegie'ch. Republikanie stawili opór

takiej modernizacji i w rezultacie przez lat dwadzieścia ponosili klęskę po klęsce, aż stali się partią mniejszości.

W coraz szybciej uprzemysłowującej się i urbanizującej się Ameryce filozofia republikańska nie mogła pociągnąć szerokich mas ludzkich, z których 16 milionów znalazło się w związkach zawodowych, mas ludzkich, coraz wszechstronniej i głębiej wchodzących w proces wielkiego mechanizmu nowoczesnej demokracji.

Od przeszło stu lat Partia Demokratyczna miała swe podstawy masowe — poza Południem — w wielkich centrach przemysłowo-miejskich. Industrializacja i urbanizacja Ameryki, powiększając ilość i znaczenie tych centrów, rozszerzały bazę masową Demokratów i tym samym zwężyły bazę republikańską. Ale z pewnym zastrzeżeniem: ta sama industrializacja i urbanizacja przyczyniają się do przenikania Republikanów na Południe, dotąd jednopartyjne, dotąd bezapelacyjnie rządzone przez Demokratów.

Jednym z najciekawszych faktów, towarzyszących ostatnim wyborom, są rozmiary sukcesu Republikanów na Południu. Przewidywano, że w tym roku Republikanie dostaną tam dużo głosów, nikt jednak nie oczekiwał aż takiego wyniku. Niewątpliwie Eisenhower, sam urodzony w Teksasie, był ogromnie popularny na Południu. Ale głosy, które tam padały i na innych kandydatów republikańskich poza Eisenhowerem, były tak liczne, że nie dadzą się wytłumaczyć tylko powszechnym w całym kraju entuzjazmem dla głównego kandydata. To nie były głosy w rodzaju tych, które tam padały w roku 1928 za Hooverem a przeciwko katolikowi Al. Smith'owi. W roku 1928 Południe gotowe było ścierpieć Republikanina, byle by tylko do Białego Domu nie dopuścić papisty! Nie, w roku 1952 było coś zupełnie innego. Ma się wrażenie, że Eisenhower umożliwił na Południu wydobyć się pewnych tendencji, które tam już od dawna dojrzewały.

Partia Demokratyczna powstała na Południu i dopiero z czasem zapuściła głębokie i mocne korzenie na Północy. W swym okresie początkowym za Jeffersona, była ona partią południowego radykalizmu, szermierką sprawy warstw niezamożnych. Równocześnie jednak broniła ona idei decentralizmu w systemie federalnym, walczyła w imię praw i przywilejów stanowych. To ostatnie z czasem uczyniło z niej na Południu obrończynię lokalnych instytucji, w pierwszym rzędzie — niewolnictwa. W okresie Wojny Domowej południowi Demokraci stali się partią secesji, partią walki z republikańską Północą.

W rzeczywistości południowi Demokraci przetworzyli się w stronnictwo skrajnego konserwatyizmu, broniącego ideałów najbardziej prymitywnego agrarystyki plantatorskiego. Jeżeli na Północy konserwatywni Republikanie są apostołami industrializmu czasów, które minęły, to podobnie na Południu konserwatywni Demokraci (istnieje tam również silny prąd liberalno-

demokratyczny, ale jest on osobnym zagadnieniem) stali się wyrazicielami agraryzmu czasów, które należą do przeszłości.

Fakt, że w tym roku po raz pierwszy Partia Republikańska wystąpiła na Południu jako czynnik o dużym znaczeniu, jest świadectwem głębokich przemian, zachodzących w tej części Stanów Zjednoczonych. Południe industrializuje się, rozwijają się tam duże ośrodki miejsko-przemysłowe. A wraz z nimi powstają tam związki zawodowe i kształtuje się demokracja nowego typu, bardziej zbliżony do północnego. Senator Sparkman może być słusznie uważany za eksponenta tego nowego południowego liberalizmu demokratycznego. W jeszcze bodaj większym stopniu da się to powiedzieć o Kefauverze, reprezentującym szybko uprzemysłowiający się stan Tennessee.

Ale zarazem, właśnie dzięki industrializacji, zaczynają się wyłaniać w stanach południowych środowiska społeczne, całą racją swego istnienia i całym swym charakterem związane z Big Businessem i z natury rzeczy ciężące do północnego republikanizmu. Nie jest rzeczą przypadkową, że na Południu, właśnie w miastach, Eisenhower otrzymał tak dużo głosów. Na Południu zdaje się zachodzić swego rodzaju rewolucja polityczna — następstwo rewolucji społeczno-gospodarczej. Powstaje tam system dwupartyjny i równocześnie zaczyna się modernizować miejscowy demokracizm.

Są to przemiany o kolosalnym znaczeniu, przemiany, których dalsze konsekwencje sięgną zapewne bardzo daleko. Czy jednak są to przemiany czysto lokalne, ograniczone wyłącznie do Południa? Mamy wrażenie, że zachodzi tu coś więcej, mamy wrażenie, że ostatnie wybory znów na porządku dziennym postawiły zagadnienie oblicza i przyszłości amerykańskiego systemu dwupartyjnego.

Sytuacja, spowodowana przez tegoroczne wybory, nie należy do prostych. Zwyciężyła partia, która jest mniejszością i to nie przypadkową mniejszością. Zwyciężyła partia, w której dominuje filozofia konserwatywna — wspomnienie czasów, do których powrotu już nie ma. I partia ta zwyciężyła w warunkach historycznych niezbyt dla siebie przyjaznych. Co zaś najważniejsze — partia ta nie ma tej równowagi wewnętrznej, jaką normalnie amerykańskim partiom politycznym daje kombinacja dwóch skrzydeł — liberalnego i konserwatywnego.

Jednakże Partia Republikańska ma też i silne atuty w swym ręku. Ma wyjątkowego przywódcę, udało się jej zapuścić korzenie na Południu. I ma przed sobą cztery lata na wzmocnienie swych pozycji, na przebudowę wewnętrzną. To w zasadzie powinno być wielkim zadaniem nowego przywódcy — Prezydenta Dwighta Eisenhowera. Jeżeli bowiem taka modernizacja nie nastąpi, to wątpliwe się staje, by wyjątkowa szansa roku 1952 jeszcze raz się powtórzyła i by Partia Republikańska przestała być partią mniejszości. Od tego zaś może zależeć przyszłość amerykańskiego systemu dwupartyjnego.

VI.

Istota tego systemu polega na istnieniu alternatywy w stosunku do partii u władzy. Jest nią partia opozycyjna, na tyle silna, że przerzucenie się na jej stronę choćby tylko części wyborców daje jej władzę w Unii. Słowem — musi tu zachodzić liczebna równowaga obu partii. Jeżeli jej nie ma, jeżeli jedna z partii jest z góry skazana na porażkę, albo jeżeli swe zwycięstwo zawdzięcza tylko wyjątkowym okolicznościom (w rodzaju posiadania głównego kandydata o niezwyklej popularności osobistej) — system przestaje sprawnie działać i ulega zwyrodnieniu.

Ten system alternatywnego wyboru datuje się od samego początku istnienia Unii. Ojcowie Konstytucji nie odnosili się zyczliwie do instytucji partii politycznej i ostrzegali przed tym, co w Polsce przedwojennej nosiło nazwę „partyjnictwa”. Niemniej jednak sami byli ludźmi partyjnymi i całą praktykę młodej republiki skierowali w łóżysko systemu partyjnego.

Dwaj pierwsi prezydenci — Washington i Adams — byli Federalistami. Od Jeffersona zaczyna się szereg prezydentów, reprezentujących partię demokratyczno-republikańską, poprzedniczkę dzisiejszej Partii Demokratycznej. Z Harrisonem dochodzi do głosu nowa partia — Whigów, która zajęła miejsce Federalistów i która stała się alternatywą dla Demokratów. Aż do wyboru Lincolna to Whigowie, to Demokraci zasiadali w Białym Domu. Dopiero Lincoln zapoczątkował długi okres rządów republikańskich. W rzeczywistości aż do zwycięstwa Roosevelta w roku 1932 tylko dwaj prezydenci — Grover Cleveland i Woodrow Wilson — byli Demokratami. W całości dziejów Stanów Zjednoczonych Demokraci rzadziej dochodzili do władzy, niż ich oponenti, w różnych epokach noszący różne nazwy. Ale wśród tych demokratycznych prezydentów byli mężowie tej miary, co Tomasz Jefferson, Andrew Jackson, Woodrow Wilson i Franklin Delano Roosevelt.

W ciągu też całej dotychczasowej historii Stanów Zjednoczonych układ alternatywny utrzymywał się w całej mocy. Prawda, że bywały w nim zakłócenia. Partia Whigów uległa rozkładowi, ale było to zjawisko przejściowe i miejsce Whigów szybko zajęła nowa, dynamiczna partia lincolnowskich Republikańców. W czasach późniejszych przez długie lata Demokraci ponosili klęskę po klęsce. Ale byli wciąż wielką siłą, regenerującą się, zdolną dwukrotnie wybrać Clevelanda i zapewnić dwie kadencje Wilsonowi. A w epoce Roosevelta przeżyli swe wspaniałe odrodzenie.

System dwupartyjny ma mocne korzenie w ziemi amerykańskiej. I ma za sobą głębokie uzasadnienie historyczne. Przy wszystkich swych brakach, system ten spełnia swe zadania. Stworzył on koryto, którym płynie nurt demokracji amerykańskiej. Nie jest rzeczą przypadkową, że wszystkie próby tworze-

nia „trzecich” partii — a prób takich było dużo — z reguły kończyły się niepowodzeniem, były czymś przejściowym i w rezultacie przynosiły powrót do systemu dwupartyjnego.

Logicznie rzecz biorąc, Partia Republikańska powinna stać się partią zmodernizowanego konserwatyzmu, a wszystkie siły amerykańskiego liberalizmu winny się skupić w Partii Demokratycznej. W oczach Europejczyka taki podział partyjny byłby niewątpliwie czymś najzupełniej uzasadnionym, zdrowym, najlepiej odpowiadającym interesom demokracji amerykańskiej. Analogia z systemem brytyjskim narzuciłaby się tu siłą rzeczy. I nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że w tym kierunku posuwa się rozwój demokracji amerykańskiej. Jeżeli jednak tak jest, to nie wynika stąd, by przeobrażenie takie miało być rzeczą łatwą i szybką.

Niejednokrotnie powoływano się na to, że układ sił, jaki za czasów Trumana powstał w amerykańskich ciałach przedstawicielskich, wskazuje kierunek wielkiej przemiany. Z jednej strony wytwarza się koalicja północnych Demokratów, liberalnych Demokratów południowych oraz tego, co pozostało z liberalnego skrzydła Partii Republikańskiej. Z drugiej strony konsoliduje się nowa grupa, obejmująca Republikanów (bez skrzydła radykalno-liberalnego) i konserwatywną większość Demokratów południowych. Nowa Partia Demokratyczna oparłaby się na związkach zawodowych, części farmerów i inteligencji; nowa Partia Republikańska miałaby za sobą Big Business, zamożne klasy średnie i część farmerów. W zmienionej formie podział ten szedłby według dawnego podziału na zwolenników i wrogów New Dealu.

Sprawa jednak — powtarzamy — nie jest tak prosta, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało. W życiu politycznym każdego kraju racje logiki nie koniecznie muszą decydować. Większe znaczenie mają tu racje historii i dziesiątki innych racji nie dających się zamknąć w proste i jasne formuły.

VII.

W wypadku nowego podziału ideologiczne oblicze każdej partii musiałoby zostać wyraźnie zdefiniowane. Innymi słowy, partia amerykańska z kombinacji technicznej musiałaby się przetworzyć w grupę ideologiczną. Zadanie proste w Europie, ale nie w Stanach Zjednoczonych.

Prawdą jest, że amerykańskie stronnictwa polityczne nie zawsze były tylko kombinacjami technicznymi. Były wyraźne różnice ideologiczne pomiędzy Federalistami i jeffersonowskimi Demokratami. Były one niemniej wyraźne pomiędzy Whigami i Demokratami i pomiędzy Republikanami i Demokratami w dobie Wojny Domowej i po niej. Ale nawet w tych wczesnych okresach dziejów Stanów Zjednoczonych było zachowane w obrębie każdej partii szerokie miejsce dla znacznej rozbieżności

poglądów. Nigdy żadna z tych partii nie wypracowywała dla siebie — a i wypracowywać nie zamierzała — jakiegś sztywnej doktryny, jakiegoś sprecyzowanego wyznania wiary, wiążącego dla całej grupy.

Próby takie zresztą, gdyby były podejmowane, byłyby przedsięwzięciem bardzo niebezpiecznym. W kraju, który jest wielkim kontynentem, w ustroju, który jest federacją, w społeczeństwie, które jest tak różnorodne, tak zregionalizowane i tak dynamiczne — stronnictwo polityczne musi zachowywać dużą elastyczność ideologiczną, nie może sobie pozwolić na zbyt daleko posuniętego doktrynalizmu. Najwięcej o tym mówi los socjalistów, komunistów i całej plejady małych partyjek, nie mających najmniejszego oparcia w masach narodu amerykańskiego.

I z góry można przewidzieć, że i przyszłe programy amerykańskich partii politycznych — przyjmując, że w partiach tych zajądą duże przemiany — będą unikać wszelkiego rygoryzmu doktrynalnego, że zadowolą się ogólnikami i że... w swych sformułowaniach niezbyt się różnić będą od siebie. Różnice — jak to i dotąd miało miejsce — będą się bardziej wyrażać w działaniach, niż w programach.

Ten stan rzeczy raczej ułatwia partiom przechodzenie na płaszczyznę dokładniejszego ideologicznego krystalizowania się. Bez deklaracji i bez programów Partia Demokratyczna będzie nadal koncentrować dokoła siebie żywioły liberalne, Partia Republikańska — konserwatywne. Im bardziej jednak ta ostatnia w działaniu zmodernizuje swój konserwatyzm, tym realniejsze będą jej szanse istnienia i rozwoju. W każdym razie ów proces ideologicznej krystalizacji będzie w obu partiach, zakładając oczywiście modernizację, procesem stopniowym, szukającym rozwiązań praktycznych, unikającym rozwiązań doktrynalnych.

Są jednak ważne względy, które utrudnią taki proces przechodzenia — choćby ostrożnego i stopniowego — partii amerykańskich z płaszczyzny technicznej na ideologiczną. Pamiętajmy o tym, że obie dzisiejsze kombinacje partyjne są tworem historycznymi, że są wynikami długiego następstwa wydarzeń dziejowych. I nie na mocy ślepego przypadku poszczególne elementy każdej z dwóch koalicji znalazły swe miejsce w jej obrębie.

Południowy Demokrat w Kongresie może iść razem z Republikanami. W rzeczywistości jest on im znacznie bliższy, niż swym północnym towarzyszom partyjnym. Ale na samym Południu dla szerokich mas — dla mas najbardziej obskurantkich i reakcyjnych — Partia Republikańska jest wciąż partią Lincolna, partią, która na głowę Południa sprowadziła jego klęskę, jego poniżenie, ruinę jego instytucji. Ten południowy Demokrat nie łatwo opuści partię, za którą on sam, i ojciec jego, i dziad, i pradziad szli i w którą wierzyli. Nie porzuci partii Jeffersona i Jacksona dla partii Lincolna.

I analogicznie radykalny farmer Vermontu czy Północnej Dakoty, ten sam, który pomstuje na Wall Street, nie łatwo wyrzeknie się partii, dla której ród jego od stu lat zachowywał wierność. Potrzebny był cały wstrząs lat Wielkiego Kryzysu, aby masy farmerskie Środkowego Zachodu zaczęły głosować na Demokratów. W roku bieżącym duża ich część, porwana urokiem Eisenhowera, znów powróciła do starej partii.

Te momenty czysto irracjonalne będą poważną przeszkodą na drodze transformacji amerykańskiego systemu dwupartyjnego. Największa jednak trudność będzie leżała gdzie indziej. Będzie nią podwójny charakter amerykańskich stronnictw politycznych, to, że działają one na dwóch płaszczyznach — ogólnonarodowej i lokalno-stanowej.

Na tych dwóch płaszczyznach rozwija się całe w ogóle życie polityczne narodu amerykańskiego. Nieraz zachodzi tu zbieżność interesów i dążeń — tych ogólnonarodowych i tych regionalno-stanowych. Ale nie koniecznie i nie zawsze. Wyborca amerykański, głosując w skali ogólnonarodowej — to jest na Prezydenta — może kierować się zupełnie innymi motywami, niż gdy głosuje w skali stanowej — na Gubernatora, na Kongressmana, nawet — na Senatora. W Stanach Zjednoczonych tylko część wyborców oddaje swe głosy na tzw. straight ticket, to jest na wszystkich kandydatów danej partii, wystawionych w danym okręgu. Duża część wyborców głosuje na split ticket, wybierając swych kandydatów z list obu partii, nieraz — i z list małych partii lokalnych. Stąd nie jest rzeczą rzadką, że dany rejon, oddając większość swych głosów kandydaturze prezydenckiej jednej partii, wybiera np. Gubernatora czy Kongressmana z partii przeciwnej. W jednym wypadku decydują zainteresowania i sympatie w skali ogólnonarodowej, w drugim — interesy i sympatie, wynikające z warunków lokalnych.

Ta dwoistość motywów i działań w zależności od płaszczyzny — ogólnonarodowej lub regionalno-stanowej — znajduje swe szczególne odbicie w praktyce amerykańskich partii politycznych. Inaczej wyglądają one, gdy działają jako partie ogólnonarodowe, i inaczej, gdy występują jako partie stanowe.

Jako partie ogólnonarodowe są one bardzo luźne i słabe pod względem organizacyjnym. W partii u władzy siłą zespalać ją jest tu Prezydent — faktyczny przywódca swego stronnictwa. W partii opozycyjnej przywódca — pokonany kandydat na Prezydenta — jest zazwyczaj bardziej przywódcą nominalnym niż rzeczywistym.

Inaczej jest na płaszczyźnie stanowej. I tu — rzecz jasna — partia rządząca ma w osobie Gubernatora swego naturalnego przywódcę. Ale poza Gubernatorem — zarówno w partii rządzącej jak i opozycyjnej — utrzymują się pewne więzi organizacyjne, znacznie silniejsze niż na szczeblu ogólnonarodowym. Mogą się one wyrażać w instytucji „bossów” partyjnych, ich maszyn, w działaniu pewnych zespołów ideologicznych, czy wreszcie w różnych innych formach koordynacji działań.

Nie ulega też wątpliwości, że w Stanach Zjednoczonych partyjne organizacje stanowe są podstawą, na której opiera się cały system partyjny. Federalizm ustroju państwowego ma w organizacji partii politycznych swe dokładne odbicie. Partie ogólnonarodowe wyrastają z partii dzielnicowych, nie zaś odwrotnie, jak to się dzieje w większości krajów Europy.

Otóż system dwupartyjny przedstawia się na płaszczyźnie stanowej znacznie zdrowiej i mocniej, niż to ma miejsce na płaszczyźnie ogólnonarodowej. Do tej pory wyjątkiem było tu Południe, gdzie faktycznie istniał system jednopartyjny. Dziś jednak i na Południu zachodzą pod tym względem poważne zmiany, zapowiadające wytworzenie się tam z czasem rzeczywistego systemu dwupartyjnego.

W większości stanów system ten istnieje naprawdę. Partia w opozycji stanowi tu rzeczywistą alternatywę dla partii u władzy. Niewątpliwie istnieją stany republikańskie i stany demokratyczne. Na ogół wielkie miasta są demokratyczne, okręgi wiejskie — republikańskie. Jednakże dysproporcje w sile obu partii nie są tu zbyt rażące i utrzymana jest możliwość zastąpienia partii u władzy przez jej opozycyjną alternatywę.

W stanowych organizacjach partyjnych utrzymała się również wewnętrzna alternatywa między liberałami i konserwatystami. Liberalizm republikański, tak słaby na szczeblu federalnym, zachował dużo ze swej dawnej siły na szczeblu stanowym. Zaznacza się to szczególnie w tzw. wyborach wstępnych, czy prawyborach (primaries) — instytucji niesłychanie ważnej, której istotne znaczenie jest wciąż niezrozumiałe dla świata pozaamerykańskiego. Owe primaries mają za zadanie ustalenie kandydatur, które z ramienia danej partii mają w najbliższych wyborach wystąpić do walki. Nie w wyborach właściwych, ale w primaries najlepiej też się wypowiada różnicowanie ideologiczne narodu amerykańskiego. To, czy aspirant do kandydatury jest liberałem czy konserwatystą, ma bardzo często w tych wyborach wstępnych znaczenie największe. I bez przesady można powiedzieć, że ideologiczne oblicze federalnych ciał przedstawicielskich nie jest ustalane w wyborach właściwych, ale w prawyborach.

Oczywiście w walkach między liberałami i konserwatystami, jakie rozgrywają się w czasie primaries, decydującą rolę mają względy polityki lokalnej. Jako kryterium podziału służą tu nie tyle ogólne poglądy ubiegających się, ile ich praktyczna działalność. „Liberał” będzie np. zwolennikiem programu federalnego w dziedzinie elektryfikacji. „Konserwatysta” będzie za pozostawieniem tej dziedziny inicjatywie prywatnej. „Liberał” będzie domagał się wprowadzenia systemu przymusowych ubezpieczeń społecznych. „Konserwatysta” i tu wypowie się za inicjatywą prywatną, lub zwalczać będzie podjęcie danego programu w skali federalnej. W zależności od warunków lokalnych inne praktyczne zagadnienia mogą tu być przedmiotem dysputy. Rzecz jasna, poza tymi odmiennymi ujęciami praktycz-

nych rozwiązań kryją się jakieś ogólniejsze koncepcje filozoficzne, określane w Stanach Zjednoczonych jako „liberalizm” i „konserwatyzm”. Sama jednak walka toczy się dokoła momentów natury praktycznej.

Jeżeli więc amerykański system dwupartyjny w jego obecnej formie wyraźnie szwankuje na szczeblu ogólnonarodowym, to na ogół wciąż wytrzymuje on próbę czasu na szczeblu lokalno-stanowym. I dopóki amerykańskie stronnictwa polityczne podstawy swe mają w partiach stanowych, dopóty przeobrażenia w skali ogólnonarodowej będą rzeczą bardzo trudną.

VIII.

A jednak w jakiejś formie będą one musiały nastąpić. Wybory ostatnie na to wyraźnie wskazują. „Cud” Eisenhowera nie będzie się powtarzał co każde czterolecie. Procesy obiektywnych przemian społeczno-gospodarczych nie będą zatrzymane — Partia Republikańska, jeżeli ma istnieć i po roku 1956, będzie musiała pójść w kierunku jakiejś modernizacji. Zwłaszcza, że na scenę życia amerykańskiego wstąpiła nowa postać, mająca wszelkie cechy prawdziwej wielkości. Postacią tą jest pokonany w tym roku kandydat demokratyczny Adlai E. Stevenson.

Republikanie są przeciwnikami silnej władzy centralnej. Pod tym względem nawiązują oni do części poglądów swego wielkiego antagonisty historycznego — Tomasza Jeffersona. Demokraci z kolei pod tym względem są bliżsi ideom swego wielkiego antagonisty historycznego — Alexandra Hamiltona. Ale bez względu na wszelkie tradycje i dawno minione teorie polityczne, faktem jest, że funkcje i zakres działania rządu federalnego stale się rozrastają i rozrastać muszą. Eisenhower obiecał, że funkcje te znacznie zredukuje. Wśród różnych obietnic, złożonych w czasie kampanii przez kandydata republikańskiego, ta ostatnia budzi szczególne wątpliwości. Ameryka drugiej połowy wieku XX bardzo się różni od Ameryki Jeffersona. I trudno sobie wyobrazić, by mogły nastąpić jakieś poważniejsze redukcje w aparacie federalnym.

Ten rozwój aparatu federalnego idzie w parze ze wzrostem znaczenia polityki ogólnonarodowej. Jej wpływ na sprawy lokalne od czasów ostatniego Roosevelta jest coraz większy. I — bez względu na to, jaka partia rządzi w Waszyngtonie — będzie coraz większy. Albowiem — jak mówił Lincoln — „nie można uciec przed historią”.

Czy Grand Old Party, kierowana przez Prezydenta Eisenhowera, potrafi to uczynić — o tym powie nam przyszłość. Wielka jest jednak żywotność demokracji amerykańskiej i potężny jest jej instynkt znajdowania szczęśliwych rozwiązań praktycznych.

Aleksander HERTZ

O kilku błędach

Wrażliwość człowieka na błahę rzecz i niewrażliwość na wielkie rzeczy, oznaka dziwnego przewrotu.

PASCAL

Był to błąd udratyzowany, komedia pomyłek odegrana w czasie pogrzebu: przedstawiciele Świętego Synodu szli za trumną Dostojewskiego uważając, że zmarły jest ich własnością; za nimi szła rewolucyjna młodzież przybrana w łańcuchy na przypomnienie że zmarły cztery lata spędził na zesłaniu. Ta młodzież również wierzyła, że żegna jednego ze swoich, ich rewolucyjnego pisarza.

W istocie Teodor Dostojewski jest pierwszym wielkim rewolucyjnym powieściopisarzem, prekursorem tych których wielu nazywa dzisiaj „ex-komunistami”. Bo on to pierwszy stworzył bohatera, który jest w mocy *bezosobowej* idei, aże ta staje się wreszcie nieposkromioną namiętnością. Zwykły powieściopisarz pokazuje raczej namiętność rodzącą idee, w najlepszym wypadku *idées fixes*. Zasadniczy problem zwykłego powieściopisarza sprowadza się do pytania: czy powinien ukazać namiętność jako słabość a bohatera jako niewolnika życia, czy też ukazać namiętność jako siłę, a bohatera zrobić władcą życia?

Tylko Balzac i Tolstoj, wydaje mi się, rozwiązyali ten problem dowodząc, że bohater pełen namiętności jest zarazem władcą i niewolnikiem. Swój sukces zawdzięczają w znacznym stopniu temu, że ich powieści dają nie tyle głębie, ile rozpiętość życia — sprawa ilości, niemniej niż jakości. Rzecz dziwna, ich osiągnięcie nie było zbyt pomocne pisarzom, którzy przyszli po nich. Najlepsi powieściopisarze namiętności w naszych czasach, Hemingway i Faulkner, pozostają więźniami alternatywy. Centralne postacie Hemingway'a są pokonanymi władcami, centralne postacie Faulknera pokonanymi niewolnikami. Ich dzieła są smutne, ale nie tragiczne. W epoce romantyzmu nieszczęśliwy koniec jednostki wystarczał do tragedii. W naszej epoce tragedią może być tylko nieszczęśliwy koniec człowieka.

Mitja Karamazow zgodnie z przyjętymi wzorami literatury pięknej, jest znacznie ciekawszą i lepiej narysowaną postacią niż jego brat Iwan. Jednak Iwan, ojciec Zosima i Alosza są głównymi postaciami książki, którą wielu krytyków nazwało źle skonstruowaną, mętną i ohydnie rozgadaną powieścią kryminalną. To co Dostojewski uważał za istotne i dla siebie i dla każdego, i dla Iwana i dla innych osób, uważają również za istotne pisarze „ex-komuniści”: człowiek nie może żyć bez wielkiej idei: jeżeli nie ma Boga, albo jeżeli jak obwieścił Nietzsche „Bóg umarł”, człowiek nie może nie stać się Bogiem i sam musi decydować czy ziemia ma być niebem czy piekłem. Bez zadawalającej odpowiedzi na pytanie „Za co warto umrzeć?”, nie można pojąć za co warto jest żyć. Ojciec Zosima ofiarowywał pokorę jako drogę do harmonii, ale Iwan odrzucił harmonię mówiąc: „Zostanę raczej z moją niepomszczoną męką i z moim nienasyconym gniewem... Zresztą cena za wejście w stan harmonii jest za wysoka; płacić tak dużo to nie na nasze środki. I dlatego spieszę, aby oddać z powrotem mój bilet wstępu”.

Mitja Karamazow jest określony przez sytuację, która rozwija się z konfliktu pomiędzy jego namiętnością i światem. Natomiast Iwan jest określony przez pozycję, do wybrania której zmusza go jego idea. (Gdyby Sokrates w czasie swego procesu i później w celi zastanawiał się nad swoją sytuacją, mógłby zostać ocalony. Ale aż do końca zajęty był swoją pozycją i starał się jak mógł żeby była ona jasna. Jakże przypomina bohatera tych „ex-komunistycznych” powieści).

Na ogół w powieści są sytuacje osobiste i jako tło pozycje społeczne. W powieści nowego typu — nazwijmy ją filozoficzną czy rewolucyjną — ale nie jak postaram się wykazać, polityczną — porządek jest odwrócony: pojawiają się pozycje osobiste i sytuacje społeczne. Wygodne dotychczas praktyki już nie istnieją, tło może łatwo stać się pierwszym planem i odwrotnie, zresztą ich miejsce zmienia się często. Czytelnik nie jest już pewien kto jest centralną postacią. Może się o tym dowiedzieć dopiero na ostatniej stronie, choć może ta ostatnia strona nie jest ostatnią. Może jest to malowidło na ścianie która nie ma końca i wszystko jest fragmentaryczne? Pomimo tysiąca stron „Bracia Karamazow” pozostają fragmentem. Ta gmatwanina tła i pierwszego planu, historycznych wydarzeń i wymyślonych istnień i działań ma szczególnie ciekawy wpływ na sądy estetyczne. W literaturze tego rodzaju rola fikcji, wyobraźni i wynalazczości jest bez porównania ważniejsza niż w dziękujędziesięciu pięciu procentach innych powieści. Jednak niewielu czytelników w to uwierzy. Połączenie różnorodnych elementów działa na bezpośrednią rzeczywistość jak żywy koń wprowadzony na scenę obok aktora; prostoduszna publiczność wierzy wtedy zaraz, że się znalazła oko w oko z prawdziwym królem Ryszardem. Trzeba być autorem tego rodzaju powieści i czytać o nich recenzje, aby wiedzieć do jakiego stopnia krytycy, szczególnie ci sprytni, są wprowadzani w błąd przez obecność prawdziwego konia.

Właśnie dlatego podobni krytycy — i nie tylko oni — utrzymują, że taka literatura jest niczym więcej niż mieszaniną reportażu i publicystyki.

Zgódźmy się na początek, że opowiadanie nie jest jeszcze powieścią. Jest ono określone i ukształtowane przez akcję, którą opisuje. Bohaterzy opowiadania myślą i mówią wtedy kiedy trzeba posunąć naprzód i wytłumaczyć akcję. Powieść, przeciwnie, może opisywać setki akcji, a jednak nie być zależną od żadnej z nich. Ma ona opisywać rozwój nie akcji, ale myśli i namiętności, sytuacje i pozycje, zgodnie z charakterami.

Powieść filozoficzną można raczej porównać z bajką w której występują dziwnie gadatliwe zwierzęta, niż z opowiadaniem, długim czy krótkim. Czy na przykład „Moby Dick” jako opowiadanie o morskich przygodach, równe jest dziełu Coopera albo Marryat’a? Jest równe w tym sensie w jakim „Hamlet” jest opowieścią o duchach, albo w jakim sen o ciągłym spóźnianiu się na pociąg ma związek z podróżami pociągami. Niemniej wielu ludzi utrzymuje (a między nimi i sam Melville) że ta powieść jest filozoficzną alegorią i widzą w Melville’u prekursora Dostojewskiego i Kafki, raczej niż prekursora Conrada.

Swift był namiętnym pamphletystą; rozgoryczony przez daremne polityczne ambicje zabrał się do napisania przenikliwej politycznej i społecznej satyry. Dzisiaj „Podróżę Guliwera” są dla dzieci opisem niezwykłych podróży; dla niektórych dorosłych jest to największa bajka filozoficzna jaką kiedykolwiek napisano. Przypomnijmy Cervantesa, proroków hebrajskich czy Homera: człowiek wkracza niekiedy w ponad-czasowość, jeżeli dźwięczy w nim ton jednego czasu — jego czasu. Przypomnijmy też Stendhala. Przepowiedział on (słusznie), że dopiero późniejsze pokolenia ocenią go w pełni. Dzisiaj większość jego czytelników rozumie, że Julien Sorel nie jest to tylko inaczej nazwany Antoine Berthet, młody morderca, który mieszkał w Grenoble i został tam stracony 23 lutego 1828 roku. A „Czerwone i czarne” jest czymś bardzo różnym od reportażu o tym wypadku (Stendhal studiował go w „Gazette des Tribunaux”). Powieści tej nie czyta się już jako przerebionej gazeciarskiej sensacji — wpływ czasu zapobiegł możliwości podobnego błędu.

Zajmijmy się innym błędnym przypuszczeniem: że powieść polityczna i powieść filozoficzna są tym samym. Dobra polityczna powieść — rzadkie osiągnięcie o wielkim wychowawczym znaczeniu — jest epickim obrazem pewnego społecznego stanu rzeczy i wywołanych przez ten stan konfliktów. Jej bohaterami są przede wszystkim reprezentanci klas społecznych, grup politycznych, przywódcy i chór.

Autentyczność faktów i prawda socjologiczna są niezbędne. Wpływ tych powieści na czytelnika może stać się sam w sobie faktem społecznym. Emil Zola, Maksym Gorkij i Upton Sinclair na przykład zrobili więcej dla klasy robotniczej na całym świecie niż większość zawodowych proletariuszy. Nie jest przypadkiem, że ich książki były i są czytane przez miliony robotników.

„Germinal”, „Matka”, „Jimmie Higgins” po jednej stronie — „Dola człowieka” Malraux, „Ciemność w Południe” Koestlera, „1984” Orwell’a — po drugiej: różnica zasadnicza jest również oczywista, jak różnica pomiędzy historią i filozofią historii. „Dola człowieka” jest i nie jest kroniką rewolucji w Chinach, „Ciemność w Południe” jest i nie jest wytłumaczeniem moskiewskich procesów; „1984” jest i nie jest obrazem w pełni zrealizowanego totalitarnego państwa. Wypadki i akcje są tylko surowym materiałem, pretekstem niezbędnym, aby pojawił się rzeczywisty przedmiot: jest nim ewolucja świadomości jako czynnik, nie jako lustro. Nie historia, ale *znaczenie człowieka* w historii jest tutaj problemem.

„Dola człowieka” mówi, że jeżeli godność człowieka jest warta aby w jej imię żyć, warta jest również aby w jej imię umierać i zadawać śmierć. „Ciemność w Południe” mówi, że Rewolucja Rosyjska jest warta, aby za nią umierać, ale nie warta aby za nią żyć.

„1984” mówi, że człowiek w totalitarnym państwie traci swoją możliwość wyboru rzeczy za które warto żyć czy umierać i, ulegając dehumanizacji, traci nawet swoją szansę, umierania przeciwko czemuś.

To jest oczywiście obsesja, krążenie dookoła *ultima ratio* — dookoła śmierci. Wszyscy ci autorzy stracili całkowicie z oczu najbardziej powszechną osobistą ideę — szczęście. Jest więc w nich coś nieludzkiego, jak w każdym kto zbyt łatwo odrzuca szczęście.

Słyszysz się często głosy, że autorzy ex-komuniści, rozczarowani do komunizmu upierają się, aby ich uznano za wiarygodnych świadków przeciwko ich wczorajszej wierze i ich wczorajszej partii. „Nie należy ufać ich świadectwu”, mówi się, „tak jak nie należy ufać świadectwu żadnego renegata”.

Mówić o rozczarowaniu ex-komunistycznych filozoficznych pisarzy jest błędem. Ich zwątpienie w partię komunistyczną jest niewątpliwie ważnym, ale bynajmniej nie najważniejszym aspektem. Ponieważ ich obsesją były pewne metafizyczne i etyczne idee (wolno je nazwać złudzeniami) oddali się komunizmowi. Ponieważ nie chcieli się wyrzec swoich „złudzeń” porzucili partię i walczyć dziś przeciwko niej w ten sposób w jaki walczyli wczoraj przeciwko nazizmowi i w jaki będą walczyć jutro, po klęsce Stalina, przeciwko czemuśkolwiek co będzie sprzeczne z ich wyobrażeniem o prawach człowieka, jego zadaniach i jego godności. Nie są renegatami. Dlatego są raczej nieprzyjemni i często tak niesympatyczni jak umieją być tylko ludzie, którzy sądzą, że oni jedni bronią prawdy zagrożonej przez potężnych fałszerzy i uzurpatorów. Ich udziałem jest stare doświadczenie: ludzie zapewniali, że wiedzą o co chodzi, zanim ich usłyszą, a zapominają, o co chodzi zanim zdążą zrozumieć.

Tylko heretycy wiedzą jakiej siły potrzebuje człowiek aby znieść samotność, po długim należeniu do wierzącej wspólnoty. Większość ex-komunistów potrzebowała miesięcy i lat aby ze-

brać odwagę i skoczyć w nicość. Dziś muszą być silniejsi niż byli kiedykolwiek. Ale dlaczego w takim razie nie chcą milczeć? Tak, wielu z nich zamilkło na całe lata; ale wreszcie wyszli z tego ostatniego, narzuconego sobie, schronienia, skoro tylko stało się oczywiste że milcząc jest się współnikiem i fałszywym świadkiem, bo *ich* milczenie może być łatwo interpretowane jako zgoda.

Mają oni też inny, może decydujący motyw aby pisać. Trzydzieści, nawet dwadzieścia lat temu komunizm mógł zdawać się pierwszym powszechnym, nie-religijnym wezwaniem do odkupienia człowieka raz na zawsze przez całkowitą ofiarę. Dzisiaj komunizm jest największym nie-religijnym oszustwem znanym w dziejach. Gdyby nie pozostali wierni temu co popchnęło ich do komunizmu, ci ludzie (a siebie do nich zaliczam) nie byłiby dzisiaj na pierwszej linii frontu w walce przeciwko niemu. Pisaliby *intymistyczne* powieści psychologicznego gatunku i starali się zaspokoić zniewieściale tęsknoty roku 1952. Zamiast tego odrzucają oni udział w komedii i jej fałszywą harmonię i ciągle „oddają z powrotem swój bilet wstępu”.

Oni to — powiem raczej my — nie godzą się na ironiczną zabawę bogów, ludzką tragedię. Czujemy się poniżeni, że Edyp nie umiał spoznać podstępów w chwili kiedy Sfinks zadał mu tak dziecinną zagadkę.

Nazywają nas „ex-komunistycznymi” pisarzami, ci którzy sądzą, że my też dajemy im rozwiązanie równie dziecinnej zagadki. Nie. Nie piszemy powieści aby dowieść, że raj jaki stworzył Stalin dla człowieka pracy jest w rzeczywistości piekłem niewolników. Nie przedstawiamy *rezultatów* naszych politycznych doświadczeń, ale raczej staramy się przekazać ewolucję świadomości naszego wieku. Czas pokaże czy ta ewolucja jest możliwa do przekazania.

Manes SPERBER

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie,
Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).
Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:
17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

Norwid

Proces Norwida nie jest zamknięty. Dzieło i los każdego wybitnego autora przeszłości są przedmiotem co raz to nowych sądów, w miarę jak zmienia się perspektywa. Istnieją jednak postacie wyjątkowo odporne klasyfikacjom, jak np. francuski Rimbaud, rosyjski Dostojewski, polsko-angielski Conrad, amerykański Melville. Przeciwno łatwym uwielbieniem (po śmierci) wystarczy zacytować samego Norwida: „By odepchnąć grzmot prawdy walnej — Niechaj w dzwonki fiołków dzwonią”.

Proces Norwida jest procesem polskiego dziewiętnastego wieku. Okoliczności nie są dzisiaj sprzyjające: historycy literatury w Polsce mogą dać dużo cennych materiałów, dotychczas (z wyjątkiem krótkiego okresu pozytywizmu) pomijanych; będą jednak oczywiście skłonni raczej podkreślać podobieństwa pomiędzy strukturą ówczesnej Rosji i Polski, niż różnice; pytanie, dlaczego w sąsiedniej Rosji inteligencja pochodzenia szlacheckiego wydała wielkich pisarzy prozą (i czytelników tej prozy), a w Polsce tylko wielkich poetów, zostawia prawdopodobnie bez odpowiedzi; katolicyzm Norwida (leżący u źródła jego najmocniejszych wierszy) będzie dla nich tylko kłopotliwy, bo czerpiąc z wzorów przychodzących z Rosji, nie odważa się wyjść poza analogie z podpierającym tron prawosławiem. Co do nielicznych historyków kultury polskiej zagranicą, to, żeby zaatakować problem Norwida, musieliby zerwać z metodą biograficznych przyczynków, a również pracować biorąc pod uwagę materiały ogłaszane przez ich kolegów w Polsce, kompletując i korygując to co w Polsce ulega wypaczeniom ze względów cenzuralnych.

Warto sobie uświadomić, że okres dwudziestolecia był, jeżeli chodzi o Norwida, nie więcej niż okresem przygotowawczym. Załedwie kilkanaście lat — wojny i chaosu — dzieli nas od ogłoszenia jego „Listów”; przy wielkim ubóstwie polskiej prozy XIX wieku, listy te stanowią niezwykle — i wstrząsający — dokument. Wielkie są zasługi Miriama jako wydawcy Norwida; jednak estetyzm Młodej Polski nie dawał dostatecznie mocnych kryteriów oceny. A w atmosferze Dwudziestolecia, kiedy publiczność „na poziomie” była przyuczana do tykania dziesiątej wody po francuskim kisielu, kiedy mówiło się że ten jest „polskim Gide'm” a ów „polskim Bernanosem”, Norwid zdawał się zbyt „narodowy” — co uchodziło za równoznacznik prowincjonalizmu. Norwid stawał się monopolem pewnych katolicko-na-

rodowych kół. Tutaj osobiste wspomnienie: wtajemniczał mnie w poezję Norwida w wileńskim gimnazjum jeden z pierwszych norwidologów, zacny endek starego chowu, Stanisław Cywiński. To prawda, śmieliśmy się z niego, bo recytując, plakał. Ale powłoka młodzieńczego szyderstwa i śmiechu kryje często w sobie zawstydzoną wrażliwość. Wdzięczny mu jestem za to że tak otwarcie przyznawał się do swojej miłości.

Myśląc o Norwidzie, ma się ochotę do pewnych porównań. Nie żeby badać „wpływy” czy zapożyczenia. Przeciwnie, żeby odkryć poza dziełem Norwida i jakiegoś innego autora różne światy, połączone tożsamością epoki. Nasuwa się takie porównanie z Robertem Browningiem. Prawie rówieśnicy; obaj bardzo przejęci ziemią włoską (ponowne, turystyczne i historyczne odkrycie Italii w dziewiętnastym wieku); obaj poeci „ciemni”, których styl oscylował pomiędzy aż trudnym do zrozumienia skrótem i uciążliwą gadatliwością; obaj poszukujący form dramatycznych, aż do wprowadzenia ich w krótki poemat liryczny i zmieniania go w dialog. Podobieństwa ale i różnice. Jeden — bogaty syn londyńskiego bankiera, w szczytowym okresie potęgi Anglii. Drugi — ubogi szlachcic wyrwany z gleby, który płacił za to, że wyprzedzał proces przenoszenia się szlachty do miast, emigrant, syn wymazanego z map narodu. Twórczość Browninga jest optymistyczna, pełna wiary w niczym nie zahamowaną ewolucję, w postęp (pieczę Oświecenia całkowicie poza zasięgiem wizji); jego religijność opiera się na wierze w błogosławiony dar ludzkiej energii. Norwid patrzył na cywilizację w którą został wrzucony jako na złą; religia była dla niego siłą pozwalającą znosić cierpienia, trwać i świadczyć przeciwko nie-chrześcijańskiemu światu. Jeżeli, pomimo to, są między nimi podobieństwa w dążności do intelektualnego, książkowego, niepotocznego stylu, w ciągłym odwoływaniu się do historii — a szczególnie do historii europejskiej w jej samej esencji — tj. do dziejów Rzymu i Włoch — trzeba by było odtworzyć klimat obyczajowy ich czasu i szukać jakiej pokrewnej sytuacji te podobieństwa są wyrazem.

Drugie porównanie jakie się nasuwa, już nie z rówieśnikiem: Józef Conrad. Może się ono wydać ciągnięte za uszy. A jednak i Conrad i Norwid to dwaj noblemen polscy dla których Europa Zachodnia była i bliska przez wspólne dziedzictwo przeszłości i obca przez inność fazy rozwojowej w porównaniu z Polską. Dwaj synowie kłeski. Kto wie czy marzenie o dalekich morzach nie zrodziło się w małym Józefie, kiedy patrzył jak ojciec jego, poeta Apollo Korzeniowski, palił na krótko przed śmiercią swoje rękopisy; kłeska ojca połączona była z kłeską narodu. To, że jeden i drugi byli emigrantami jednak nie wystarczy. Trzeba szukać dalej. Należeli do tych, którzy postanowili dać sobie radę poza narodową, nawet emigracyjną, wspólnotą — takich było tysiące, ale nie wielu z nich pozostawiło dzieło literackie. Zarówno służba morską Conrada, jak praca rąk, którą zarabkował Norwid, są wyjściem poza

„towarzystwo” czy poza kłębowisko komitetów. W pewnym sensie obaj reprezentowali exodus szlachty ku zawodom i u obu z nich znajdujemy tę samą dumę z nowonabytego, własnym wysiłkiem indygenatu pracy. Są jednymi z pierwszych Polaków opiewających swój fach. I może myliła się Orzeszkowa, zarzucając Conradowi odstępstwo i wyrzeczenie się kraju w chwili kiedy kraj potrzebował „pracy organicznej” — bo Conrad realizował tę „organiczność” na swój sposób. U obu, Conrada i Norwida te same skłonności arystokratyczne, ten sam, nazwijmy go tak — postępowy konserwatyzm, który wtrącał ich w konflikt z konserwatyzmem przywileju, pustym dla nich, bo niczym nie okupionym. Pomimo różnic, czyż właściwie postawa stoicka, tragiczna, metafizyczna nie była u obu ta sama — ta postawa w której tak wiele zawierało się nostalgii do „dawnych lepszych czasów”, do stosunków pomiędzy ludźmi opartych na powinności, nie na pieniądzu (podobną nostalgię dostrzega się w innej epoce przełomowej, w Anglii elżbietańskiej, utrwaloną w licznych ustępach Szekspira). Conrad wracał w bohaterski okres żaglowych okrętów, sławiąc wierność i duch braterstwa załogi, albo ku wojnom napoleońskim. Norwid wracał ku chrześcijańskiemu rycerstwu. Co do „postępu” — to sarkazm „Jądra ciemności” ma swój odpowiednik w „wielkomięjskich” wierszach Norwida.

Proces Norwida polega na tym że został on skrzywdzony i że należy mu się sprawiedliwość. Można zająć stanowisko że pogarda wykształconych Polaków dla Norwida była czymś nie do uniknięcia, bo krąg ich zainteresowań i wrażliwości czynił dla nich niemożliwym zrozumienie jego utworów. Przebywali ciągle w Polsce dworów i dworków, podczas gdy on zapuścił się daleko w dżunglę cywilizacji nowoczesnej. Jeżeli się uzna takie stanowisko, trzeba pilnować aby akta procesu nie zostały schowane pod sukno przez wrogów Norwida: „Zawsześmy go uwielbiali, nie ma żadnego procesu, były tylko drobne nieporozumienia”. Myślę że sprawiedliwi wobec Norwida będą mogli być tylko ci którzy sięgną do sedna jego konfliktów ze współczesnym mu czytelnikiem i nie zlekceważą tych konfliktów; a równocześnie będą dostatecznie świadomi odrębności tego dziwnie złożonego zjawiska jakim jest poezja polska dziewiętnastego wieku. Streszczanie idei Norwida, zgłębianie jego stylu, analiza socjologiczna nie dają dobrych wyników dopóki nie wspierają się wzajemnie.

Nie było celem tej noty wypowiadać sądu o twórczości Norwida. Jest wymierzona przeciwko osławianiu (czy, jak się mówiło, „bronzowaniu”) przeszłości, co zwykle osiąga się uznając ją za rzecz minioną, zamkniętą, zabalsamowaną. Nie jest nigdy minioną; ponieważ wkracza w sprawy jak najbardziej żywe i nowe, miarą szacunku dla niej jest świadomość że nie może być zgody.

Czesław MIŁOSZ.

Trzy pokolenia (II)

Zaorali trzy akry. Po lipcu w Kanadzie już orać nie można. A siał — dopiero na kwiecień przyszłego roku. Długa to fala. Poczuli ścinać drzewo, aby schło do przyszłego roku. Długa to fala. Teraz się daje rozpoczynającym ogromny kredyt na przód. Ale Gąsior nic od nikogo nie brał. Sam kredytował Kanadzie.

Przetrasowana w świat droga, po której saniami i wołami zwlekli Reimerowi narąbane sągi — prosiła się o wóz. Jeszcze w ich czasach widywało się w Manitobie słynne „Red River Carts” wielkie dwukołowe biedki, w których nie uświadczylbyś krzty żelaza. Ich koła, wielkie na wysokość człowieka, zamiast szyn były obciążone bawołą skórą.

Gąsiorowi widziało się wszystko jak w Polsce. Dotąd na krztę nie zmienił systemów, które znał w swoim kraju. Więc i wóz musiał być na kołach jak się patrzy — okutych.

Nieoceniony Reimerowy *Department Store* i tu przyszedł z pomocą. Ta „szopa” Reimera tkwiła w pustkowiu była jak raj geologów, w który obfitują zakątki Kanady. W takim zakątku nagle odnajdują pozostałości wszystkich epok, odciski muszli, gadopłazów, a potem ichtiozaurów, a potem epoki lodowcowej, a potem mamuta... Z przypływów i odpływów gospodarczych, które wibrowały dookoła Reimerowej szopy został jakiś rozsypany wóz. Gąsior za każdym razem macał i opukiwał spadłe z kół pordzewiałe obręcze. Ugodzili się na dziesięć dolarów.

— Szyny żelazne na pół cala grube — tłumaczył Gąsior biadającej żonie — samo żelazo tyle warte.

Zwlekli wóz wołami i saniami do domu, zbudowali z kamieni palenisko, rozgrzali, naciągali na koła. Gąsiorowa z dzbankiem wody asystowała, bacząc, aby się drzewo nie zapaliło.

Czy to *Blue-jay'e* skrzeczą po puszczy? Nie — to skrzypi wóz Gąsiorów, ciągniony przez parę wołów. Jak to było? —

„Sześć mil wyciętą sztreką na wprost, sześć na lewo i jeszcze sześć na prawo”.

Gąsior rozwalil się na siedzeniu umoszczonym z siana (słomy jeszcze w gospodarstwie nie było). Wydobył kapciuch, zapalił:

- Co to synu, idzie na trzeci rok tu w tej Kanadzie?
- Juści — jakoś chmurno potwierdza syn.
- Ojciec bystro spojrzał na niego.
- Już jesień — nic po tobie w domu.

PRZEDŁUŻANIE GATUNKU

Jak się porozumiewają zwierzęta? Para bocianów czy jaskółek budujących gniazdo; wrony tworzące łańcuch w czasie powodzi wiosennej, który, brodząc w mialkiej wodzie, wpędza małe rybki na mieliznę, skąd je można wydziobywać; mrówki, które znalazłszy ciężar nad siły posyłają po pomoc do mrówiska; pszczoły, które sygnalizują do roju półko koniczyny, które zakwitło o dziesięć mil od ula — wszystko to musi mieć jakiś język porozumienia.

Było coś takiego w rozmowach „ludzi ziemi”. Przecież przed kupieniem krowy ani razu nie powiedzieli sobie, że się ją kupi, aż pewnego dnia ojciec spytał syna, kiedy więc pójdzie i syn bez znaku zdziwienia powiedział, że jutro.

Teraz, kiedy stary Gąsior mruknął o tym, że idzie na trzeci rok w Kanadzie, tylko skrzyżowali spojrzenia z synem.

Wystarczyło, że młody ze skóry wylazł, żeby przynieść jak najwięcej grosza. Tym razem idąc na sezonowe roboty zapuścił się aż do Stanów Zjednoczonych. Zarabiał przy żniwach półtora dolara dziennie, potem się wydrapał na palacza przy parowej młocarni. Wstawał na dwie godziny przed innymi robotnikami, by wszystko narządzić i napalić. Po robocie zostawał, aby oczyścić maszynę. Za czterdzieści dni pracy przy niej dostał \$ 140, z tym co zarobił przy żniwach przywiózł do domu 220 dolarów.

W domu zastał nowe akry wykarczowane i nowe sęgi narabane i wyczekujące wiosny. Starzy nie próżnowali. Te prosiaczki, które w worku przyniosł powitały go jako dorodne trzystufuntowe świntuchy.

Hej, czarne pole zorane, czarne pole zorane. Ziarno jeszcze w ciebie nie padło ni jedne, a już ci się widzi Gąsiorowi puszcza odepchnięta na krańce widnokręgu, a on chodzi ze synem i rozplanowują trzypółówkę, jako ojciec robiły: tu będzie jare, a tu ozime, a tu ugor.

Targnął obwisłego wasa i zamyślił się głębiej: obstaną to samotrzeć tyła gruntu?

W czas nieobecności syna były co raz to milkliwe przerzucania się z żoną słowami. Kiedy wrócił Stasio i wyłożył wiernie

na stół niespodziewaną sumę dwustu dwudziestu dolarów, Gąsior przeliczył gęsto plując w palce, zgarnął, dał żonie do schowania i powiedział:

— Nawaliło talarów.

Stasio zrozumiał. Ale więcej nie było aż w wieczór drugiego dnia. Gdy wrócili z roboty, Gąsiorowa postawiła misę z blinami z ciemnej maki. Obok stała druga ze śmietaną. Każde z nich brało trójkątny blin, zwijało w tubkę, zaczerpywało śmietany i jadło z głośnym pomlaskiwaniem. Już wkrótce, jak się świnia zabije, będzie własna okrasa, ale i ze śmietaną bliny są dobre.

Jedli wolno i z namaszczeniem, niejako akcentując ten obrządek spożywania darów Bożych. Jeśli kupno krowy było wielką uroczystością inwestycyjną, to każdy posiłek był częścią nieustannego misterium inwestycji. Bo trzeba przecie inwestować w człowieka, by emanował pracą. Dlatego nie jest przyzwyczajenie przy stole zachowywać się hałaśliwie, jeść łapczywie i prędko, wybuchać śmiechem. Stół jest ołtarzem codziennego misterium, a głupi wyrostek, któremu się zdarzy przysiąc na stole, jest niezwykle ostro karcony.

Tym razem jednak coś wisiało w powietrzu, bo jadło się przeciągało ponad miarę poważnie. Gąsiorowa rzuciła ukradkiem spojrzenia na męża, ale stary przerzucał się nic nie znaczącymi słowami dotyczącymi spraw codziennych. Wreszcie, odsunął michę i przeżegnał się szerokim krzyżem. Był to znak, że posiłek skończony. Gąsiorowa przeżegnała się szybkim nerwowym gestem, bo już ją krciła robota, zgarnęła michy i zabrała się do bicia masła. Stasio wziął sztyldo i począł coś majdrować koło uprząży wołów.

Gąsior lubił ten krzątliwy nastrój. Pracując cały dzień, umiał jednak nieuchwytnymi gestami podkreślać swoje miejsce głowy rodziny. Tak i teraz, kiedy tamtych dwoje pracowało, wydobył kapciuch, roztarł na rękę brunatną mieszaninę, w której między liśćmi i korą tkwiła szczypta tytoniu, naładował faję, zapalił drewienkiem, które przytknął do żaru w piecu; kiedy faję się dobrze rozpałała, przycisnął jej żar gołym knykiem i pociągnął pierwszy haust dymu.

— A to wiesz, że do Kulińskich jego siostrzenica przyjechała z Polski?

Kulińscy — była to jedna z tych rodzin, które przed trzema laty wylądowały z nimi u Reimera. Mieszkali niedaleko, ale w pierwszym roku trochę nijako było się włóczyć po puszczy, chyba do Reimerów, a po drugie trzymała żelazna harówka.

Kulińscy mieli ze sobą nieco grosza, to też coraz to kupili a to, a owo u Reimera, aż wszystko przejedli. Co prawda to i mieli troje drobiazgu: dziewięć lat, sześć lat i niemowlę przy piersi. Nie było siły karczować i Kuliński, nie mając ani pluga, ani sprzężaju, przekopywał łopatą pole między niekarczowanymi drzewami. Co warta taka robota. To też bieda i jego wy-

pedziła wkrótce do obcych na żniwa i odtąd począł sobie dawać radę, ale został za Gąsiorami w tyle.

— Osiemnastolatka — mówi Gąsior rzeczowo, tym samym tonem, jakim nakazywał szukać krowy, która by miała nie więcej jak dwie obrączki na rogach. Zdrowa dziewczucha. I na własny koszt przyjechała.

Za dwa dni była niedziela. Przez te dwa lata nie znali żadnej niedzieli. Aż tu nagle znowu po posiłku wieczornym, ojciec mówi:

— To już chyba jutro pójdziemy?

Kulińscy mieszkali w takiej samej log-cabin, tylko pola wykarczowali mniej i las ciasno napierał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział wchodząc Gąsior.

— Na wieki wieków, Amen. — odpowiedzieli.

Kulińska zamiotła fartuchem ławę pod honorową ścianą, na której wisiały obrazy święte. Gąsior zasiadł pod Matką Boską Bolesną. Na błękitnym płaszczu Matki Boskiej Bolesnej było wymalowane purpurowe serce przebite siedmioma złotymi mieczami.

Gdyby Gąsior przychodził w jakiegokolwiek bieżącej sprawie, naprzód by się długo mówiło o rzeczach najobojętniejszych.

Przychodził jednak w sprawie — rytualnej. Takiej sprawy nie załatwiała w kraju rodzice. Najprzód idą przewidziny przez swachę, a już potem rusza swat na teren wybadany. Ale skądże to wszystko wziąć w puszczy?

Gąsior więc czuje się bardzo niepewnie. Czy mówić wprzód o czym innym? Ale decyduje się jakby począł swat:

— Mama tam na gospodarstwie byczka. Nie sprzedalibyście to mi jałówki?

Na to się odpowiada sakramentalną formułą — ale znowuż Kuliński jej zabaczył. Więc mówi:

— A no, jak tam się wam udała, to ją bierzcie.

W Polsce by potem były długie stateczne rozmowy o posagu, ale o czym tu mówić? W Polsce na zakończenie swat wyciągnąłby butelkę wódki i przepiłiby do siebie, wnosząc solenne toasty. Ale skąd tu było wziąć wódkę. I w ogóle nic nie wiadome. I nic nie przygotowane.

Wezwana młódka weszła trzęsąc twardymi piersiami. Ani jej się śniło wychodzić zamaż w tym niedźwiedziowie. Na toż płynęła przez morza za ostatni uciulany grosz, by mieć gorzej, niż miała w Polsce?

Pojechała na służbę do Winnipegu. Przyszła wiadomość, że pracuje w pralni szpitalnej za życie, mieszkanie i pięć dolarów miesięcznie. Nie słodkie to było życie, bo wróciła po dwu miesiącach do Kulińskich. Ale teraz Stasio nie patrzył w tę stronę. Tylko w jaką? Naokoło nigdzie nie uświadczyl polskiej dziewczuchy. A tu — przyszłe gospodarki rozbudowują się, są obok.

Stasio był o cztery lata starszy, miał 22 lata. U matki głodu nie miał i nie pój mu się marzył po nocach.

Po dwóch dalszych miesiącach Kulińska dosyć miała tej ciuciubabki. Starzy pogadali, pogadali i kazali młodemu się zmówić.

— Dobrze, jak chcesz, to wyjdę za ciebie — mówi dziewczyna.

— Ale myśl nad tym co czynisz — odpowiada chłopak — bo pamiętaj że to — na życie.

Trzeba się było żenić. Przyszła sprawa, której załatwić nie można było nawet w *Department Store* wszystko posiadającego, wszystko umiającego Reimera.

Nie ma ślubu bez księdza, bo ślub, to sakrament, a małżeństwo — to już na życie, jak powiedział Stasio.

Dotąd świat nie miał żadnych interesów do Gąsiora, społeczności ludzka nie miała do niego żadnych zainteresowań, ale i nie zgłaszała pretensji.

Mieszkając w głębi puszczy wylaniał się tej społeczności każdej jesieni na żniwa. Tak ukazują się na ścierniskach każdej jesieni nikomu nie znane przelotne ptaki, wyszukujące pozostałych ziaren, wygnane głodem z puszczy. Ludzie osiadli mają swoje układy z jack-rabbitem, któremu wolno zamieszkiwać loszczynki, ale nie wolno niszczyć ogrodowizny, z jaskółką, której wolno kleić gniazdo pod dachem, ale nie pod sufitem, z myszą, która może myszkować w piwnicy, ale nie w szafie.

Ale taki jesienny przelotny ptak?

Okazywało się jednak, że surowy Robinson polski w baranin kożuchu był tylko na urlopie od społeczności. Oto stanął przed zadaniem kolejnym — rozmnażania się i nieliczne ale twarde prawa, które przywiózł ze sobą kazały mu iść, szukać akceptacji tej społeczności, zameldować się i zarejestrować.

Ileż to par żyje po miastach na wiarę, dzieci płodzi, a ślubu nie bierze. Ci ludzie ulegają skomplikowanej sieci praw: znają wszystkie przepisy drogowe, wszystkie podatkowe obliczenia, skomplikowany zespół norm potrzebnych dla zarobkowania, rozpracowane przepisy towarzyskie. Ci ludzie są jak któryś tam tom żywota ludzkiego na ziemi, żywota, który trysł gdzieś przed wiekami jednym słupem i rozlał się milionowymi drobnymi strumyczkami, które opłotły ziemię płytkim meandrem.

Gąsior — był z nasady tego życia. Z pierwszej księgi Bereszith-Genesis: na początku był Bóg, a ziemia była niekształtna i próżna i ciemność była nad przepaścią.

Nad osadą Gąsiorów była ciemność i Bóg, który przedierał ją światłem błyskawic. Teraz ten Bóg — prawo nadrzędne nad prymitywnym prawem głodu i rozmnażania się, prawo, które żądało śmierci pierworodnego — żądał.

Zaiste, że w tych czasach w Kanadzie Bóg po dawnemu zmuszony był mówić z ludźmi piorunami. Nie miał pośredni-

ków — kapłanów, nie miał swoich urzędów — kościołów, nie miał do swego rozporządzenia słowa drukowanego ani nawet pisanego.

Stasio miał jechać po księdza do Winnipegu. To tam wówczas mieszkał jeden z księży Kulawych. Przyjechałszy do Kanady w 1899, zbudował małą kościółek obsługujący Polaków, Ukraińców i Niemców.

Winnipeg miał taką historię, jak i osiedla w prerii, które zdmuchnął czas, pozostawiając jedynie w burzanach pordzewiałe pługi i rozeschnięte szczątki wozów. Jeszcze w początku XVIII w. zbudowali tu Francuzi jakiś fort, który potem porosła trawa. Potem w początkach XIX w. Anglicy zbudowali sobie fort „Gibraltar” (jako że tu właśnie był „portage” między rzekami). I znowu poszło w niepamięć. Aż dopiero w sześćdziesiątych latach jakiś Reimer założył sklepik. I jak elewatory gromadzą zboże, tak Winnipeg stał się dla prerii elewatorium ludzkim. A że napływ Słowian był dwukrotnie wyższy, niż Anglo-Sasów, Winnipeg nazwali Winipkiem i nadali mu piętno jakiejś Kołomyi czy Stanisławowa.

Przybywszy do „Winipku”, Stasio napisał małą plebanijkę, a w niej zakrzętanego na śmierć księdza Kulawego.

Kiedy wyłożył swą prośbę, ksiądz Kulawy tylko ręce rozłożył.

— Proszę księdza — ucałował go Stasio w rękę — tam są cztery rodziny polskie, które trzy blisko lata żyją bez sakramentów.

— Dobrze. Przyjadę. Ale nie wiem kiedy...

A widząc, że Stasio się zasępił:

— Pilno ci? No to postaram się prędko. Czekaj listu.

Trzeba więc teraz kupić wyprawę ślubną. Naturalnie — biała suknia. I naturalnie — welon. Na welonie będzie upięty wianuszek.

Wianuszek, to nie przystrojenie sukni. Kto nie ma prawa, w wianku do kościoła nie wejdzie. Nie są to już tak rygorystyczne czasy jak te w Polsce, kiedy w pewnej parafii proboszcz wszystkie dzieci nieślubne chrzczył bez pardonu: chłopców — Adamami, a dziewczynki — Ewami. Ale i teraz ks. Wilowski na parafii w Wilnie, Ont. twierdził, że mowy nie ma, aby dopuścić do ślubu w wianeczku wdowę, albo taką dziewczynę, która się źle prowadzi.

Stasio, po prawdzie, w życiu swoim nigdy nie był w żadnym sklepie. A tu — ma kupować wyprawę...

Matka mu nakazywała „obejść kilka kramów i zobaczyć wiele który Żyd zaceniał”. Ale znajduje jeden duży nie kram, a coś owianego tradycjami składów Hudson Bay Co. Przeciskając się przez narzędzia rolnicze, smarowidła, beczki z mąką, galony nafty, dochodzi wreszcie do miejsca tchnącego obcością. Niebardzo przytomnie wskazując palcem wybiera sukien-

kę, jeden komplet bielizny, jedną parę pończoch, trzewiki, ów właśnie welon i parę obrączek. Płaci za to wszystko dziewięć dolarów.

I wkrótce potem przyszedł list od ks. Kulawego, że przyjeżdża koleją o godzinie 8 wieczorem dnia 17 listopada.

Ksiądz więc będzie nocował u Reimerów. Reimerowa jest katoliczką, stary Reimer też sobie coś przypomina, tak, właściwie wie prawie na pewno, że on też jest katolikiem.

Tej nocy pocztmistrz, naczelnik stacji, aptekarz, przemysłowiec leśny tudzież prezes, salesman oraz woźny uniwersalnego *Department Store* krząta się z żoną jak w ukropie na przyjęcie gościa.

Ks. Kulawy, wkraczając do przygotowanej komnaty, widzi żelazny piec rozpalony na środku, w jednym kącie wielką miednicę stojącą na tle rogu pokoju wylepionego szyną lśniącym papierem. Przy miednicy ogromną cegłę białego mydła migdałowego w srebrnej cynfolii. Chcąc się wymyć taką cegłą, należy długo ją masować ręką i prosić, żeby dała pianę. Nad miednicą ręcznik z dewizą wyszytą całkiem nie *à propos* jak dla zdżozzonego gościa: *Morgen Stunde hat Gold im Munde* („kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”). Ręcznik ten pochodzi jeszcze z Bawarii od *Mamachen* Reimera i był już raz wydobyty z okazji przyjazdu inspektora *Canadian Pacific Railway*.

Na łóżku ułożono pięć poduszek, jedna mniejsza od drugiej. Wszystkie jednak były tak wzdęte, że ostatnia, najwyższa, królowała gdzieś pod belką podpierającą sufit.

Ale i całe wzdęte łóżko było niebotykiem. Ksiądz Jan podszedł i uspokoił się: nikt w łóżku nie leżał pod pierzyną gargantuicznych rozmiarów, wzdętą starannym ubiciem przez panią Reimerową.

Ksiądz już znał ten rytuał gościnności i celebrowania. W pewnym osiedlu stara farmerka zaprowadziła go na miejsce spoczynku, po czym pokrząwszy się wlała do łóżka. Zmieszany ksiądz wyszedł z pokoju. Po jakimś czasie przyszła stara:

— Ale niechże już Ksiądz Dobrodziej szybko wlaź do łóżka. Nagrzałam je, ale znowu ostygnie.

Na stolku przy łóżku położono mu Pismo Święte. Ksiądz sięgnął i ze zgrozą odsunął. Pismo Święte było w wydaniu protestanckim. Gromiony nazajutrz Reimer wyznał, że biblia, na równi z ręcznikiem, jest od *Mamachen*. Coś się tam pocziwcowi z tym jego wyznaniem musiało pomylić.

Nie darmo została przetrasowana przesieka. Nazajutrz ksiądz z Reimerową siedli do dwukółki, Reimer stał z tyłu na osi. Cała trójka nie jadła śniadania, jako że ksiądz miał odprawić mszę, a Reimerowa i szybko przez nią poduczony rachunku sumienia mąż — mieli się spowiadać. Reimerowa miała suknię z wysoko nastroszonymi bufami, ale rekord pobili Reimer: miał

czerwoną kamizelkę w kraty, na niej potężną dewizkę z najprawdziwszego tombaku, wielki fontaż koloru kremowego, marynarkę jasną pepita, obszytą czarną tasiemką i spodnie czekoladowe, bardzo wąskie. Najgorszy był ten kołnierzyk, który wyhulał wyżej brody, uwierał, ale za to dawał swemu właścicielowi piętno niewątpliwej solenności.

I gdzież to wszystko jechało? Ten blask, ten trzask, ten koń, te koła, te bufy, ten fontaż, ten ksiądz dający ślub nie w kościele, a na miejscu, w pałacu, jak jaśniewielmożnym.

Jechało to wszystko do miejsca, w którym przed dwoma i pół laty mieszkali w jamie wygrzebanej w ziemi.

I do kogoż to jechało to państwo? Do wyrobnika, do chałupnika z husiatyńskiego powiatu, który umknął się cesarsko-królewskim żandarmom, cesarsko-królewskiemu staroście, Jaśnie Wielmożnemu Kimelmanowi, Przewielebnemu Proboszczowi, umknął się, w ziemię się zapadł, nie był, nie istniał, przepoczwarzał się w swojej ziemnej norze, aż oto teraz ma wyfrunąć w społeczność ludzką motylem. Jeśli nie on, to owe dziecko, które się nadchodzącej nocy może pocnie.

Toteż na leśnej polanie wśród gromadki zebranych czterech rodzin serca były skupione, ludzie zasnuci w sobie. Były dzieci, które miały przystąpić do pierwszej spowiedzi, uczone pośpiesznie katechizmu przez matki, które starały się ten katechizm w pamięci odgrzebać. Wszyscy mieli się spowiadać za cały czas „od ostatniej spowiedzi” i usiłovali skłębować rachunek sumienia z tego tu życia w puszczy.

W kraju to tam było łatwo: ile razy nie poszli do kościoła, ile razy obgadali ludzi, ile razy coś ścignęli sąsiadowi, przywłaszczyli na gruntach Kimelmana; czy nie zaniedbywali dziecięcin kościelnych, czy nie cudzołożyli, czy nie dawali fałszywego świadectwa... Wyrecytowało się, ile razy zdarzył się który grzech, dostało się pokutę i wszystko było w porządku.

Ale przeciw komu było tu grzeszyć? Pościli, że ha... Do kościoła — gdzie było chodzić? Jakiegoż dziedzica okradać, jaką sąsiadkę obmawiać? Z kim cudzołożyć?

Cały im się z dawna nauczony przez matki porządek rachunku sumienia popsuł i przygotowując dzieci nie mogły go nauczyć.

Nie było, tu w puszczy, nawet nikłych podpór, którymi można było w starym kraju grzechy okupywać: komuż jałmużnę dawać, kogo w dom przyjąć, jakiegoż głodnego nakarmić, jakiegoż nagiego przyodziać? Jakich więźniów pocieszać?

Więc tylko tłumaczyły dzieciom, że jest Bóg, Stworzyciel Nieba i Ziemi, że człowiek ma duszę nieśmiertelną i że do zbawienia łaska boska jest konieczna.

Gdyby serca ich nie były zmięte dusznym niepokojem jako jest zmięte ziele polne, aby wydawało aromat zielonego życia, a gdyby mieli choć jeden egzemplarz katechizmu, którego ich

uczono w dzieciństwie, może by z nagła, nędzarze i grzesznicy znaleźli cnoty kardynalne roztropności, wstrzemięźliwości i męstwa. I może z siedmiu cnot moralnych przeciwko siedmiu grzechom głównym poczerpnęliby otuchy w czystości, mierności, cierpliwości, pilności i może objawiło by się im w nowym blasku, który opromienia ich życie osiem błogosławieństw: ubogich w duchu, cichych, płaczących, łaknących, miłosiernych, czystego serca, pokój czyniących i prześladowanych.

W liście z 1835 r. Ursyn Niemcewicz napominał emigrację powstania listopadowego za oceanem: „Zanim będziecie mogli zbudować kościół, módlcie się w cieniu drzew o uwolnienie naszego kraju”.

Ale odpłynęły lata emigracji polskiej, którą stanowiła przeważnie szlachta. Ci ludzie tutaj byli jak calizna odwrócona ku słońcu nad miarę głęboko krajającym lemieszem dziejów, nie gotowa do płonowania. Słowa Niemcewicza padłszy na nią by szczęły, nie zakiełkowały, wiatr by je wywiał. Jeszcze w tej caliznie musiały odbyć się wielkie chemiczne procesy wstępne.

Gotowali się jakże tu przyjąć księdza. Chłopcy nacięli mchu w puszczy w kwadraty, że przed chałupą gąsiorową zaległ kobierzec. Z obu stron w wiadrach stały pęki zielonych gałęzi. Gąsior na parę tygodni przedtem już zrównał polepę, Gąsiorowa wysypała ją z lekka piaskiem, a potem gęsto posiała drobno ciętym sitowiem. Ze stołu nakrytego najlepszą chustą, bo ani obrusu ani prześcieradła w żadnej z czterech rodzin by nie uświadczył — zrobiono ołtarz, nad którym na ścianie wisiała właśnie Matka Boska Bolesna. Matka Boska Ludźmierska musiała na tę okazję ustąpić miejsca Matce Boskiej Częstochowskiej, bo juści, że ta jest główna i Ludźmierskiej rozkazywać może. Brunatni grzesznicy popędzani przez Michała Archanioła i ciurkiem spod Bożego Majestatu lecący do piekła, znaleźli się całkiem na szarym końcu.

Ślub — to zdarzenie na wsi galicyjskiej takie, że zatrzymuje cały bieg życia. Szarą przędzę żywota galicyjskiego wyrobnika znaczyły trzy zdarzenia życiowe: urodziny — ślub — śmierć. Chrzcziny i stypy były sprawowane szumnie, szeroko, nad stan, nad wszelką możność finansową. Ale odbywały się bez solenizanta. Jedynie ślub wypadał na jego przytomne życie. Więc uroczystość ślubna wybuchała feerią, na którą składały się wszelkie blaski spadków kulturalnych.

Ale jakże sprawiać weselisko w tej tu puszczy?

Zgromadzili się już od samego świtania. Pierwsi przyszli Kulińscy z panną młodą, bo nie chcieli narażać się na wstyd. Jakże to? By u najbiedniejszych najprzód po młodą jechać powinien swat w orszaku družbów. Zostawia cały orszak za obejm, a sam idzie się przewiedzieć. Swat jest dostojny, po-

ważny, wygadany. Znajduje obejście na glucho zamknięte, nawet pies nie wypadnie, bo psy są uwiązane.

Swat puka do drzwi, długo mu nie otwierają, wreszcie drzwi uchylają się nieco, domownicy pytają kto zaś jest i po co przychodzi (choć ten sam swat przecie przychodził na zrekowiny).

Swat się tłumaczy mową wiązaną, formułami ustalonymi na ten wypadek od wieków. Na przykład, że prowadzi wojsko królewskie i szuka kwater. Wówczas żądają, aby okazał papiery. Swat sięga w głębie przepaścistej kieszeni i wyciąga butelkę wódki. Papiery okazują się wystarczające, bo zostaje wpuszczony. Wchodzi do domu, tam mu zgromadzone drużny przewijają przez ramię długi pięknie haftowany ręcznik. Jest to dana w delikatnej formie zapłata za wódkę i znak władzy marszałkowskiej, którego swat nie zdejmuje cały czas uroczystości trwających u bogatszych nieraz i trzy dni.

Po otrzymaniu błogosławieństwa rodzicielskiego, drużny siadały na wozy i cały orszak z młodymi na czele, poprzedzany grąjkami na wozie, jechał do kościoła.

Teraz panna młoda szła wcześniutkim rankiem, aby ubiec innych. Szła w swojej ślubnej sukience wysoko ją unosząc, trzymając w ręku trzewiczki i pończoszki zakupione w Winniepięgu.

Na szczęście, dzień choć listopadowy, był słoneczny. Czekali wszyscy przed domem, aż ksiądz przyjechał i wszedł do log-cabin Gąsiorów, który na tę okazję miał być kościołem.

Ksiądz najpierw wziął dzieci do publicznego egzaminu z katechizmu. Jak tam szło, tak szło. To nie kraj, by za wiele wymagać. Tu nie ma zakrystiana, który na dwa miesiące przedtem katechizm wdukiwał.

Ostatecznie wszyscy egzaminowani wiedzieli, że Bóg jest jeden, że po śmierci czeka ich niebo albo piekło i że trzeba będzie dobrze się sprawować. Umieli też expidite dziesięć przykazań i siedem grzechów głównych. Wciągnąwszy zapadłe brzuszyny, wyrzekali się pychy, łakomstwa, nieczystości, zazdrości, obżarstwa, gniewu i lenistwa. Ostatecznie zagrażało im zgrzeszenie chyba tylko gniewem.

Potem każdy kolejno wchodził spowiadać się.

Reimer, którego nie pohańbiono egzaminem z katechizmu, wyszedł żegnając się bardzo stanowczo i szeroko Krzyżem Świętym.

Potem starzy Gąsiorowie i Kulińscy zasiedli na ławie przykrytej jakimś kilimkiem. Mają udzielać błogosławieństwa rodzicielskiego. Przy tym obrzędzie zawsze młoda i kobiety obserwujące płaczą. Inteligenci się podśmiewają, z tego obrzędowego plakania. Kto jednak był na weselach chłopskich, tego skurez chwytą za gardło. Jest w tym pożegnaniu dziewczynstwa cierpkie przeczucie ciężkiego losu na który idzie, pożegnania młodości, pełna świadomość tego o czym napominał przyszły mąż: że to — na całe życie.

Ślub, zwłaszcza dla kobiety, był granią, oddzielającą dwa inne życia. Po tamtej stronie grani zalegała ciemna przepaść całonocnego harowania: szereg ciąży, harówka do śmierci. Według powszechnego powiedzenia Bóg zsyłał wtedy śmierć, kiedy oceniał, że już wszelka siła została z człowieka wyciągnięta.

Jeśli śmierć miała w sobie uśmiech dosytnej jesieni i łagodnie snującego się babiego lata, to ślub, położony między nią a urodzinami jak grań najwysioślejsza życia, miał cierpki posmak przeczucia, że odtąd już utrudzone życie będzie, jak słońce młodości, zachodzić za tę grań. Panna młoda szłochła, klękając przed rodzicami, by odebrać ich błogosławieństwo, szłochali rodzice i drużny i zaproszeni goście. Potem z chałupy wywalał się do kościoła barwny pochód, mościł się w szeregi ukwieconych wozów, konie z wplecionymi wstęgami ścigały się galopem, muzycanci nieustannie grając wykazywali cuda akrobatyki, by nie wylecieć z mijających się wozów. Ten barwny szal wiozący młodą do ołtarza, za którym otwierał się jej czarny tunel życia wiódł się z prastawiańskich misterii.

Siedzą obie pary rodziców na ławie i czekają, że wwiódą młodych. Wszystko tu dzieje się nie jak potrzeba. Przecie błogosławieństwa udziela się w domu młodej. Mozolnie klecą stary obyczaj do swoich ubogich możliwości.

Gąsiorowa położyła wolno ręce na fartuchu. Znowuż inteligenci wyśmiewają te ręce chłopskie na fotografiach, uroczyste i symetrycznie spoczywające na kolanach. A przecież ma to oznaczać, że oto jest czas niezwykły, kiedy te ręce spoczywają, kiedy te ręce — niewolnice, są czczone wypoczynkiem i ciszą. Rozłożyła Gąsiorowa brązowe spracowane ręce po fartuchu — niech świadczą, że oto pracowały i że czas nadszedł, kiedy ich praca będzie uczczona.

Gąsior wydobyl swój zegarek i z namaszczeniem go nakręca.

Oto młodzi już idą. Prowadzi ich sąsiad i sąsiadka. W kraju to by był swat i swacha. Panna młoda, szłochając przypada do kolan Kulińskiej. Kulińska błogosławi ich obrazem świętym. Całują ręce rodziców. Wszyscy płaczą.

A potem — ksiądz staje przy stoliku nakrytym chustą. Postawił kamień mszalny, który przywiózł ze sobą — to już ołtarz. Log-cabin — to już kościół. Ksiądz wiedział, czego tym duszom spalonym życiem trzeba; przywiózł nie tylko kamień, szaty liturgiczne, wino, komunikanty, ale i kadzielnice, i kadzidło, i srebrne dzwoneczki, i wodę święconą, i kropidło.

Ciężko się i podniosło robi od kadzidlanego dymu w małej kabince. Srebrzyste dzwonią dzwoneczki — jak kiedyś, w kraju. Podnoszą się na pierwszą, podnoszą się na drugą ewangelie, żegnając się uroczyste w sposób na tę okoliczność przepisany: wielkim knykciem. Kiedy kapłan wznosi Przenajświętszy

Sakrament, cicho się robi jak w wiejskich kościołach w Polsce, kiedy nagle w zmiłkłym kościele słychać świergot wróbla za oknami. Teraz słychać krzyk blue-jay'a.

Przystąpili do Stołu Pańskiego.

Ksiądz, przyjechał przed dwoma laty z kraju, zapewne już nie po raz pierwszy nawiedza zapadłe osiedla. Pojechał z myślą o najtwardszej pracy, z zachwytemi seminarzysty, które nie wygasły jeszcze nad żarliwością Bezkrwawej Ofiary odprawianej w Katakumbach.

Izba jest przepelniona wonią zeschłego ziela, kadzidla. Ksiądz za każdym razem wyraźnie czuje, jak tajemnica wcieleńcia Ciała i Krwi Pańskiej wyzwala w tych duszach wszystko co dusza ludzka ma najlepszego. Gdzieś w szerokim świetle ta dusza jest rozkurczona i wytchła z dobra przyrodzonego, które wlał w nią Bóg. Tutaj najgłębsza jej treść latami leżała mocno zawarta.

Młodemu księdzu, kiedy się odwrócił od improwizowanego ołtarza do wiernych, wydaje się, że oto wstąpił na głaz w katakumbie i będzie kazał.

Rozpoczął znakiem krzyża i starym wezwaniem, które Polska słyszy jak długa i szeroka we wszystkich świątyniach od trzech stuleci, wezwaniem ustanowionym przez Synod Piotrkowski:

Na większą część i chwałę Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu czyta nam Kościół Boży, Matka Nasza, ewangelie przesnaczoną na dzień dzisiejszy, której jako słów Bożych z nabożeństwem powstaresz, posłuchajcie:

„Onego czasu rzekł Jezus uczniom swoim...”

Bo naprawdę powiadam wam, iż ktobykolwiek rzekł tej górze: „Podnieś się a rzuć w morze, a nie wątpiłby w sercu swoim lecz wierzył, że się stanie, co mówi, stanie się mu, cokolwiek rzecze”.

Przeto powiadam wam: o cokolwiekbyście, modląc się, prosili, wiercie, że weźmiecie, a stanie się wam”.

I ksiądz Kulawy długo mówił tym ludziom zagrzebanym za życia w puszczy o wierze, która góry przenosi. Mówił, że stanie się, cegokolwiek by chcieli. Ze stanie świątynia Boża na miejscu kędy chadzał zwierzę leśny, że dojdzie do nich szeroki świat, trakty bite. powszechne ludzi obcowanie, starość spokojna, młodość radosna.

Ksiądz-przybysz mówił od tego stolika pokrytego chustą ludziom-przybyszom kazanie o wierze i to kazanie było jak wielki hymn wiary śpiewany w puszczy przyszłości i potędze kraju, który przyszli budować.

Kiedy ksiądz odjeżdżał, stary Gąsior wsunął mu w rękę trzy dolary. Za tyłą jazdę... Co prawda inni też dawali swoje gro-

szaki. Stara, odwieczna walka, aby nie tuczyć księdza przymieszala się do zacieklej pionierskiej oszczędności.

Twardy to był naród. Ale twardy przede wszystkim dla siebie.

Na drugi dzień po ślubie młodzi poszli do roboty. Kiedy wieczorem przysiedli przed izbą, młoda dziewczyna, która pożegnała się ze światłem wielkich miast, powiedziała:

— Staszek, kup mi spodnie, buty i rękawice. Będziemy ciąć drzewo, będziemy rychtować korty. Zawsze to da żywy grosz.

Odtąd, przez cały rok, rąbał drzewo z młodą żoną i zwlekał, składał w sęgi. Pole wykarczowane się zwiększało. Ale łono ziemi i łono kobiety miało się dopiero zapłodnić.

P L O N

Pięćdziesiąt już „kortów” (sągów) stało, kiedy nagle przyszła krótka i radykalna wiosna kanadyjska. Ogromne zasy śnieżne, tunele, którymi brnęli do roboty, znikły z jednej nocy na drugą. Wylazła czarna ziemia.

Stary Gąsior chodził jak w transie. Macał tę ziemię, a macał, w palcach grudki rozkruszał, miarkował a miarkował.

Kwiecień już zapanował; kwiecień, który lał w polanę słońce z pełnego dzbana, a nocą czasem ścinał ziębem.

Stary patrzył po niebie a po ziemi, chwycił wiatr, medytował, aż wreszcie pewnego wieczora, jak zawsze, powiedział ważne słowo:

— Jutro siał będziem.

W kącie izby czekało już zestawione w workach dwanaście buszli, które nabyli po 45 centów.

A na tym wszystkim stał pękaty woreczek — ziarna siewnego, przywiezionego z kraju. Ziarno z Polski było znane w terminologii jako „Polish wheat”, o długiej łusce (glume), dochodzącej cała, o długim i wąskim ziarnie. Ten woreczek był przebrany jeszcze w Polsce, ale ziarno od Reimera nie było czyszczone.

Był to gatunek *Red Five*, wprowadzony przed pół wiekiem przez farmera Daniela Five w Ontario, który, zaniepokojony krótkim okresem wegetacji, zażądał od swego przyjaciela w Glasgow (Szkocja), aby mu przysłał jakiegoś ziarna z północnych krajów. Właśnie w porcie Glasgow stał okręt z Gdańska z tamtejszą pszenicą i przyjaciel Five'a wysłał mu garść zboża jako próbkę. Losy tego zboża, które miało postawić na nogi produkcję Kanady, zawisły na włosku: z całej próbki zasianej w 1842 wyrosło tylko pięć kłosów. Trząsł się nam nimi Mr. Five, bo dwa kłosy zjadła krowa. Trzy pozostałe kłosy zmieniły los Kanady. To z tego ziarna, pełnego konsystencji, mniej obawiającego się

mrozów wyrosła potęga koncernów w St. Paul i Minneapolis, zasypujących mąką glob ziemski.

W długie wieczory zimowe czyścili to ziarno.

Na stole, nad którym zwisała naftowa lampa, stawiała Gąsiorowa gliniane michy. Zasiadali we trójkę i przebierali ziarno.

Gąsior intonował śpiewnym recitativem „Godzinki”:

„Zacznijcie, wargi nasze, chwalić Pannę Świętą...

„Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą.

„Jak było na początku i zawsze i nynie

„Niech Bóg w Trójcy Najświętszej po wiek wieków słyń.

Ręce szybko przebierają, wyrzucając kąkole, chude ziarna, ziarna ułomne.

„Abizai prawego Dawida grzejąca,

„Różdżko Aaronowa śliczny kwiat rodząca.

Wokoło zemknęła się czarna puszcza w groźnej ciemni. W biednej „log-cabin”, mżącej przez małe okienko nikłym światłem, trwa mozolna praca — dobierania plennego ziarna. Rzekłbyś — sama ta chatynka, różowiejąca światłem kuchennej lampki, jest ziarnem, w którym pęcznieją siły tej ziemi.

Na rano, skoro świt, wyszli w pole. Gąsior opasał się przez ramię płócienną zapaską, w którą nasypał pszenicę, dobrze przebraną. Stał, spoglądał na czubki drzew zapalające się pierwszymi błyskami. Miał głowę odkrytą. Przeżegnał się.

Stasio, stojący z tyłu przy wołach i jego młoda żona — milczeli. Jeśli przy jedzeniu darów bożych milczało się jako przy zbożnej inwestycji, mającej wzmacniać siły tworzenia, to już tu, gdzie w głodną ziemię miało się rzucać ziarno, zakupione za ciężki grosz, ziarno na niewiadomą dolę — panował nastrój niemal modlitewny.

Stary ruszył. Szedł brudną, rozmiernym, miarowym krokiem, sięgał coraz to do zapaski po pełną garść złotego ziarna i szerokim, spokojnym ruchem ręki — siał. Zaraz za nim ruszył Stasio z wołami ciągnącymi bronę. Brona była samodzielna, zrobiona zimą przez Gąsiora, który zaczął już patrzeć za lepszą robotą. Brona była z kołków drewnianych i nie miała ani kawałka żelaza.

Czarne, zrzucające pole wyrównywało się pod zębami brony miękkim, lśniącem czarno pokrowcem. Nie było to wspańnię, na puch wyrobione kultywatorami pole Saskatchewanu. Ale była, Bogu dzięki, porządna, uczciwie przygotowana gleba, która zamknęła w sobie siew.

Zasiał siedem akrów. Gdzieś tam w Winnipegu, potem w Ottawie, zaterkoczą maszyny rachunkowe, potem się tabele ogłosi, wreszcie wiadomość przypieczętuje „THE CANADA YEAR BOOK, „ENCYCLOPAEDIA BRITANNICA”, giełdy i statystyka światowa. Ze oto w roku pańskim 1903 areal rol-

ny Kanady powiększył się o tyle a tyle, a w tym było siedem akrów Gąsiora.

Ale on o tym nie wiedział. Jak nie przychodziło mu na myśl zapewne, że oto od początku czasu i jeszcze od początku czasu czasów czekał na jego pracę w tym zakątku Bóg, odkąd, w szóstym dniu stworzenia, ocierając pot z czoła, rzekł: „Rozmnażajcie się i napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną; oto dałem wam wszelkie ziele, wydające z siebie nasienie, które jest na obliczu wszelkiej ziemi”. (Gen. I. 28. 29.).

A było to w trzecim roku gąsiorowego tworzenia. U progu już stał czwarty rok.

Zapadło ziarno w głębinę ziemi, jak nurek pod wodę. Nie wiadomo z czym się wychyli, ile skarbów podziemnych wiąże w złoto kłosa.

Stary Gąsior co dzień z samego rana, zanim syn narządzi woły, obchodzi zasiane pole i deliberuje, deliberuje.

W Polsce, z morga, któremu nie dałby sztucznego nawozu, miałby cztery korce. Nie więcej. Według tego, z tych tu zasianych siedmiu akrów, to znaczy trzech i pół morgów, musiałyby być jakie 20 korcy, to znaczy jakie 75 buszli. Koło 11 buszli z akra.

Niebawem jednak medytacje przerywali młodzi i woły nadiągające do karczunku. Syn karczuje, ojciec z synową zaorywują.

Coś staremu siły nie dopisują. Co najcięższe przy orce zwolna przechodzi na młodą kobietę.

Pewnej nocy spieka duszna stała na leśnej polanie. Las naokoło szalał od skrzeku cykad. Młodzi jak młodzi — spali ciężko z otwartymi ustami. Ale starym ten straszliwy ogłuszający trzask, to gorąco i ten księżyc w pełni, wlewający się w okno, nie dawały spać. Gąsior zwił się i wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem. Nie na wiele to się zdało. Puszcza przyległa w bezruchu i najmniejszy wiaterek nie szedł choćby czubkami drzew.

Stary zeszedł na zasiane pole i przysiadł na wykrocie. Pole lśniło zrychloną ziemią. Było jasno jak w dzień i coś go tknęło — wszak na to pole wypatrywał oczy co dnia. Pogmerał zeszłą dłonią, wziął grudkę jaką zwykł był w dłoni rozcierać. Rzekłbyś, gładka ziemia, jak się gładzi ulubione stworzenie albo i zgoła dziecko. Palce poczuły jakąś świeżość obcą, ale nie był pewny. Siedział tak na wykrocie, aż księżyc się schował i czarno się zrobiło przed świtaniem. Pograżył się w zwykłe kalkule. Tak, ziemia spod puszczy. Niech by i 40 buszli... Pewnie że tyle mogłaby wydać.

Najpierw zarysował się czub wielkiego chojara od strony wschodniej, na którym Gąsior przemysliwał założyć ul. Wtedy i teraz zaczął sobie obmyślać, jak wciągnąć wydrążoną kłodę i jak ją zabezpieczyć od niedźwiedzi. Obyczajem przyjętym należało by pod barcią umieścić kołczastą bronę, broniącą dostę-

pu. Ale widziała się w tym wielka mitrega i Gąsior rozważał czy by nie pójść za radą Reimera i nie zawiesić pod barcią ciężkiej kłody na powrozie. Wspinający się do barci miś odpycha ją, kłoda wraca i uderza go w bok. Im silniej ją odpycha, tym ona go silniej wali, aż wreszcie miś daje za wygraną. Ma to być powszechny sposób kanadyjski, ale człowiek z równin husiańskich nie jest w tym przepraktykowany.

Za chojarem pojaśniało dalej i zaraz jakby kto po niebie maznął kwaczem z bardzo rozwodnioną różową farbą.

Gąsior poruszył się z zadowoleniem. Już ciż, przyjemnie witać dzień boży po tym diabelskim skrzeku czarnej puszczy. Sięgnął po kapciuch, w którym coraz mniej bywało liści, a coraz więcej tytoniu.

Oddał się znowu marzeniom. Będzie miód, będą co miały lizać dzieciaki. Takie małe robaczki, wiadomo, łasę na słodkość, a co tu im w puszczy uświadczysz: ani tu cukierka, ani piernika.

Za chojarem poczęły się robić brewerie. Naprzód strasznie ogniście i purpurowo. Potem przez tę purpurowość pociągnął wielki obłok, stłumił blask, który wylewał się spod niego ranami.

Gąsior się schmurzył. Marzą mu się dziecinne buźki, opakowane miodem, a tu nie zanoszą się na nic takiego. Czyżby Stasia spotkało takie nieszczęście, że wziął bezpłodną? Zdarza się coś takiego.

Na wierzchołku chojara zasiadł kos. Balansując czarną sylwetką na najwyższej, ostatniej, najcieńszej gałązce, śpiewał w tych ogniach hejnał poranny puszczy. Ale radość tego śpiewu, rozsadzająca świat nie mogła przebić czarnych myśli Gąsiora. Co będzie z gospodarką? Im, starym, czas już do ziemi. Jakże młodzi uciągną tyłą gospodarkę? Poczłął znów się ukażać, rozmyślać z dumą, wyliczać czego ile jest, a ile będzie. No więc, jakże nadażą temu rozrostowi? Liczmy. Nasposobił palce: zasianych siedem akrów w tym roku, do przyszłego siewu będzie tego dwanaście. Pociągnął okiem. Jasno już było na polanie zupełnie i za równym, zasianym polem widać było zarodane karczowisko. Przymrużył oczy i starał się sobie wyobrazić już cały ten obszar równo zbronowany. I kiedy tak obchodził wzrokiem oba pola, słońce wwindowało się nad las, trysnęło na zasiane i serce Gąsiora przebiegło lekko, niewyznawalne drzenie: po całym polu delikatnymi zielonymi źdźbłkami tkwiła — ruń. Nie ziele wężowe, nie arnika, nie rumianki. Nie to co jemu ziemia dawała, ale to co on dał ziemi. Kończy się nieodwołalnie życie z puszczy, z wnyków, a choćby z sągów. On tu odtąd rządzi. Gospodarz.

Wstał, podciągnął spodnie i wolnym gospodarskim krokiem poszedł do domu. I obojętnym, gospodarskim głosem powiedział do żony:

— A to już ruń wyszła.

Tymczasem nadciągnęły sianokosy. Bogać tam to i sia-

nokosy! Nie tak jak w Polsce, kiedy na rozległej łące ustawia się do pokosu sześcioro, ośmiu albo i więcej kosiarzy. Staną w „schodki”, jeden o machnięcie kosy i o krok wstecz za drugim i idą srebrzystym, wahadłowym ruchem kos przez łąkę, kładąc pokosy tak równe i rozmierzone, że łąka za nimi wydaje się dywanem utkany w symetryczny kształt. Zajączki już są wówczas młode, kicają w trawie, dzieciaki je łapią po wykoszonych miejscach. Także samo na gruntach podmokłych objawiają się gniazda czajcze. Pomykają zygzakowatym lotem bekasy, derkacze prują ocean niezjętej jeszcze łąki, motyle rozteczają się nad kadzidłami kwiatów, które zaraz legną i schnąć będą na siano. I boćki tylko, zarejestrowane, ubezpieczone od człowieka, stać będą po rowach, wydziubując żaby i leniwie przelatując na drugą stronę rowu, kiedy do niego już tuż nabliża się łańcuch kosiarzy.

Tutaj kosi się jak Bóg da. Ojciec z synem koszą we dwie kosy. Jak pokos przeschnie, synowa przerzuci go grabiami na drugą stronę. Znowu przeschnie — we troje ułożą stogi i zaraz syn zacznie zwozić.

Zboże coraz wyżej idzie, żółcieje, chrzęści na wietrze. Kłos coraz pełniejszy się robi, już tak cięższe ku ziemi, że zwisa łukiem.

Gąsior co dzień jeden kłos w rękę rozgniatą, wysypuje na dłoń, cieszy się. Stasio radzi już żać, bo „zacznie sypać”. Przecie ojciec widzi jak kłosy ciążą?

— Kłos się korzy, bo czuje dar boży; który prosto stoi, to z pustoty swojej — mówi sentencjonalnie Gąsior.

Patrzy w ścianę zboża, a ściana jak mur. Nie zasiał za gęsto, a jak tylko... Niechby Kimelman zobaczył ze swymi nawozami i kultywatorami. Ileż to buszli będzie? Pięćdziesiąt? Nie chce wierzyć oczywistości.

Był czas siewu, a oto przyszedł czas żniwa. U nich, na chude komornicze poletka, przeświecające rzadkim kłosem, wychodziły kobiety z sierpami żąć zboże. U Kimelmana pracowała żniwiarka. Gąsiorowie postanawiają kosić po gospodarstwu. Nie stać to ich? Narządzają kabłaki do kos, aby dawały oparcie ściętemu ziarnu. Wkrótce po polu stają rzędami kunsztowne kopy snopków.

Puszczą przywarowała i milczy.

Jeszcze i w tym roku poszedł Stasio na cudze. Ale zamarużył u siebie, nie zdążył na maszyny. Zarabiał więc tylko \$ 1.70 dziennie.

Niosło go jak na skrzydłach do domu, do zboża stojącego w kopach. Bo sens bytu, narastającego w puszczy przedłużał się w późną jesień. Wiadomo — młódka. Teraz dopiero zbior wyjawia swoją tajemnicę. Czy okaże się tyle buszli ile ojciec liczył? Czy... więcej?

W Kanadzie wówczas często młócono cepami. Do długiego kija był przyczepiony rzemieniem drugi kij z ciężkiego

drzewa. Umiejętnie młynkując, biło się w zboże, podkładane przez kobiety. Był to sposób nadzwyczaj powolny.

Ojciec widział na Węgrzech młóckę wołami. Sposób biblijny, bo już Pismo Święte nakazywało: „nie zawiążesz gęby wołowi młócaćemu”.

— Marynka, jak myślisz, a może by tak klepisko narychtować?

Zrobili plac równy, okrągły, otoczony wałem. Nakładli zboża, wpędzili dwa woły i dwie krowy. Każda para bydląt wlokła ciężki pień, wykruszając w ten sposób ziarno. Stary Gąsior, jako że teraz szukał raczej robót przemysłowych, nasposobił wiaderko na długim kiju i podstawił bydlętom, aby zaś gnój nie padał na ziarno.

Co jakiś czas wyprowadzali bydlęta, zgarniali słomę. Pod nią okazywała się gruba warstwa wykruszonego ziarna, które zbierali w worki.

Dopiero pod Boże Narodzenie ukończyli tę pierwotną młóckę. Okazało się — sześćdziesiąt buszli z akra.

Bądź błogosławiona, ziemio — matko.

Bądź trzykroć błogosławiona ustami wygnańców.

S M I E R C

Młócka ukończyła się po świętach. I zaraz stary Gąsior, jakby czekał na tę chwilę, zlecił. Śnać te sześćdziesiąt buszli były jak owoc, który dośpiał i opadł. I staremu człowiekowi dopełnił się czas. Niech już przychodzi na zmianę nowy zbiór i nowe siły tych młodych, którzy sobie poprzysięgli życie.

Gąsior zlecił od tego ostatniego dnia młócki i już nie powstał. Nic go nie uwierało, na nic się nie skarżył. Był jeno coraz słabszy i gasł tak wolno przez trzy miesiące. Nikomu do głowy nie przyszło wołać doktora, bo woła boska była jasna.

Przez te trzy miesiące ugwarzali sobie powoli a statecznie o gospodarce i o pogrzebie. Ojciec do końca trzymał gospodarstwo w rękę i wydawał dyspozycje. Syn nie był dobrze na ciesielce znający, to mu szczegółowo wyjaśniał, jak strugać trumnę do kantu, a kiedy syn z ojca brał miarę na trumnę, to ojciec wskazywał ile cali trza zostawić nad głową. Wtedy tylko okazało się, że deski narychtował już rychlej, kiedy syn był u ludzi przy żniwach. Deski przeszły fajnie i były jak znalazł.

W tym powolnym zbieraniu się na tamten świat, jedna tylko Gąsiorowa nie mogła się spokojnie umościć. Przesuwając sagany długim okutym drągiem, pochlipywała nieraz. Stary znosił to filozoficznie, nazwyczajony, że babski płacz a ranna rosa to rzecz codzienna.

Jednak czasu nie było na te tam wyrzekania, bo robota stała za progiem a gnała. Jedna para rąk z chorobą Gąsiora ubyla, a roboty w gospodarstwie wyrwanym puszczry narosło, że ha... Już ci to nie była pustać, w której karczunek jeno zima

czełał, a sągi. Gospodarka się prawa wykulała, w której porykiwało a pochrząkiwało, a myczało, a pialo, a gęgało i w której — tęsknie tego czekali — tylko patrzeć, a pocnie się nowe życie ludzkie.

W oczekiwaniu tego ludzkiego życia, wynurzali się ze zwierzęcej egzystencji, niepomnej piątku a świątku, ciągnęło ich do pełnego duchowego życia, jakie wytchło w tej drodze przez wielką wodę, w tej puszczy między zajacami.

Jeszcze Boże Narodzenie poszło według dawnego — prawie nie zauważone. Młócili jak oszaaleli we wilię, młócili w pierwszy dzień świąt.

Nagle, kiedy buszle zaciężyły we śpichrze, kiedy dom wypełniła świadomość gospodarska i pewność dobrobytu — pewnego dnia rozległ się głos wieszczący nowe formy bytu. Nie był ci to głos żadnego archaniola, jeno donośny kwik wieprzaka. Stary Gąsior, że to wówczas czlapał się jeszcze, macnął świntucha z lubością po grzbiecie, strzyknął brązową śliną i powiedział:

— A to jucha będzie miał na cztery palce sadła.

A po kolacji, jako że to ten czas był, w którym wszystko ważne obwieszczał, zwrócił się do żony, która już zdążyła narządzić kierzanek i tłukła zapamiętałe masło:

— Marynka, widzi mi się, że pod Zmartwychwstanie trza będzie świntucha sprawić.

Gąsiorowa przestała ubijać i otarła z twarzy krople wypysłej śmietany. Spojrzeli po sobie z mężem, jak współnicy, którzy oto doczekali dnia, że z prymitywnego warsztatu przeniosą się do nowego gmachu, gdzie już czeka narządzony system taśmowy. Jakże to — odtąd w ich siły pracujące pójdzie inwestycja na okrasie. Jakże to — to znaczy, że w komorze wisieć będą a boczek, a łopatki, a polcie wędzonej słoniny, a wianki uwędzonych kiełbas, a po zabiciu wieprzaka dymiąca podgardlanka i żarcie do wierzchu i przez wierzch.

Było to zaś kiedy w komorniczej chalupie? Nie są zaś już prawe gospodarze, żyjące tłusto?

Odtąd wieczorne rozmowy są wypełnione tematem — jak sprawić wieprzaka. Wiadomo młodzi, to i głupi. Trzeba będzie wezwać Kulińskiego, którego jest praktyk. I od Reimera przywieźć i sól, i pieprz, i liścia bobkowego. I narządzić zawczasu jałowca. I budę nasposobić do wędzenia, budę, gdzie czworokątny dach zbiega się stożkowo, zakończony kwadratowym otworem, a pod otworem wisieć będą sześć tygodni smaczności, dzień i noc nasiąkające sączącym się dymem jałowcowym.

Jakoś przed świętami wezwali Kulińskiego. Gąsior kazał sobie łóżko przy oknie nasposobić, aby dawać baczenie. Gąsiorowa wypchnęła wieprzaka z chlewa. Uwalił się zaraz, taki był, jucha, spaśny. Kuliński dzielił go pałą po głowie, a kiedy go zamroczyło, wbił nóż, kobiety zaś podstawyły nieckę po juchę. Tuż zaraz był naszykowany na krzyżakach stół, wszel-

kie przyprawy i stała na nim pożyczona od Reimera maszyna do ładowania kielbas. Gąsior patrzył z okna, jak mielone mięso nadziewa szybko pęczniejące jelito, jak rosną wianki świeżych kielbas. Tegoż dnia dostał miche podgardlanki, suto obsypanej wielkimi skwaremami. Miał tam tę podgardlanke z nabożeństwem, chociaż tam, bidocie, nie do jedzenia już było.

Bo oto, w samo Zmartwychwstanie Pańskie przychodziła śmierć Gąsiorowa.

Byłoby to w kraju, śmierć ta przysłałaby ano w blasku radosnego święta. Tego dnia kościół pełen przyodzianego, obutego, wystrojonego narodu huknąłby pieśń o tych, „którzy w otchłaniach siedzieli, wesoło nań zawołali: Alleluja...”, potem kobiety wracałyby polami, niosąc w garnuszkach wodę święconą i osłaniając ogień zapalony u ołtarza. Tego dnia bowiem wygaszano wszystkie ogniska po domostwach i rozpalano na nowo tym ogniem, potem kropiono wodą święconą wszystkie węgly domu, obejście, a resztę wypijano, miało to bowiem strzec od bólu gardła.

Ale kościół, tego zwornika kultury chłopskiej, że bez niego rozsypywała się kiej niezwiązane paciorki — nie było. Ten kościół, jego budowa — to będzie pierwsze dzieło imigracji; przed szkołą, przed klubem i budową domu społecznego. Ale gdzież go było wziąć na gąsiorowej polanie? Tyle z tego święta, co Gąsiorowa posypała polepę piaskiem, a przytrzęsła naciętą trzciną. I że czekało dostatnie jadlo.

Staszkowa namalowała z tuzin jaj w różności. A kwiaty, a ptaki, a to króliki, a ryby, że dziwili się skąd się jej to bierze? Izbę całą wylepiła wystrzygankami z kolorowych papierów, nalepionych klejem z mąki na biały papier. Kogutki tam były z pysznymi ogonami, pawie, róże, a to i pies biegł za gospodarzem. Wiosennie i świątecznie było w chałupie, syto, dostatnio, przytulnie, że kto by tam wspomnił te czasy, kiedy w jamie nocowali, a wodę przez koszulę cedzili od robactwa.

W ten dostatni czas pomierał sobie Józef Gąsior paradnie, na swoim, po gospodarsku.

— Stasiu, synu mój — pouczał statecznie i zwolna — nie dasz ty rady, nie. Taka gospodarka... — przymknął oczy i od-począł — tej jesieni na żniwa nigdzie nie pójdziesz, to i nastarczysz. Ale jak dojdą te wykarczowane morgi na przyszły rok... Słuchaj, synu, co mówię: u wuja nie przelewki, a dzieciaków kupa; Jaśkowi najstarszemu rychło do wojska... poszlij mu szfkartę, w sam raz ci do roboty stanie... Słuchaj mnie, synu, bo co swój, to nie inny. Bratowe nasienie, wiadomo...

Zapadło milczenie. Po chwili ojciec zaczął mówić:

— Pod wieczór mi się zemrze, to i jutro chowajcie. Czeakać nie ma co. Pochowacie na tym wzgórk, co wiesz, a jak do-czekasz chrzcina — uśmiech błady przeszedł mu przez twarz — to sprowadźcie księdza... za jedno i ziemię poświęci. A trumnę pocznij z samego rana robić, to na popołudnie wydolisz.

Potem już nie odzywał się, aż już dobrze pod wieczór było, kiedy usta mu się ruchnęły. Gąsiorowa przypadła słuchać, rozeznala, że gromnicę zapalić każe.

Poniechali tedy wszystkiej roboty, jako że już i krowy były podojone i świnię nakarmione i bydłu zadane. Poklękali dookoła i poczęli się modlić.

W pewnej chwili stary otwarł oczy i spojrzeniem przywołał syna. A kiedy ten nachylił się nad nim, powiedział:

— Uważaj, by matka miała opiekę.

I to już były jego ostatnie słowa.

Wtedy poczęli modły za zmarłego. Na książce jeno Stasio potrafił, to i począł:

„Boże, który zawsze litujesz się i przebaczasz, pokornie Ciebie błagamy za duszę sługi Twego — Józefa Gąsiora, której dziś z tego świata zejść rozkazałeś; nie oddawaj jej w ręce nieprzyjaciela i nie zapominaj o niej na wieki; lecz rozkaż świętym aniołom, aby ją przyjęli i do niebieskiej ojczyzny poprowadzili.”

Skończywszy modły, powstał, spojrzał na płaczące kobiety.

— Skoczysz ano z samego rana do Kulińskich i do tamtych za górą — rzucił żonie — niechaj przychodzą na pogrzeb.

Rzucił okiem na sterty jadła:

— Łacno będzie stypę sprawić — mruknął.

Przeciągnął się żdziebko i wyszedł przed próg, powietrza zachwycić. Ogarnął wzrokiem majaczące pole: juści, on tu już teraz głowa i gospodarz.

A to już szło na piąty rok.

Teraz przyszedł koniec na Gąsiorową. Chybotała się po tym gospodarstwie jak jaki cień, ale korzyść z niej była niezgorsza, jako że i drobiu popilnować, i masła ubić, i zwarzyć nadolała. Tkwiła też całymi godzinami w grzędzie przy piele-niu, sama jak bura gruda, a ogród w ten rok dopiero zieleniał i bujniał jak na najlepszym gospodarstwie. Stasio z żoną jakby oszaleli — po siewach, nim żniwa przyszyły, darli jeno puszczyć a karczowali, czego i w ojcowe czasy pod tę porę nie było. Stasio przepowiadał sobie słowa ojcowe o Jaśku i szfkarci, a że młody był, to go i ponosiło ile tu on chłopca nasprawdza.

I znowu, jak ojciec, siadywał było wieczorową porą nad zorany, obzierał się na puszcę, a medytował, w którą tu stronę ją walić będzie. Widziało mu się sześć, osiem, dziesięć sprzęzajów, huk siekier i pochód w tę nieustępliwą, napierającą zieloność.

— Hale — prześmiewał się lasowi — hyrnyś był, kiedy my jak te mrówki przesieką pelzli, mąkę na plecach nieśli. Wilkami w ten pierwszy dzień straszyles... Ziółkami matkę żywiles, zającami wspomagałes ojca... To ci się ta nie zapomni. Wybiore fajny akier, albo i dwa, zostawie niewyrabany, żeby dzieci-skom nie daleko było do lasu a po jagody. Ale tyła ciebie zоста-

wię, co z mojej łaski. Bo i każdy dziedzic ma las... A reszta — to będzie pole, a pole i łany a łany — zamachnął szeroko ręką i sam się ze siebie wnet prześmiał.

Czarny las, biegnący gdzieś spod niewiadomej północy, napływający wyciętą, pełgającą polankę oceanem tysięcy mil kwadratowych — milczał i coś ważył, zamknięty w ciemność. Sfrunął z tej ciemności puszczyk, zasiadł się na kalenicy i począł szyc w noc żalosnym pohukiwaniem.

— Na matkową duszę tak huka — ozeźlił się Stasio i cisnął w ptaszysko grudą. Ale puszczyk kotłował się skrzydłami w ciemności i dufny w noc — nie odlatywał. Może to nie jednej Gąsiorowej tak wróżył, może całej tej ludzkiej pracy i temu polu, na które właśnie księżyc począł siać srebrem.

Gąsiorowa pokwękiwała coraz bardziej. Ani ją kaszel łapał, ani jakie cierpienie. Mierzchła jeno, a mierzchła, że Stasio bąknął o doktorze. Obruszyła się, że pieniądze chce na próżno wyrzucać, jako że od Pana Boga postanowione jest, że tyle życia człowiekowi, póki nie wypracuje swego, póki wszystka siła z niego nie wyjdzie. Jeszcze tyła w niej tej siły tłało, aby kwokę z kurczętami zapędzić, ale potem do reszty wysiała moc ze spracowanego ciała — i zległa. Umierała w równy rok po mężu, także w kwietniu. Nie próżno ludzie powiadają, że wiosna do porządków się bierze, przez świat idzie, do roboty woła i starych ludzi poprzódzi wybija, tak jak gospodyni, która nie niosące się kury pod nóż wybiera.

Okazało się, że Gąsiorowa ma w skrzyni przyoszczędzone, zachowane na tę drogę ostatnią prześcieradło, czystą powłokę, nową suknię i chustkę czarną, wełnianą, z frendzlami. Kazała wezwać Kulińską, żeby to niby pomogła wszystko narządzić, a w gruncie żeby się pochwalić gospodarskim obleczeniem. Pogadywały se godnie, aż i Gąsiorowa pewnego czasu zmilkła. Dopiero po chwili zrozumieli, że nie dycha i że wyszła z niej ta resztuchna niedopracowanej siły.

Siedziały Kulińska ze Stanisławową przy zmarłej całą tak zwaną „pustą noc”, mamrocząc Zdrowaśki.

Rano woły powiozły zmarłą na to samo wzgórze, gdzie leżał Gąsior. Przybył drugi krzyż. Dwa krzyże stały nieporadnie jakoś i nieobronnie i samotnie pod ścianą czarnego lasu. Młodzi też wracali ze spuszczonymi głowami. Z nagła rady ojca, a to i wieczne strachania się matki zdały się nieodzowne, potrzebne. W chałupie było pusto, że do nikogo słowa przemówić. Dziecka Pan Bóg nie dawał.

Chałupa z jednej strony tylko miała obszerne pole, ale z drugiej przyparła do nieruszonego lasu. Ogromny chojar rzucał cień czarny, że aż straszno. Bywało, gdy pole stało w pełnym klosie i że się jarzyło złotym blaskiem, dom stał odcięty czarnym, gęstym cieniem.

Nieswojo się poczuła na tym dorobionym bogactwie, nie.

A już szło na szósty rok.

ODWET PUSZCZY

Kiedy matka zmarła, mieli szesnaście akrów uprawnego, a nadto cztery dalsze wykarczowane czekały na uprawę i zasianie.

Mieli trzy mleczne krowy, trzy jałówki, cztery woły, wieprza na utuczeniu, maciorę z młodymi i dwie roczne świnię. Mieli stadko kur i gęsi.

Ani mowy, żeby Stanisław szedł gdzie na robotę po gotowy grosz. Przyszedł czas, że miał płacić Kanadzie nie czystą siłą mięśni, a tym co wyprodukował. Ale Kanada nie nadążała za nim. W puszczy przez te pięć lat nie osiadł nikt więcej — potok ludzki walił na pszenne prerie, gdzie nie trzeba było karczować, gdzie „z nosa ci spadnie, a tu już, patrzysz, kłos rośnie”.

Tak samo przez puszcę szła „prywatna” Gąsiorów osiemnastomilowa droga, tak samo na końcu tej drogi tkwił jedyny dostawca i odbiorca — Reimer. Poradź tu sobie, człowieku, z odstawianiem zboża, a serów, a słoniny, kiedy tu pole czeka, bydłęta chcą jeść na wszystkie głosy, pole zarasta, a powywalane pnie karczowiska, którego nie porządkuje nikt, wznoszą schnące korzenie, jak kikuty grożące i błagalne.

Przeszedł czas nie tylko, kiedy najmował się do żniw; nie tylko kiedy narządził na sprzedaż sagi; ale i przeszedł czas karczunku.

Drżała w nim nieświadomiona pasja walki z puszcza. Tej puszczy nienawidził całą swoją rolną duszą. Ścierwo to było zachłanne, a chytre, a podstępne, a nielojalne, z którym w żaden sposób się nie zmówisz, że oto co twoje, to twoje, a co jej, to jej (nim Jasiek nie przyjedzie na szfirkartę). Puszcza wlaźła bez pardonu, ledwoś się obejrzał, a już pole zieleniało delikatnymi pędami klonów. Wycieli kłony na brzegu, to im puszcza stała z niewiadomej głębi miriady pocisków, kierowanych samoczynnie, gdzie na wibrujących propellerach lądowały na gąsiorowej roli klonowi spadochroniarze. Z tego boku, gdzie ziemia schodziła w dół i stary Gąsior kombinował narządzić na wilgotnym gruncie kapuścisko, raptem przez jedną, zdawało by się noc, porosło pędami topolowymi.

Staszkowa od doju i od gotowania dla świń, od kierzanki, w której tłukła masło i od sagana, w którym warzyła obiad, od żarn, którymi przecierała ziarno na mąkę i od kądzieli, na której przedła nitkę — wyrwała się do ogrodu i za każdym razem znajdowała nastane z piekielnej puszczy chwasty, krzaki, odrastające, które zaraz owijał przemyślny narost kolczastych, kłujących gałązek, że, zdało się, saperzy puszczy stawiają przeciw tym farmerskim zachciankom zasieki z drutu kolczastego. Rozczepliwał się powój i bluszcz, który był nieraz bluszczem trującym (poison ivy), że chodzą z pobandażowaną głową i rękami. Tak puszcza walczyła bronią chemiczną, zasiekami, spadochroniarzami, a skoro tylko Hanka oderwała się i leciała karmić

kury, zdawało się jej, kiedy wróciła, że puszcza z nieskończonych rezerw wysunęła ponowne łańcuchy piechoty. Patrzała ze zgrozą na poletko darte przed pół godziną z chwastu i znowu widziała baldachimy kopru, który, zdawało się, wypęła bez reszty, a który tu wlażył łańcuchami uhelmionej piechoty; śmiała się znowu do niej przymilnym kwiatkiem piąta kolumna przytulii, tkwiąca na słabych, delikatnych korzonkach, a perz, przenikliwy jak kurz, ryl pod ziemią, *crab grass* opancerzał tę ziemię niby warstwą zielonych min.

Siedząc w ciepłej strudze powietrza w rozchylonej koszuli, kiedy podniosła wzrok, widziała roje klonowych spadochroniarzy, ciągnących z lasu i czuła się jak żuk, którego chcą zalać parafiną. Trzeba się ruszać, ruszać ciągle, ażeby nie zasypała, nie pochłoniął ten zielony zalew.

Jej mąż dwoił się i troił w robocie. To że bydło nie było wypędzone w czas na trawę, czy coś tam nie zabronowane na porę — to się wszak zdarzało i w Polsce na gospodarkach, które odumierały robocze ręce. Ale przemoc puszczy poczęła w nim wzniecać paniczny strach. Był jak zakuty w ciężką zbroję hoplita, któremu na arenie Colosseum wola despoty kazała walczyć z nagim, zbrojnym w sieć gladiatorem. I jak ciężki miecz hoplity ze świstem zakreślając koła nie natrafiał na uderzenia drugiego miecza; tak nie natrafiała na opór kosa ani sierp, motyka ani łopata, brona ani graczka. I jak gladiator lekko podawał się do tyłu tym groźnym cięciom, tak pokornie padało zielsko, z cichym pękaniem wyrwać się dały delikatne korzonki, kładły się martwe pędy drzewin. I jak gladiator niezwłocznie nabliział się z innej strony, starając się zarzucić sieć, tak puszcza z nieporównanym wdziękiem rzucała nowy połyskliwy misterny welon — nalot coraz to nowiej zieleni.

Staszek wówczas stawał, podnosił przekrwione oczy na ścianę lasu, w której już otwarcie przekpiwały się z niego szydlwe blue - jacki i zdarzało się, że podnosił pięść i groził:

— Czekajcie, ścierwa, niech tylko Jasiiek przyjedzie. A może i drugie. Pogonię was, że het... Że za jeden dzień idąc do lasu nie dojdzie.

Hanka, jego żona, przechodziła ten proces w sposób bardziej skomplikowany. Córka nie mającego ziemi komornika, obciążonego ośmiorgiem dzieci, wysługiwała się po ludziach od dziesiątego roku życia. W tej karierze był jeden punkt szczytowy — służba u aptekarzowej w Husiatynie. Nocując na wyrku, na tzw. „pawlaczu”, to znaczy pomoście pod sufitem w kuchni, do którego należało wsuwać się po drabinie, zaharowana od świtu do późnej nocy, nosząca wodę ze studni, drzewo z drwalni, paląca w piecach, piorąca, nalewająca lampy naftą, sprzątająca, gotująca — nie mająca nigdy dnia swobodnego od pracy, tyle że co drugi tydzień wolno jej było pójść na mszę — na dnie swojej duszy pielęgnowała dumne marzenie: podniesienia się na wyższy szczebel społeczny — „miastowej”.

Sprawdzona do Kanady dzięki namowom Kulińskiego, któremu z jego drobnymi dziećmi nie miał kto pomóc w gospodarstwie, pyrgnęła rychło do miasta z tej głuźki leśnej. Ale Winipeg okazał się Husiatynem w gorszym rodzaju, w stosunku do kobiety panowały tu jeszcze stosunki przyniesione przez traderów i Kuliński nie bez racji mruczał, że dorobić się tam może tylko „czegoś krzyczącego”. Tradycje całych pokoleń i kult wianuska dziewiczego były tak silne, że wolała wrócić do lasu.

Kiedy wyszła za Stasia, zrozumiała nagle, że kroi jej się wyższa pozycja społeczna, niż miastowej wywołce, że wywansuje tu na gospodynię. Dlatego szczerze zażądała w pierwszy wieczór od Staszka spodni i rękawic, gotowa stanąć do karzunku.

Póki żyła Gąsiorowa, obie kobiety dosyć miały do opowiadania za całe swoje życie. Wprawdzie długich wieczorów zimowych nie mogło wypełnić obmawianie sąsiadek, jak to po wsiach bywa, ale stary wywlekał nieskończone historie, jak to służył by pod „cysorem”, a Gąsiorowa знаła niezliczone opowieści o podludziach, o rusałkach, o diabłach, którzy się przebiegali za Niemców, o urokach, które rzucały czarownice na bydło i na ludzi, o tym co straszy w leśnych wykrotach, strzegąc kwiatu paproci, o światełkach, które zły pali na torfowiskach w miejscach, gdzie są zakopane skarby. Wprawdzie na zmianę przychodziły historie o świętych pańskich, gotowanych w oleju, przeciwnych piątą, obłupianych ze skóry, ale z tego wszystkiego wynikało, że zły, czający się po macecznikach brodatych puszczy, kryjących dymiące wazy do podziemnych dziedzin, nie jest ci wcale taki słaby i niemocny, aby na byle zdrowąskę pierzchał.

Kiedy Gąsiorowa umarła, zanikły te kobiece rajce. Dokoła stała głucha ściana lasu, otaczająca polanę, po której tłukły się dwa samotne ludzkie głosy. Stasio szalał, starając się nadążyć w walce ponad siły. Zaparła się razem z nim, podtrzymywali tę gospodarkę, jak mdlejące ludzkie ramiona podtrzymują drzwi, na które napiera wróg.

Czas począł biec wstecz, a nie naprzód. Już na tamto święto Bożego Narodzenia, jeszcze kiedy matka żyła, zapachniało jakim takim dawnym obyczajem, jak ta kielbasa wielkanocna, której przed śmiercią powąchał Gąsior, jak tymi pisankami. Stara zgotowała barszcz na grzybowym smaku, śledzie w mące obtaczane, kapustę z grzybami, omaszczoną olejem, jako że katolickim obyczajem Wilia, poprzedzająca narodziny Pańskie była najuroczystszym świętem, ale w które obowiązywał post.

Hanka, że to młode jeszcze było, a skore do płochoty, wy-czekiwała pilno przed domem na pierwszą gwiazdę. A skoro pierwsza gwiazda weszła, ucieszyli się, że już jest ten znak, którym ku Stajence poprowadzi i zasiedli do jedzenia. Ale przedtem matka opłatkiem z każdym się przelała, który na tę godzinę zostawił jej ksiądz, skropił cztery rogi izby święconą wodą. Po jedzeniu młodzi wyszli do obórki, kładąc bydłatom na języki po kawalku opłatka, jako że w nie takóž Bóg tchnął swo-

ją świętą wolę. Nasłuchiwali też pilnie, czy aby nie odezwie się które, wiadomo bowiem, że w tę jedną jedyną noc Narodzenia Pańskiego wszelkie zwierzę mowę ludzką rozumie, a nawet zagadać może, ale rozeznają to tylko człowiek bez żadnego grzechu będący.

Wrócili przytuleni do siebie, w słodkim zapamiętaniu dzieciństwa jak to w Polsce serca im się tłukły, kiedy krowina częstowana opłatkiem przemówić nie mogła przez ich grzechy, jeno liżała im ręce szorskim językiem.

W chałupie nie zaraz uwalili się spać, jako w inne dni bywało, tylko siedli a śpiewali precudne koledy polskie, o tej nocy w Stajence, kiedy chwila wielka padła na świat, na ludzi, na zwierzęta, nawet na żywioty, kiedy ogień krzepił, truchlała moc wszelka. Stara umiała tych koled bez miary. Były tam zapłatanie w dół do ludu koledy pisane przez polskich pisarzy XVI i XVII wieku, ale były i takie bezdomne, które utraciły autora, a wiekami chadzały po domach, jako dziaduś prośzalny, wszędzie witane, zapraszane do ogniska. Potem szły koledy-kołysanki, które śpiewali małemu Jezuskowi, wreszcie koledy ześcibane zbiorową twórczością ludową, w których już wszystko się działo we wsi polskiej, a małemu Jezuskowi naznoszono jaj a gomółek, kurczątek a gołąbków, że św. Józef nie zdołał wszystkiego do komory ściągać.

Ale teraz zegar w puszczy począł iść wstecz. Harowali w tę Wilię do samej gwiazdy i za gwiazdę i nie spojrzeli nawet na niebo, gdy zesła. Wrócili do chałupy pustej, zwarzyli co tam było w garnku i już się mieli zwalić spać, kiedy posłyszeli z dala w puszczy głosy. Wysunęli anioł głowy, penetrując co się dzieje. Pod pierwszymi drzewami kotłowali się ludzie, błysnęła zapalka, coś się potem rozjarzyło i poczęło się posuwać do ich domu.

— Jezu! A dyć to Herody! — wrzasnęła Hanka.

Od lasu posuwała się ku nim wielka różnobarwna gwiazda, wyklejona z papieru, ze wstawioną wewnątrz świeczką. To Kulińszczaki poszły „po sąsiadach”, według dawnego obyczaju poprzebierane za „Herodów”. Dwóch jeszcze chłopaków było od dalszych sąsiadów. Był ci król w złotej koronie, krwawy Herod, był diabeł i była śmierć w prześcieradle, ale nie stało już ich ani na Marszałka Herodowego, ani na chłopca, ani na anioła, ani na Żyda z kozą.

Mimo to ustawili się z fantazją i Herod przerażony śpiewał:

„Oj biada, biada, mnie Herodowi
„Utrapienemu bardzo królowi.

A śmierć gracko się spisała:

„Herodzie, za twoje zbytki
„Chodź do piekła, boś ty brzydki.

Świsnęła kosą i ścięła mu głowę.

Kiedy pobrnęli z powrotem, obdarowani jajkami, Hanka położyła głowę na ramieniu mężowi i konwulsyjnie płakała.

— Nie bucz, głupia — pocieszał bezradnie.

Ale sam miał gorzko w duszy. Oto stało się to, czego tak czekali, gdy żyli rodzice: Hanka była w ciąży. Ale radosna myśl o dziecinym głosiku, który ścigać się będzie z piukaniem ptaszków w boru, przytłumiał lęk o to, że nie wydoła. Hankę już teraz chwytywały mdłości, że coraz to kole roboty przysiadła.

Gdzieś tam był świat, który szykował ekspedycję ratowniczą. Pęzły szosy, rozwidlały się odnogi kolejowe, rozbudowywały się porty na wielkich jeziorach, budowały elewatory, wyrastały składy handlowe, ale czy nie za późno to było dla Gąsiorów, czy nie za późno? Staszek coraz to przypominał a to zardzewiały pług, który po kimś został w burzanie, a to rozeschnięty wóz po kim innym, a to porzuconą linę stalową. Byli tu, hej, byli przed nimi tacy sami mądrze. Pozostawili w zielonej puszczy ślady, jak kiedy w piaskowej pustyni odnajdziesz bielejący kościotrup.

Stasio zęgnął się krzyżem świętym i zawściekał w robocie. Jeno starał się nie patrzeć na żonę. Osunawszy się na ziemię, kiedy ją chwytały mdłości, patrzyła tępych wzrokiem w bór.

Aż ci dziewiątego lipca 1906 zległa. Tak ci się to stało nagle, że ledwo zdołała zawołać męża. Sam dziecko przyjął i pepowinę przeciął na trzy palce długo, jako słyszał, że trzeba robić. Dziecko obmył i zrozumiał, że mu się narodził syn. Pokazał go Hance i aż się zdumiał, że taka śliczna, że tak promienieje szczęściem.

Dziecko zmieniło wszystko na dobre, ale i na złe. Bywało matka lula je roześmiane, wychodzi przed dom i twarz jej mierzchnie, gdy patrzy na nienawistną zieloną ścianę.

Od Franciszka Pasika wciąż nie przychodziła wiadomość, czy Jaska wysyła, a tu ona z tym dzieckiem, jak kokosz, której przycięto skrzydła, żeby nie przelatowała przez sąsiedzkie oplotki. A to karm, a to przewijaj, a to oganiaj od much, że była jak uwiązana na sznurku krowa, kiedy ją zostawia na pastwisku. Siedząc tak na progu, z dzieckiem przy piersi, poglądała żalostnie na małą figurkę pod lasem: to mąż wykonywał jakieś ruchy pracy, zalewany potopem zielonym.

Chciała przemóc tę obsesję lasu. No cóż, las jak las. Dać sobie rady na tylnym gospodarstwie, trudno, juści, ale przecie można robotnika wziąć, gdyby Jasio zawiódł. Mało to takich przyjeżdża, co nie mają rąk o co zaczepić? Byłe wstrzymać las, to niech tam sobie i rośnie. Cóż to... Grzyby w nim, a orzechy, a jagody, że tylko Bogu dziękować. Byłe zobaczył, że mu się nie daje nałazić, to i znowu las dobrym sąsiadem będzie.

Chcąc przemóc ten dziwny lęk, właśnie że poczęła na jagody chodzić, zabierając niemowlaka. Dzieciak położony na mchach w cieniu, wierzył z uciechą gołymi piętami i przesiany słońcem las wydawał się pocziwym polskim lasem, takim co to wnet

się kończy, wciśnięty między osiedla, nie zaś płynie zalewem drzew spod kręgu polarnego.

Stasio, przyszedłszy razu pewnego z roboty, że na próżno czekał na obiady, wyszedł po żonę do lasu. Z nagle stanął jak wryty: ujrzał dziecko położone pod krzakiem, a nad nim pochylonego niedźwiedzia. Skamieniał. „Pewno żona już zabita” — przemknęło mu przez myśl. Nagle schwyciło go potężne kichnięcie — aże zemdlął ze strachu. Ale i niedźwiedzia to zaniepokoiło, odszedł ze sto metrów, przysiadł na zadzie i patrzy. Wpieraając w niego wzrok, podsunął się do niego Stasio, zgrabnął po omacku nogę dziecka, targnął ku sobie głowę w dół, dzieciak krzyczy, żona na to wyskoczyła, wydała dziki wrzask przerażenia, niedźwiedź czmychnął. Tuląc gorączkowo syna, niosła się nieprzytomna do domu i wpadłszy zawarła drzwi na rygiel.

Zegar w puszczy szedł wstecz. W pierwszym roku Gąsiorowa przesiedziała siedem tygodni zamknięta przy worku maki, bojąc się puszczy, w sześć lat potem, Hanka, gospodyni na rozpracowanym gospodarstwie, za Boga nie ruszyła nieco dalej od domu, a już nocą to by ją nie wygonił za nic za zawarte drzwi.

Albo i las teraz do ataku skierował wszelkie zwierzę żyjące. Przyszedł czas kozodojów, ptaków nocnych, zwanych tu „whip-poor-will” od jednostajnego krzyku, który wydają. Przytulone wzdłuż gałęzi, nadają swój przejmujący, drążący sygnał, którym gra bezustanku cała puszcza. Ani to zasnąć, ani spędzić tych diabłów. Hanka, przytulona do dziecka, długimi nocami słuchała diabelskiego chóru puszczy. Nerwy były tak wyostrzone, że chwytala najmniejszy dźwięk. Cóż dopiero niesamowite czochranie się o węgiel izby dużego ciała, zgrzyty, piłowanie belki. Zlana zimnym potem, zbudziła męża. Wypadł z kijem i po chwili przyniósł istnego diabła — jeżozwierza, który zdołał nadgryźć sporo drzewa na węgle domu. Potem za dnia widywała jeżozwierze, obojętne, obłeśne, powolnie ciągnące swoją drogą; plugastwo to rozmnożyło się jakoś tego roku. Słyszała przesąd że umieją ciskać jadowitymi kolcami na kilkadziesiąt kroków i nie wypuszczała dziecka z chałupy.

Coś tam stało się wewnątrz oceanu drzewnego, jakieś tam uderzyły głody, czy mrozy, czy powodzie, ale zwierza wyrzucał na polanę Gąsiorów coraz inszego. Kury im powyrwały „racony”. A pewnego dnia zawitał do komory niewątpliwie diabeł. Wszystko tam było przewrócone, słonina porozrzucana, mąka wysypana z beczki i zapaskudzona. Szkód narobiono tyle, takim nakładem pracy, że Stasio począł się zastanawiać, czy to nie jaki Indianin, lub mieszaniec zawłócił się z puszczy. Zapytany Reimer łatwo odgadł, że mieli wizytę rosomaka (Wolverine), rzadkiej złośliwości i sprytu „diabła leśnego”.

Pewnej nocy bardzo księżycowej, Hanka posłyszala pod domem pomruk a posiorbywanie. Wyjrzawszy oknem, rzuciła się wstecz; to niedźwiedź pił mleko ze skopka, który dla chłodu postawiła na zewnątrz. Odtąd tak się zlisł, jucha, że co dzień się nawiadywał, szkrabiąc do drzwi.

Zakłęta męża, żeby się wynieść, bo las ich zje.

Drapał się w głowę — jakże tu tyle ziemi poniechać, tylu budynków?

— Czekać — powiada — odbędziemy sianokos, żniwa, grosza się nieco zgromadzi.

Myślał tak zażywać ją polityką, aż jej to z głowy wyjdzie. Ale nie wychodziło, kobieta bliska była pomieszczenia.

Książd, kiedy tu był, każdemu coś zostawił: Gąsiorowej opłatki i święconą wodę, Hance obrazek jej patronki, a Stasiowi, jako że jedyny był, który umiał czytać — Pismo Święte. Książka leżała nie ruszana pod obrazami na honorowym miejscu. Ale kiedy po śmierci rodziców, pustawo się zrobiło koło nich i nie mógł strzymać wiecznego sklamrzenia żony, sięgał po książkę i udawał że czyta, czekając aż podadzą strawę. Tak z tego udawania się poczęło, aż ci i wciągnął się w czytanie. Na razie była to przyjemność mechaniczna, jakby kto składał tamigiółkę. Brałeś literę „K”, dokładałeś „r”, a potem dolepiałeś mu „o” i „l” — wychodził „Król”, ale tam ci coś jeszcze nie koniec było, cości tam jeszcze dolepili. Tedy dodawałeś kolejno e, s, t, w, a — i wychodziło „Królestwa”. Potem lepiło się drugie słowo i oto miało się nowe zadowolenie, bo wychodziło słowo „Bożego”. Długo trwała taka zabawa w układanie słów, ale nie zaraz nastąpiło zrozumienie, że tak jak litera trzyma się litery, tak słowo trzyma się słowa. Tego dnia, kiedy uświadomił sobie, że to nie są dwa niezależne słowa: „Królestwa” i „Bożego”, tylko jedno pojęcie „Królestwa Bożego”, otworzyły mu się uroki łączenia słów. Sensu zdań łączyć jeszcze ze sobą nie potrafił, ale cierpliwie dukał a dukał. Aż pewnego razu mu się objawiło.

— Hanka — powiedział przybladłym ze wzruszenia głosem — posłuchaj co tu napisane.

Podniosła oczy znad pierza, które skubała do wielkiego glianego gara, a w oczach jej zaśniło uwielbienie. Jakże by to słodko było — przemknęło jej przez myśl — żebyśmy tak oto siadywała za robotą, a „mój” (tak w Polsce zwykły kobiety nazywać męża) wyczytywał mi różności o smokach i czarownikach.

A Stasio dukał z Ewangelii św. Łukasza:

„Zaden, który by przyłożył rękę swoją do pługa, a oglądałby się nazad, nie jest sposobny do Królestwa Bożego”. (Łuk. XI. 62).

— Widziałeś, co tu napisane stoi?

Sfrasowała się wielce. Obracali sobie ten werset w głowie na różne strony, aż Reimer, zapytany o interpretację, dał należyty, kanadyjską wykładnię teologiczną:

— Pewno, że Święty Łukasz nie był w ciemni bity i to rozumiał, że jak kto całe życie rolnikiem był, a do pługa ręce nasposobił, to już mu trzeba tym plugiem się doorywać aż do

bramy niebieskiej. Bo jak się czego innego imiesz, to i tego poniechałeś i tamto stracisz i z pustymi rękami do nieba pójdziesz, a tam, wiadomo, jako i na ziemi, na ostatku tacy przechód mają. Nie mówię, żebyś nie przykładał ręki do pluga, ale przykładaj ją, na ten przykład, choćby w Saskatchewan. Wszędzie tam ile chcąc ziemi pszenicznej czeka, że tylko zaoraj i posiej i na piecu możesz się wylegiwać i czekać, aż ci do kieszeni złoto sypać pocznie.

Zresztą, rób jak chcesz, słuchaj mojej rady. A tu już od miesiąca leży koperta do ciebie.

Stasio z emocją wziął w rękę kwadratową brudną kopertę. Nic innego, tylko od wujka.

Istotnie, stary Franciszek Pasik pisał:

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Niech będzie pochwalona Najświętsza Panienska Ludźmierska i patron mój, Św. Franciszek z Assyżu.

Kochany bracie cioteczny Józefie, pozdrawiam ciebie słowem Bożym przede wszystkim, a potem pozdrawiam żonę twoją Marynę i syna twego Stanisława. Także samo pozdrawia żona moja Agnieszka ciebie i żonę twoją Marynę i syna twego Stanisława. I tak samo pozdrawia ciebie matka moja i twoja ciotka Augustyna i żonę twoją Marynę i syna twego Stanisława. I tak samo pozdrawiają stryjna Barbara i kum Onufer i chrzestna Jaśka Dąbalowa. I pozdrawiają ciebie i twoją żonę Marynę i twego syna Stanisława. Kochany bracie cioteczny Józefie, w pierwszej treści mojego listu donoszę tobie, że jestem żywy i zdrowy, czego i tobie życzę i żonie twojej Marynie i twemu synowi Stanisławowi. A także donoszę, że dzięki Bogu, żywa i w dobrym zdrowiu jest żona moja Agnieszka, czego też ona i tobie życzy i żonie twojej Marynie i synowi twojemu Stanisławowi. A także donoszę, że dzięki Bogu w dobrym zdrowiu jest matka moja Augustyna, czego i tobie życzy i żonie twojej Marynie i synowi twojemu Stanisławowi. A także donoszę tobie że w dobrym zdrowiu jest kum Onufer, czego i tobie życzy i żonie twojej Marynie i synowi twojemu Stanisławowi. A także donoszę ci, że chrzestna Dąbalowa jest w dobrym zdrowiu i życzy ci...

— No, jo — przerwał niecierpliwie Reimer — za wiele ich tam żywych i w dobrym zdrowiu.

— Czekajcie, panie Reimer — obraca list w rękę Stasio — już nie długo, widzi mi się będzie stało, kiedy Jasiek przyjeżdża, bo list pisze Bartek Owczarz.

— To co że Bartek pisze?

— Bartek to ta nie jest dużo uczony, to nie umie długiego listu pisać, ale też bierze za list pięć grajcarów jeno. Jakby wuję poszli do pisarza w gminie, to ten pisarz umie byle każdemu, choćby sam jak palec był, list z pokłonami na osiem stron napisać. Ale jucha dwie szóstki każe sobie płacić.

— No to ta czytaj, słońce jeszcze wysoko...

„...Kochany mój bracie cioteczny Józefie — czytał Stasio — jeszcze donoszę ci, że Jasiek nijak przyjechać nie może, bo szwagier Walenty bierze go za pomocnika do kuźni a jak się wyuczy, to rzemieślnik na rolnika nie patrzy a przy tym matka nie chce go puszczać przez wodę a starość nasza przy kowalu pewniejsza. I jeszcze donoszę ci, bracie mój cioteczny Józefie, że już więcej nie mam ci co pisać, więc przesyłam tobie niski ukłon i żonie twojej Marynie i synowi twemu Stanisławowi. I jeszcze niski ukłon przesyła żona moja Agnieszka...”

— *Himmelherrgottessacramentnocheinmal!* — zaklął Reimer — to znaczy nie masz nikogo czekać...

Stasio nie wie co robić.

— Możebyście kogo napytali, panie Reimer... Gospodarka silna się robi...

— Ale... Trzeba to komu leżeć do ciebie między niedźwiedzie na karczunek? Z chiepmunkami (drobniutki rodzaj wieiórki kanadyjskiej) zamiast z dziewczuchami tańcować.

— Co robić?

Bawarczyk sapnął i począł nabijać fajkę z kapciucha. Stasio patrzył na tę procedurę pobożnie — zawsze ilekroć Reimer miał wygłosić coś ważnego, najprzód nabijał fajkę. Robił to długo, namyślając się co ma powiedzieć.

Wielki knykieć przycisnął wreszcie żarzący tytoń i srebrna klapka pokryła porcelanę, na której był wyimaginowany portret Bismarcka w opiętym kwadratowym mundurze z tradycyjnymi trzema włoskami na kopolastej łysinie.

Pyknął, puścił kłęb dymu i powiedział z powagą:

— Ty, Staszu, ale dummer Kerl jesteś...

Była to jakby sakramentalna formułka, którą ksiądz rozpoczyna modlitwę, sędzia wyrok, a speaker otwiera posiedzenie parlamentu.

— Widzisz, w lesie nie masz co szukać, chyba głupich, tak jak ja szukam z moim storem, no nie? Ale czy ty wiesz, co jest za twoim nosem? Tu was wytrzęśli jak raki z worka, tu i siedzicie. Ale ten kraj jest wielki, wielki i różny.

Pyknięcie z faji.

— *Herr Crist...* Jakaśmy to szli w 1870 r. pod Wiesen-berg przeciw tym algijskim czarnym diabłom, to wiesz kto z nami, Bawarczykami, był na lewym skrzydle? Wasze poznańskie chłopcy... Byłem młodziak. Dwa lata człowiek miał *good time*, maszerowaliśmy przez Francję, nocowaliśmy w coraz innej wsi i wiadomo jak to na wojnie: dzień wojujesz, a dziesięć dni wino popijasz, dziewcząt szukasz. Nawyzczailiśmy się do panowania. Trzeba co ugotować czy przepaść — Francuzki robią, trzeba coś wykopać, czy zrabować — Francuzów wołać. Chodzisz sobie, człowieku, jak paw, mundur królewski jak z igły, na kłamrze pasa granat dymiący i napis: „*Gott mit uns*”, „*Deutschland über alles*” i panowanie. No nie?

Ale jak nas zdemobilizowali w początku 1872, jak wróciłem do naszej wsi koło Hassfurth, to nie rusz się, człowieku: za tym płotkiem siedzi Hans, a za tamtym Fritz, a tuż naprzeciwko gnije już prawie od stu lat Tante Amalchen, a tu się nie rusz, bo ogrodzone, a tam nie idź, bo przekopane, plunąć nie można bo się na kogo trafi, jakby nie ustępy to potrzeby własnej nie mógłbyś załatwić, a w domu — tu nie kładź, tu nie rozlej, ta trzecia półka z lewej strony to na twoje rzeczy. — *Mamachen* — mówię — to już nie dla mnie, za morze pojadę. *Mamachen* dała mi ten ręcznik wyszywany, co go widziałeś i tę biblię, co wasz ksiądz skłamał, nagotowała takich placków, jakie tylko u nas w okolicach Hassfurth umieją robić — i pojechałem. Przyjechałem do Stanów Zjednoczonych w 1873 i akurat przez granicę, w Emerson, formowało się wojsko. Wojsko nie wojsko, ale *Mounted Police*. Pracować mi się nie chciało, pamiętałem wojskowe czasy i wino, i Francuzki, i Francuzów, co za nas robili — to zapisałem się. Takich ćwiczących wojaków chętnie brali.

Okazało się, że mamy iść daleko na zachód. Ty wiesz, że granica Kanady i Stanów idzie a idzie aż do Oceanu Spokojnego. Po amerykańskiej stronie to już było osiedlone jako tako, ale po kanadyjskiej — dzicz, bawoły, Indianie. To z Ameryki ciągnęły całe bandy uzbrojone, obładowane wódką, po kupno skórek. Sądów tam nie było żadnych, policji żadnej, żadnych urzędników i działo się a działo zbrodni, zabójstw, kradzieży, mordowania się z Indianami, że nie opisać. Akurat jak przyjechałem, banda z U.S., powiadali że dawnych żołnierzy jeszcze z Domowej Wojny, weszła 40 mil od granicy, spolił obozowisko Assiniboinów, wystrzelali z Winchesterów trzydziestu, jeszcze więcej ranili.

W lipcu 1874 r. ruszyło nas pięciuset chłopów w sławny „*March of the Mounties*”. Konie mieliśmy jak smoki, mundury szkarłatne, żółte pasy na spodniach, szerokie kapelusze. Prowadziliśmy ze sobą stada bydła i sto wozów, zaprzężonych w woły, na wysokich kołach, wiozących za nami wszystko co trzeba.

Człowieku, czy ty wiesz co to za przestrzenie? Te prerie są trzy razy większe, niż cały mój Vaterland, połączony przez Bismarcka; trzy razy większy niż razem wzięte Bawaria, Saksonia, Prusy, Württemberg, Turyngia, Meklemburg, Hesia, Oldenburg i wszystkie inne. Ty rozumiesz — starał się przebiec do świadomości wyrostka z husiatyńskiego powiatu — że prerie, to część Kanady, która jest dwunastą częścią świata. A same te prerie, gdybyś wziął trzy Bawarie, trzy Prusy, trzy... — spojrzał nagle na cielejące oczy Gąsiora i splunął — co ci tam tłumaczyć, dosyć, że jechaliśmy, a jechaliśmy, a jechali. Szliśmy całe dni, nie po za trawami nie widząc aż do końca horyzontu. Potem rozdzieliliśmy się, część poszła na północ aż do Edmonton, my w sierpniu pod Cypres Hill zdobyliśmy pierwsze stado bawołów. Najprzód widzieliśmy z daleka tylko jak-

by słup sunący ku nam, a to był słup pyłu spod kopyt. Stado przeszło na naszych oczach jak bury zalew, pysk w pysk, tylko dudnienie i głuchy grzmot szedł za nim. Francuz przewodnik obliczał stado na 50.000 sztuk.

Potem znajdowaliśmy już forty z bierwion klecone przez amerykańskich spekulantów, ale puste, bo puciekali przed nami. Powoli naswoiliśmy Indian... Te diabły, razem z metysami jeszcze w 1885 rozbili *Mounted Police* pod Fish Creek i posłano na nich kilka tysięcy żołnierzy z dwoma generałami. Tam były siedziby Czarnogłowych. Zgodzili się iść pod opiekę Białej Matki tzn. królowej Wiktorii. Założyliśmy fort, część naszych została, ja wracałem z drugą częścią, prowadzoną przez ppłk. Mac Leod. Wracaliśmy aż do Duffrin pod Toronto, robiąc z wołami trzy tysiące mil.

To wiesz, chłopie, ciągle mi w oczach ta pusta ziemia stoi. Pusta i urodzajna. Już tam się na nią poczynają pchać, ale miejsca jest że ha... Mnie tu już się wiedzie, ale ty tam jedź. Rób jak chcesz, słuchaj mojej rady.

— Widzicie, panie Reimer, nie chciałoby się raz jeszcze w jamie siedzieć, jak się ma dom i obejście.

— No jo... Niech to młodszy robią, tyś dzieciaty. Nie jest, *aber so schlecht*... Catharine, gdzie ja okulary podziałem?

Kiedy znalazły się okulary, a wraz z nimi na stół wjechały smakowite „*Eisbeine mit Sauerkehl*”, Reimer z triumfem pokazał gazetę, wychodzącą w Winnipeg i zakreślone ogłoszenie, z którego wynikało, że gdzieś w Saskatchewan jakiś farmer poszukuje dzierżawcy na wszystkie trzy jego farmy, łącznego obszaru 460 akrów.

— Jakże ja mogę za takie coś się brać? — przestraszył się Stasio.

— Akrow się przestraszyłeś? A ile sam ich masz? Zapomniałeś że i na ciebie jest już teraz działka zapisana, że razem z tym co po ojcu, masz 360 akrów? Ciągle jeszcze w tobie siedzi husiatyńskie pół morga. W tym kraju ziemia nie znaczy nic, a ryzyko jest wszystkim. Pamiętasz jak mi ojciec chciał zegarek zastawiać? A teraz takeś rozdozbrał, że już się i ruszyć nie możesz? Zwieź tylko zmłócone zboże na stację i jedź się przewidzieć.

Jest więc rok 1907. Farmer, pan Stanisław Gąsior, kupuje bilet i jedzie napytywać „większy obiekt rolny”. Pociąg ciągnięty przez słabą lokomotywę na wysokich cienkich kołach, o wysokim cienkim kominie, pcha się coraz bardziej na zachód. W pociągu jedzie nieco ludzi z okrągłymi brzuskami, o porządnych skórzanych walizkach. To *gentlemen* z *British Columbia* nad Pacyfikiem, krainy z dawną przez białych zasiedloną, bogatej. Ale są oni jak śmietanka na powierzchni tego rzadkiego mleka, sędzonego z wychudłej krowy Europy. Stasio patrzy na toboły, na kozuchy baranie, na niespokojny tłum ludzki, pchany w nieznane i przypomina sobie przyjazd przed

siedmioma laty. On, dzięki Bogu, ma już wybór, ma do czego wracać.

Spróbował z zadowoleniem twardego rantu biletu kolejowego w kieszeni kamizelki. Zaden „goberman” (Government) za ten bilet nie płaci. Kupił go sobie i jedzie jak pan. Spojrzał na okno, by uświadomić sobie, jak to na żniwa pieszko przemieszcza te pola. A za oknem kraj kładł się coraz równiejszy, coraz bardziej bez kresu. Stasio jechał niezmiernym polem pszenicznym, dziewięćset mil długości, trzysta mil szerokości. Wymiarów tych nie znał, ale pochodził z dwu ciasności rolnych: z husiatyńskiego pół morgi i z wydartych puszczy dwunastu hektarów. Więc teraz zdumiewał się mnogości ziemi, sercem rolnika czuł jej błogosławioną płodność, że zgrozą widział, że tysiące nieuprawnych hektarów migają przez okna wagonu, że z rzadka widzi się zabudowane farmy i raz jeszcze pomyślał, że nie wychodził dotychczas źle na radach pocziwego Bawarczyka.

Gdyby był zdolny zajrzeć do statystyk, znalazłby potwierdzenie swoich wrażeń. Ze stu siedemdziesięciu milionów akrów pysznej pszenicznej ziemi preriowych prowincji, tylko sześć milionów akrów było wówczas pod plugiem. Na obszarze trzykrotnie takim jak Niemcy w roku jego przyjazdu do Kanady, mieszkali tylko 45.000 osadników, a i teraz, kiedy jechał dołączyć do tego drive'u na zachód, osiadło tam tylko 180.000 ludzi, mimo że już od dwu lat (kiedy z nieokreślonej krainy Assiniboin wykrojono dwie administracyjne prowincje — Saskatchewan i Albertę), nastąpił boom optymizmu i przyływu.

Syn farnala z husiatyńskiego powiatu płynął w pierwszej fali tego przyływu.

Farmer okazał się Polakiem, który dorobił się, podhodował dzieci i zamierzał przenieść się do powstającego miasteczka i kupić hotel. Znany to turnus ludności. W Stanach Zjednoczonych widzimy po miastach najbardziej potrzebne dzielnice, które jeszcze przed stu laty były anglo-saskimi, przed siedemdziesięciu pięciu — włoskimi, przed pięćdziesięciu — polskimi, przed dwudziestu pięciu — chińskimi, a obecnie zamieszkuje je ludność murzyńska. Tak i przez farmy idzie ludność byłych wyrobników, właścicieli warsztatów miejskich w następnym pokoleniu. Stasio przybywał na zmianę warty.

Dom i niezłe zabudowania stały w szczerym stepie. Naokoło domu biegła weranda i Stasio zaraz pomyślał, że dobrze, że Teresa tego nie widzi, bo jużby się uczepiła tej pańskości i za wszelką cenę kazałaby brać dzierżawę.

Farmerowi, widać bardzo się chciało do miasta, bo rozpowiadał cuda. Ale Stasio i sam widział, że siedząc na tym miejscu od lat piętnastu, jeszcze ani razu nie wywiózł w pole obornika, a wdzięczna gleba dawała mu rok w rok po dwadzieścia buszli z akra.

Kiedy jednak przyszło do tego, jakim inwentarzem żywym i martwym rozporządza kandydat na dziedzica, farmer zmierzchnił:

— Z czymże się porywasz, człowieku?

Wracał z niczym. Po prawdzie, to bał się więcej tej nowej gospodarki, niż tych tam niedźwiedzi. Byłe robotnika dostać...

Ale serce rolnicze ścisnęło się, kiedy oglądał ponownie z okien wagonu ten kraj. Tu dla niego miliony lat przerabiano pracę. Lawa formowała góry ogniowe i granit; woda, wiatr i słońce przetwarzały to w żwir, piasek i glinę. Miliony lat pracowały na to, aby wreszcie zaciągnąć ten śpichlerz świata powierzchni 12—18 cali. Wartość tej pierwszej jednej stopy i tej drugiej warstwy pod nią — trzystopowej — jest trudna do wyimaginowania. Prof. Shaw oblicza, że wielokrotnie przerosła „wartość wszystkich kopalni od Meksyku do Alaski, wszystkich puszcz całej Ameryki aż po Arktyk. Jeden akr tej wspaniałej ziemi, wyrzucającej przez lat trzydzieści bez nawożenia plony trzykrotnie większe, niż zbożodajne Kansas, jest równy wartości dwudziestu akrów po stronie atlantycznej”.

Tej ziemi, nawodnionej systemem trzech wielkich rzek, ziemi, której sam Bóg wymierzył skrupulatnie 15—20% opadów, tak by dostatecznie nawodnić, a nie zmywać, tej ziemi wyrzekłby się, Stasiu, potomku pokoleń o niewygasłym głodzie ziemi?

Kiedy wrócił na swoją farmę, chociaż po tak krótkim czasie, myślał, że go krew zaleje. Po polach, tu i ówdzie, gęsto wykiełkowały świerki; to paskudztwo tak prędko rośnie, że wykiełkowawszy na wiosnę, potrafi pod jesień dojść do trzech, czterech stóp wysokości. Krzewy dzikiej róży i malin nasiąły się gęsto. Rosnące w boru ogromne krzaczaste piołuny, nieraz przewyższające człowieka, olbrzymie gatunki jeżyn, osiągające sześć stóp wysokości — wypromenowały swoją progeniturę na polankę, którą on i jego ojciec wyszarpali pazurami z tej puszczy. Szara olcha, czarna brzoza i ta najbardziej napastliwa — osika — wstrzelały pędami gdzie spojrzeć.

Rzucił się do tępienia, ale części gruntu nie można było przeorywać, bo było zasiane jarem. Hanka darła z ziemi uporczywe, daleko idące korzenie jeżyn i w oczach jej było szaleństwo. Stasio-Syzvf wstawał świtem, kładł się za ciemną. Zdawało się — już mają przecież te dwanaście morgów wy-czyszczonych, tylko gospodaruj, człowieku, po Bożemu, bydełka doglądaj, siej i zbieraj.

Patrzył w ciemną ścianę lasu, pełną nieposkromionej zielonej sily i zasiedziało go zwierza — bez urągowiska, a już z twogą.

Biedny przybysz z husiatyńskiego powiatu nie rozumiał przed jaką potęgą stoi samotnie. Nie widział jak las wstrzymywał pochód ludzkości, jak całe nowe cywilizacje powstawały tylko na niezalesionych obszarach. Cywilizacja Inków utknęła na puszczach Amazonki. Rzymian, największych kolonizatorów starożytności wstrzymały teutońskie lasy. Dwustu lat trzeba było, aby kolonizacja Ameryki opanowała i przeszła zalesiony pas Appalachian. Prawda, że walka z lasem hartowała duszę, że wkuwała indywidualności Lincolna, H. Clay'a, Bentona.

Ale czy była, na miarę sił jednego Stasia?

Pewnego dnia powitał ich świt matowy, bezsłoneczny. Pracowali dnia tego nieswoi. Człowiek ziemi zrasta się z ziemią tak, że niezwłocznie się przystosowuje w tempie rozmiarzonej pracy, w jej rozkładzie, w wypoczynku i odżywianiu do odmian pogody, namierzonych nieskończonymi dniami doświadczenia. Jest w tym człowieku ziemi coś z rośliny, stulającej i rozstulającej listki na nasilenie światła, wilgoci i promieniowań nieuchwytnych ani przez termometr, ani przez barometr, ani przez żaden przyrząd fizyczny.

Tym razem ta niesłychanie finezyjna adaptacja, jaką mieli w porach skóry, w unerwieniu, w naczyniach limfatycznych, w zespole gruczołów, w nerwie błędnikowym, ciśnieniu krwi i w baterii elektrycznej, obsługującej serce, cały ten subtelny zespół test, rządzony w ostatecznej instancji mózgiem pacierzowym — zawodził.

Słońca nie było widać, chociaż niebo było bez chmur, a powietrze tego dnia nie nasycone wilgocią. Bór stał niemy, listek w nim nie drgnął, ale w czas by największej suszy idą od tego bora od krańca do krańca polany nieuchwytnie prądy powietrzne, tak słabe, że nie drgnie pod nimi nawet liść osiki, że nie zarejestruje ich podświadomość ludzka. Coś się rozregulowało w powietrzu, coś się rozregulowało w Gąsiorach. Na miętny, chroniczny spór, który wszczyniała zwykle Gąsiorowa na temat konieczności wyniesienia się z boru, zaostrił się bardziej niż zwykle.

Następnego dnia już i miejski człowiek coś by skombinował. Światło słoneczne było w dalszym ciągu i jakby jeszcze bardziej przyćmione, ale niebo przybrało niezwykle kolor brudno niebieski. Cienie przedmiotów nie miały zwykłych wcześniejszymi rankami ostrych załamów, ale wyglądały jak rozlewające się plamy.

Pracowali w milczeniu do południa, stropieni tymi kapryśkami przyrody.

Koło południa Hanka poczęła twierdzić, że coś ją zalatuje, jakby dym. Wzruszył ramionami na te zwidzenia. Ale czego baba nie potrafi mówić. Po dwu godzinach jemu samemu chwila poczęło się zdawać, że jakby pachnie dymem. Ani tego dymu nigdzie nie było widać, ani poczuć skąd ciągnie. Kiedy jednak nawroty tego poczucia nie ustawały, Stanisław pokrzyzył po puszczy, ale nic nie uświadczyl.

Kiedy wrócił, Hanka spotkała go lamentami, że wie na pewno, że dym coraz większy, że coś się pali. Istotnie, w tej chwili przeciągnęła mu pod nosem niesłychanie nikła smużka zapachu spalenizny i zaraz znikła.

Chcąc ostatecznie uspokoić żonę, poszedł ku najwyższemu drzewu na wzgórzu, samotnej czerwonej sośnie (eastern red pine), na której ojciec zamierzał umieścić barć. Z chłopczyńskim zadowoleniem poczuł gołymi podeszwami szorstką korę. Wspinał się, jak ongi w Polsce do gawronich gniazd. Widział

z góry całe swoje gospodarstwo i drobną figurkę żony w polu, ale z drugiej strony stały drzewa. Wspinał się dalej, aż się wydobył ponad powierzchnię lasu. W dół ze wzgórza, na którym stało drzewo, spływał zielony bezmiar. Stanisław podniósł wzrok na nieogarnione dale i zobaczył tu i tam wytryskające ponad las pióropusze wełniastego dymu. Było to bardzo daleko, oceniał że pali się gdzie o jakie dwadzieścia mil.

Uspokojony zlaźł z drzewa i poszedł podzielić się spostrzeżeniami z żoną. Wznicił w niej jednak poploch. Że nie chce w tej pułapce zostawać, że nigdy nie wiadomo, że trzeba wywieźć co można do Reimera. Ustąpił. Ładowali pośpiesznie wóz. Jeszcze było daleko do wieczora, kiedy Hanka ruszyła, prowadząc zaprzęzoną parę wołów, pędząc cztery krowy przed sobą, mając dwie uwiązane do wozu, na którym umieściła dziecko, dwie świnię, nieco kur i gęsi. Śwąd w powietrzu, istotnie, był coraz wyraźniejszy.

Pod wieczór śwąd się jakby zmniejszył, może niedostrzeżalnym wiaterek szedł w inną stronę. Coś jakby dym opadało w dolinę w postaci niebieskiej mgły. Stasio spojrzął po niebie, gdzie słońce zachodziło w rozlewnej, żółto-fioletowej łunie. Ale nie ujrzał żadnego odbłasku i uspokojony powalił się spać, klnąc panikarstwo żony.

Nie wiedział, że z głębi miliona dwustu tysięcy akrów lasu kanadyjskiego, biegnącego aż pod Arktyk, szedł na niego pożar.

Olbrzymie złoża powalonych drzew, konarów, tysiące sterzających żywicznych kolumn, gąszcze nieprzebyte modrzewi, cedrów, balsamów, traw suchych, mchów wyprażonych w słońcu — czekało na iskrę...

Stasio, człowiek z równin husiatyńskich, nie wiedział jak wolny, ale nieubłagany, drapieżny rozrost mają pożary leśne. Nieraz czuje się je na tydzień przedtem, dymy z nich dochodzą na pięćdziesiąt mil i więcej, łuny z daleka goreją i ostrzegają. To kiedy pożar się wyzwoli i idzie szczytami. Czasem jednak bestia skrada się poszyciami lasów, dołem, bywa nawet, że pół roku posuwa się torfowiskami. Tysiące czynników — wiatru, wody, drzew, poszycia, strumieni, bagien — składa się na przebieg pożaru i jak stara jest ludzkość, tak zawsze dawała się zaskakiwać pożarowi — aż do najnowszych czasów, do czasów wież strażniczych, przesiek, buldozerów i stróżujących aeroplanów.

W 1825 pożar lasu w N. Brunswick w Kanadzie zostawił popielisko równe stanowi Connecticut, to znaczy dwakroć tyle co Śląsk i kosztował życie 160 ludzi.

W 1871 pożar w Wisconsin strawił obszar równy stanowi Delaware, to znaczy dwakroć tyle co Wielkie Księstwo Luksemburg i zabił 1500 ludzi.

W 1881, pożar w Michigan zniszczył obszar równy Long Island, to znaczy równy dwudziestu pięciu niezależnym państwom Lichtenstein i zabił 400 ludzi.

Te kataklizmy, te morza płomieni ciążyły nad ogromnymi połaciami. Kiedy w 1900 szalał pożar w Idaho, dzięki jakimś prądom powietrznym odległy o 1.600 mil Montreal był tak zasnut dymem, że pracowano w południe przy sztucznym świetle.

Ofiarą żarłocznej, podstępnej i nienasyconej bestii padali nie tylko samotni ludzie po leśnych polanach, ale i całe osady. W 1916 r., kiedy szalejący pożar zmienił północne Ontario i część dystryktu Abitibi w ocean ognia, znaleziono po przejściu pożaru całą osadę Nushka, wraz ze swym proboszczem spaloną lub uduszoną.

Ale cóż o tym mógł wiedzieć przybysz z Europy?

Rano obudził się z ciężkiego snu i, przecknąwszy się, skoczył na równe nogi. Poczul zapach dymu. Wypadł za drzwi — dym przepelniał powietrze.

Nie bardzo wiedział skąd dym idzie, ani co mu grozi. Pędem pobiegł do czerwonej sosny, wydrapał się na szczyt. To co zobaczył, było dziwne, ale nie wydawało się na pierwsze spojrzenie groźne.

Od wzgórza, na którym stała czerwona sosna, biegła w dół płytka, normalnie nieco podmokła dolinka. Była ona po prawdzie zarosła, ale rzadszym lasem, co w swoim czasie skłoniło starego Gąsiora do wybrania tej właśnie działki, jako lżejszej do karczowania. Grunta w niej normalnie, w latach mniej suchych, były nieco podmokłe i dlatego Gąsiorowie dali je pod kapustę.

Dolinka wciąż wyglądała pokojowo, świecąc soczystą zielenią. Od niej znowu wznosił się grunt i stocze było zarosłe starym lasem. Teraz widać było tylko podnóże — dalej stała jedna wielka ława nieprzeniknionego dymu.

Ubezpieczony dolinką, nie widząc kierunku pożaru, Stasio wciąż patrzył.

Z ławy dymu wystrzelały jak race — ptaki. Kruki w wariackich wykrętach w powietrzu dały się zapamiętać. Po rozrzedzonych peryferiach dymu widać było wibrujący drobny ptasi. Pojedyncze drobinki jakichś pliszek, czy sikorek leśnych wirowały jak mak górą rozrzedzonego dymu, czasem widać było jak taki czarny punkcik leci w dół, czasem znów z powrotem ostrym kątem wzbijał się w górę. Czarne plamy tłustych *woodchicken* — rodzaj kuropatwy kanadyjskiej, siadającej na drzewach, łopotały bezwładnie i beznadziejnie po czarnym powietrzu, pozbawionym tlenu.

Miedzy lasem a początkiem doliny, u stóp wzgórza, które porastał las, leżały zwały sucholeżu, oddzielone od pierwszych drzew przestrzenią wysokich paproci.

Z lasu wyskoczyła sarna z małym kozłatkiem, Maleńtas biegł za matką i widać był bardzo osłabiony, bo kiedy wpadli w paprocie, odległość między nim a matką zaczęła się zwiększać. Kiedy dobiegł do zwałów sucholeżu, które matka przesadzała zgrabnymi susami — zleął. Biały talerz matki sunął w prawo w dół i znikł w krzewach przed ponowną ścianą puszczy.

Ale nagle wszystko się zmieniło.

Pożar, idący widać przez noc dołem, teraz wyrwał się na wierzchołki. Z dymu poczęły się wydierać race ognia, strzelając jak fajerwerki. Trafiając na złoża gazu z rozpalonej żywicy, wystrzeliwały erupcjami grzmotów. Do tego dołączały się dalekie huki kolosów drzewnych, nagle zawałających się w żar. Modrzewie, jodły nasyczone żywicą (balsam — cedar) płonęły wielkim ogniem, w którym las stał jak ogromny stos.

W obrębie tego rozżarzonego lasu sformował się łuk wysanego gazu. I podczas, kiedy boki tego olbrzymiego łuku wysały, wbiwały w siebie ten gaz, czubek łuku uderzał z furją naprzód, prac na drzewa niepowstrzymaną ognistą wichurą tak silną, że zanim zapaliły się pnie, już rwało drobne, zapalone gałęzie i niosło żagwiami w przód. Na sarniátko, upłatanę w wykroty, padała fontanna palących się gałązek i szła w dolinę.

Jak oszalały zsunął się Stasio z drzewa i runął w obejście. Narzucił na dwa pozostałe woły jarzmo, przyprzągnął do sań, które ciągał przez przesiekę, kiedy nie mieli jeszcze wozu, narzucił na te sanie co mógł z inwentarza martwego, którego wczoraj nie zmieściła na wóz żona. Przez myśl przeszło mu krótkie zadowolenie, że przecie nie zostało prawie nic, ale zaraz potem ustąpiło miejsca strachowi. Pożar, którego nie widział teraz, huczał tak za dolinką, że grzmot stał w powietrzu, jakby jakiejś toczącej się bitwy, a dym stawał się coraz gęstszy.

Okładając woły batem, posuwał się zbawczą przesieką. Prężne nogi aż go podrywały do ucieczki, ale jakże tyle dorobku zostawić i parę wołów?

Schwycił kij, zastrugał, wciąż poganiając woły, ostre szpi-kulec i dźgał bez opamiętania w miękkie wewnętrzne części ud, pod ogon. Woły przyspieszały kroku, ale nie mogło to przynieść trzech mil na godzinę. Takiej przestrzeni na godzinę nie zżera nawet silny pożar. Jeśli posuwał się on z szybkością półtorej mili, to za każdą godziną Stasio powinien był być o półtorej mili dalej. Istotnie, zdawało mu się, że dym rzadnie i posuwał się już spokojniej przy wołach.

Nagle, kiedy już przybliżał się do pierwszego załamania przesieki, ujrzał dymy, snujące się p r z e d sobą. Zrozumiał: pożar wystął jakiś swój język zakosem, ruchem okrażającym. Ogień mu przetnie jedyną drogę odwrotu. Jedyna rzecz — rzucić woły i zawierzyć własnym nogom. Skręcił się w sobie, spojrzal: do zakrętu było niedaleko, dym który przez zakręt ciągnął, nie wydawał się jeszcze gęsty. Był zakręt minąć, to się będzie posuwał nie równoległe do ognia, ale od ognia, tak jak dotychczas.

Wrzucił swój szpi-kulec w krwawiące mięso wołów, podpierał wóz, dał się jak szatan, z piersi jego szedł ochrypli, ciągły wrzask, pobudzający woły do ruchu.

Dym stawał się coraz gęstszy. Widać od lewej ręki, od

której szedł ogień, podniósł się silny wiatr, albo stworzył się huk ciśnienia gazów.

Gąsior już nie widział niemal nic. Porwawszy z wozu jakąś szmatę, owinał głowę i dęgał woły zapamiętałe. Gorąco się zwiększało. Lysnąwszy okiem spod szmaty, zobaczył, że drogą w czarnym powietrzu migają płonące, miotane na drugą jej stronę gałęzie. Już teraz za nic w świecie nie powierzyłby się swym nogom. Zaparł się do wozu od jego strony przeciwnej ogniovi, zdawało by się, że spod szmaty działa nie człowiek, lecz jakieś zachryple szaleństwo, dęgające woły.

Wtem sanie stanęły. Rozeznał, że woły wparły się w drzewo. To był zakręt przesieki. Rzucił się przed pyski, wrzeszcząc niesamowicie „K. sob’’, wyrwane z chłopięcych lat, którego woły nie rozumiały. Ciągnął je w prawo i narychtowawszy kierunek, czując, że ciemność mu głowę zasnuwa, trzymając się rękami za brzeg sani, przesunął się na stronę od ognia i już półprzytomnie począł bósć woły. Ruszyły raźnie, wlokąc człowieka, uczepionego brzegu sani.

W pewnej chwili chwyciły go jakieś ręce. Zwymiotował ciężko i zapadł w niewiedzę.

To oczekiwali u skraju zasięgu gorąca Reimer i żona. Byli już na zakręcie i cofnęli się przed ogniem. Słyszeli jego krzyki na woły.

Z okna wagonu widać było nieskończone równiny, po których wichur toczył „pierekatipole’’. Te okrągłe kule ostu, zwane przez Kanadyjczyków „Russian thistle’’, nie spotykając w preriach ani drzew, ani płotów, ani rowów, robią olbrzymie przeloty, liczące setki mil.

Stasio, patrząc na tę roślinę, pełną dojrzałych nasion, nie mogącą się zakorzenić, gnana w przestrzeń, doznał ściśnięcia serca.

Oto i on tak samo jechał ponownie do farmera w Saskatchewan, raz jeszcze próbować szczęścia. Może stary w międzyczasie miał trudności ze zlikwidowaniem całości i odda mu jedną z farm? A jeśli nie — może mu wskaże coś w okolicy.

Stasio nie miał wiele do myślenia. Powinien był znaleźć ziemię, na której miał zakorzenić się.

Pod podszewkę zaszyła mu Hanka mocną woskową nicią książeczkę czekową. Był to wymysł, o którym nikt nie słyszał na wsi husiatyńskiej. Z dawien dawna trzymano (ci, którzy mieli) pieniądze po schowkach pewnych — zakopane pod podłogą, w wydrążonych nogach łóżek, a to i w garnczkach, zakopanych po lasach. Pożary to niszczyły, a nad garnczkami, nie odnalezionymi przez spadkobierców, (którym do ostatniej chwili umierający nie zwierzał miejsca zakopania, aż i umierał wreszcie ze swoją tajemnicą), płonęły po nocach tajemnicze światełka. Światełka te pochodziły z tłących torfowisk, ale ludzie wierzyli, że to Zły objął pieniądze w posiadanie i tak stróżuje.

Wszystko na świecie było Boże albo diaboliczne. Jużci, Bożego było więcej, ale bez diabolicznego nie obejdiesz się człowieku, nie.

Pieniądz był diabolowy. Używać go było trzeba, nie zapominając jednak ani na chwilę, żeby służył chrześcijaninowi, a nie panował.

Dlatego nic nie było Bogu miłszego, jak zakupić Mszę Świętą nie za kury i jajka, ośkę masła albo słoninę — jeno za żywy grosz, było w tym bowiem pohańbienie diabelstwa i słodkie naigrawanie się z czarciej mocy. Taki pieniądz wypadał z obiegu diabelskiego, podczas kiedy wydany w karczmie rozbudowywał diabelskie inwestycje.

Dlatego należało pieniądze, jeśli już jest, trzymać krótko i mocno, pod zamknięciem, jak się trzyma pod zamknięciem w piecu ogień.

Po sprzedaniu całego zbioru, który został dostarczony na stację jeszcze przed pierwszym wyjazdem do farmera, Reimer nie mógł wytłumaczyć Stasiowi, że należy pieniądze umieścić w banku. Powądrowały, jak i za czasów ojcowych, do Hanińskich skrytek, o których nawet nie bardzo wypadało wiedzieć Stasiowi.

Tak w konspiracjach, zagrożonych przez prześladowanie, jeden tylko z konspiratorów ma adresy. Inni, brani na męki, nie wydadzą, choćby i chcieli. Z dawien dawna narosła, babską mądrością należało trzymać chłopów z dala od pieniędzy, jako tych, których życiowe ścieżki więcej są narażone na przecinanie się z diabelskimi drogami.

W ten pamiętny dzień, kiedy Hanka ewakuowała się z zagrożonego osiedla, ciężki dylemat stanął przed nimi. Zdawało by się — najlepiej pieniądze zakopać. Skakać tam nad nimi będzie i ogień wodzić szatan, czy nie, ale nie jego siła pieniędzy zabrac. Bo przyszły z potu ludzkiego, a wiadomo, że diabeł nie znosi ani święconej wody, ani potu pracy ludzkiej.

Ale Hanka się uparła. Wmościła zawiniątko najgłębiej i ruszyła. U Reimerów nie miała swoich kątów, więc trzęsąc się nad pieniędzmi, schudła i szerniała, a kiedy mąż przyjechał, oboje budzili się po nocach.

Toteż, kiedy Stasio miał ponownie ruszać, duch ich był wymęczony i zwątlony. Reimer pokazywał własną książeczkę czekową, a dotąd źle nie radził. Odbyli wspólną wyprawę z pieniędzmi — i wrócili z książeczką czekową. Stasio miał niejasne przeczucie, że wlał swoją gotówkę w jakiś wir, popędzający diabelskie młyny. Wiedział po prawdzie z młodu, że na diabły są cyrografy, którymi złe moce są spętane. Ojciec mówił, że jego dziadek zawsze opowiadał o jednym takim, co miał taki cyrograf. Czy ten cyrograf był spisany na pergaminie, wyprawionym ze skóry nieochrzczonego dziecka — nie wiadomo, ale fakt był, że na każde gwizdnięcie Zły musiał przylatywać i usługiwać i dostarczać, czego tylko ten człowiek chciał.

Stasio pomacał miejsce, w którym miał zaszyty cyrograf.

Reimer mu wytłumaczył procedurę i Stasio przymykał oczy, przed które wypływały konie jak smoki, żniwiarka, młockarnia i z lubością marzył, jak będzie wyrwał kartkę po kartce, czekając za czekiem, a diablisko będzie mu dygowało to wszystko na zgiętym karku.

Ba, ale gdzie dygowało?... Tu do wagonu?...

Reimer okazał się jasnowidzem. Farmer nie sprzedał dotąd swoich posiadłości. Ludzie w tych latach walili, co prawda, a walili na Saskatchewan, ale bez pieniędzy. A jak kto miał pieniądze, to się cisnął do miasta.

Cyrograf bankowy opiewał na małą sumkę jednego zbioru, za małą, żeby się rzucić na dzierżawę 460 akrów.

Okrutnie więc markotno było farmerowi odmawiać. Czas, kiedy będzie sobie siedział na „letkiej pracy” w hotelu a pogadywał z gośćmi — oddalał się.

Stasio więc prosił o zorientowanie czy nie ma mniejszych obiektów w okolicy. Jest pogorzałem i nie ma do czego wracać.

Pogorzałe — to słowo, które na świecie ubezpieczeń zapewne zamarło. W Galicji z końca XIX w. miało pełny dźwięk.

Farmerowa złożyła boleściwie ręce. Jakże... Kiedy oni przybyli i umościł się w prowizorycznej szopie w Beausejour pod Winnipegim, przyszedł po stepie ogień z wiatrem, o którym mówili, że robił 125 mil na godzinę. Kto się spostrzegł ten w czas wypalił trawę naokoło, ale oni tylko oborali swoją szopę i za blisko, bo ogień bił z odległości dziesięciu jardów i mało tam się nie zeszkwarzyli. Siedzieli na ściółce, modląc się i zatykając usta, a naokoło pisały króliki i kuropatwy, miotające się między dwoma ogniami. Wtedy dwunastu ludzi się spaliło, w tym matka z trojgiem dzieci.

Utarła nos fartuchem:

— Przecie musisz pomóc tym ludziom.

Stary farmer ważył:

— Chyba, że tak będzie: Dam ci farmę nie w dzierżawę, ale na odrodek. Dam ci całe 460 akrów, 8 koni, dwa pługi dwuskbowe, żniwiarkę i nasienie na jeden rok. Za to z całego plonu dwie trzecie będzie moje.

Kiedy przyprowadził dobytek — żonę, syna, sześć krow, cztery woły, kury, gęsi i skromne ruchomości — było południe. Trzeba się było nauwijać, rozmieszczając wszystko po miejscach, zadając karmu. Wiał właśnie *chinois* — ciepły zachodni wiatr i oboje opływali w pocie. Wieczorem wynieśli derki przed dom, szukając ochłody i posnęli. W środku nocy porwali się na równe nogi: niesamowity jęk, wycie, śmiech huczały im nad głową. To kujot, który podszedł na kilka kroków.

Długo nie mogła Hanka uciszyć bijącego serca. Jakież to nowe moce zewrą się w tym stepie z ich nieopancerzoną słabocią egzystencją ludzką?

Melchior WANKOWICZ

Archiwum polityczne

Nad grobem słońca ze «Sprawy Polskiej»

(Od londyńskiego korespondenta „KULTURY”)

Większość ludzi na Zachodzie, w teorii, pogodziło się z faktem, że państwo jako jednostka polityczna jest dziś anachronizmem. Państwo przestało być ową finalną jednostką, w której ramach wszystkie zagadnienia polityczne i społeczne mogą znaleźć swoje rozwiązanie. Świadomość, że wszystkie główne problemy naszej epoki mogą być rozwiązane jedynie w skali międzynarodowej — jest niemal powszechna. Lecz mimo to, większość ludzi na Zachodzie — choć zdaje sobie w pełni sprawę z powyższego stanu rzeczy — pełni politycznej lojalności przyznaje tylko i wyłącznie własnemu państwu.

Ważny przykład pierwszy z brzegu. Polacy na emigracji reprezentują pogląd, że naszym kardynalnym celem politycznym jest odbudowa niepodległości Polski. Natomiast nasze ewentualne współdziałanie z Ameryką jest tylko funkcją owego celu kardynalnego. Nas nie interesuje ani budowa jakiegokolwiek nowego systemu międzynarodowego, ani idea rządu światowego, ani federalizm — bo, jak słusznie zauważył Aleksander Bregman, my w gruncie rzeczy jesteśmy zwolennikami polityki „containment” z tą tylko różnicą, że pragnęlibyśmy, by „żelazną kurtynę” powiodło się przesunąć na granicę polsko-sowiecką z 1939 r. Problematyka polityki światowej interesuje nas tylko o tyle, o ile jest bezpośrednio związana z możliwością zepchnięcia „żelaznej kurtyny” kilkaset kilometrów bardziej na wschód.

Jeżeli wychodzi się z założenia, że alfą i omegą jest państwo, jeżeli wierzy się, że państwo jest nadal tą samowystarczającą jednostką w której suwerennych ramach wszystkie za-

gadnienia winny i mogą znaleźć swe ostateczne rozwiązanie — w takim wypadku, jest to polityka logiczna. Obecnie jednak istnieją na świecie tylko dwa w pełni suwerenne państwa, oraz cała gama państw w połowie suwerennych, w ćwierci suwerennych, czy zgola satelickich. Owe dwa w pełni suwerenne państwa prowadzą politykę, której nie można by nazwać „państwową polityką zagraniczną”. To już nie są polityki zagraniczne, lecz programy systemu międzynarodowego w skali światowej. Do polityki Stanów Zjednoczonych, czy do polityki Związku Sowieckiego nie można mieć takiego stosunku jaki mieli, przed pierwszą wojną światową, nasi ojcowie do polityki zagranicznej Austro-Węgier, czy wiktoriańskiej Anglii.

Dawniej, gdy świat składał się z suwerennych państw, każdy obywatel niepodzielną lojalnością darzył własne państwo, a politykę zagraniczną obcych państw oceniał wyłącznie pod kątem widzenia rachunku zysków i strat własnego kraju. Rosja sowiecka była pierwszym państwem, które spowodowało rozszczepienie tej lojalności. Komunista brytyjski jest w pierwszym rzędzie lojalny wobec Moskwy, gdyż w jego przekonaniu losy Anglii (przyszłej komunistycznej Anglii, oczywiście) w całości zależą od zwycięstwa programu komunistycznego, czyli od realizacji celów sowieckiej polityki zagranicznej.

Niedawno elitarny organ polskiej Kompartii „Nowe Drogi” poświęcił dłuższy artykuł „KULTURZE” i mojej publicystyce. Z tego artykułu dowiedziałem się m. in., że jestem „agentem amerykańskim”. Po rozważeniu doszedłem do wniosku, że z punktu widzenia „Nowych Dróg” jest to określenie w pełni usprawiedliwione i logicznie sformułowane. Albowiem dla „naszych” komunistów polityka nie wywodzi się z tezy: „Sprawa polska a konflikt światowy” lecz z zasady, która ustanawia prymat zwycięstwa idei komunistycznej i temu kardynalnemu celowi podporządkowuje wszystko inne. Wychodząc z takiego założenia, kto nie jest z Moskwą jest przeciwko niej, a kto jest przeciwko niej, jest automatycznie poplecznikiem Waszyngtonu.

Po tamtej stronie „żelaznej kurtyny” sprawa jest prosto rozwiązana: wszyscy są nominalnie agentami Moskwy. Natomiast kto jest po tej stronie barykady jest „agentem” Waszyngtonu — jest zagadnieniem znacznie bardziej skomplikowanym.

Jeżeli chodzi o Polaków to wydaje mi się, że większość reprezentuje pogląd, iż właściwie nic się nie zmieniło. Stany Zjednoczone... sobie a my... sobie. Politykę zagraniczną prowadzi tylko rząd, pieniądze w formie pożyczek od państw obcych może brać tylko rząd, o ewentualnej współpracy z obcymi, decyduje tylko rząd.

Jeżeli stoi się na stanowisku prawdziwego legalizmu z daty 1939 r. jest to logiczny pogląd. Trzeba tylko dodać, że tak pojmowany legalizm obejmuje nie tylko pełną suwerenność polskiego rządu, lecz również interpretację polityki międzynarodowej w sensie przedwojennym. To znaczy, że zwolennicy tego

poglądu uważają, iż nadal ma pełne pokrycie w rzeczywistości zasada sojuszków jako jedynej formy współpracy międzynarodowej. Albowiem w ich zrozumieniu wszelka polityka jest zawsze polityką państwową i wywodzi się w całości z analizy interesów państwowych.

Do niedawna istotnie tak było. Ludność świata składała się z obywateli państw i owemu podziałowi odpowiadały państwowe lojalności. Lecz dziś przedmiotem polityki stały się nagle zagadnienia ogólnoludzkie, które budzą oddźwięk w masach bez różnicy na kolor skóry i przynależność państwową. I ten typ polityki stworzył nowe lojalności, które nie pokrywają się z dawnym podziałem na państwa. Komunista francuski czy brytyjski popiera politykę sowiecką nie dlatego, że jest to zgodne z „narodowymi interesami” Anglii czy Francji, ale dlatego, że odpowiada to jego przekonaniom jako człowieka.

Polityka amerykańska, mimo, że nie dysponuje żadną dogmatycznie sformułowaną doktryną ideologiczną, to przecież również obejmuje swym zasięgiem problemy ogólnoludzkie i ponad-narodowe. Wystarczy uzmysłowić sobie, że Ameryka stanowi główną przeszkodę i zapórę przed komunizmem dążącym do ustanowienia dyktatury w skali światowej co w konsekwencji przyniosło by nam stulecia ciemnoty, terroru i barbarzyństwa.

Ale ktoś wysunie może zarzut, że zarówno polityka Rosji jak i polityka Stanów Zjednoczonych w gruncie rzeczy opierają się o staroświeckie „interesy narodowe”. Być może, że tak jest istotnie — ale to niczego nie zmienia. Zasięg tych polityk jest tej miary, że nawet jeżeli uznamy je za zwyczajne imperialistyczne polityki, to niemniej obejmują one swym potencjałem i dynamiką losy świata i losy ludzkości. I dlatego w stosunku do tych dwóch polityk zagranicznych nikt nie może być obojętny czy neutralny. I to nie jako Polak, Anglik czy Francuz ale jako człowiek.

Teoretycznie o każdym Polaku, który współpracuje z amerykańską polityką antykomunistyczną można powiedzieć, że jest agentem amerykańskim. Pieniądze są w tej sprawie czynnikiem ważnym ale nie decydującym. Biorę w tym wypadku jako przykład samego siebie. Nie jestem związany ani politycznie ani finansowo z żadną instytucją amerykańską. Jednak dla komunistów nie to jest decydujące. Istotny jest dla nich fakt, że jako publicysta oświadczam się po stronie obozu, który ich zwalcza i podkreślam przy każdej okazji, że jeżeli świat ma być rządzony przez jeden ośrodek polityczny, to wolę by tym ośrodkiem był Waszyngton niż Moskwa. Nie oznacza to bynajmniej bym kulturę amerykańską uważał za ideał. Oznacza to jedynie, iż w ramach hegemonii amerykańskiej widzę możliwości trwania cywilizacji i kultury, które określają orbitę życia tak jak my je pojmujemy.

I to są zagadnienia, które nie mieszczą się w definicjach lojalności państwowej. Gdyby Polska była — powiedzmy —

Finlandią nie okupowaną przez Sowiety, a polski legalny rząd zawarłby sojusz z Sowietami i przyobiecał Moskwie pomoc wojskową w razie wybuchu wojny — w takim wypadku opuściłbym Polskę. Wypowiedziałbym posłuszeństwo mojemu rządowi i współpracowałbym z Amerykanami przeciwko Sowiетom i ich sojusznikom. Nie można bowiem służyć nawet własnemu krajowi wbrew zasadniczym ludzkim przekonaniom.

Nasz rząd „in exile” jest anty-komunistyczny, dlategoż więc publicyści rządowi szafują mianem „agentur” pod adresem opozycji. Czy Polak współpracując z amerykańską polityką anty-komunistyczną w stosunku do polskiego anty-komunistycznego rządu staje się obcym agentem?

O co tu właściwie chodzi? W gruncie rzeczy chodzi o pieniądze i o władzę. Argument mówiący o samodzielności politycznej jest bardzo obosieczny. Jeżeli mówi się, że politycy, którzy biorą subsydia od Amerykanów uzależniają się od swych subsydiodawców — co jest zgodne z prawdą — to można przecież zauważyć, że korzystniej jest mieć uzależnionych polityków opozycji, niż uzależniony rząd.

Ale obóz rządowy nie uważa takie stanu rzeczy za ideał. Za ideał uważa się przywrócenie uznania i układ, na mocy którego Rada Narodowa uchwalalaby budżet państwowy pokrywany z funduszy Anglosasów. Politycy rządowi sądzą, że tej operacji finansowej nadać by można formę pożyczki zawartej pomiędzy jednym suwerennym państwem a drugim.

Jest rzeczą oczywistą, że taki rząd byłby zależny. Rząd, który przebywa poza granicami kraju i którego budżet pokrywają sojusznicy nie może prowadzić realnie samodzielnej polityki. W dramatycznej sytuacji, rząd taki może tylko protestować. Ale doświadczenie uczy, że gdy tego typu rząd zbyt głośno protestuje cofa się mu uznanie i subsydia. A sojusznicy robią swoje.

Jeżeli któregoś dnia — oby jak najrychlej — Amerykanie zdecydują się przywrócić uznanie naszemu rządowi — czegoż to będzie oznaką? Będzie to oznaczało, że Amerykanie w swym planowaniu międzynarodowym postanowili stworzyć nowy instrument, który z punktu widzenia Waszyngtonu będzie pośrednio jednym z elementów światowej polityki amerykańskiej.

Na wewnątrz uznanie i budżet mają znaczenie decydujące. Jeżeli pieniądze otrzymuje tylko rząd, a nie partie, czy przywódcy partii — zazwyczaj nie ma trudności z uformowaniem koalicji. Wówczas bowiem, kto jest poza koalicją jest poza budżetem, poza stanowiskami, posadami itd. Oprócz tego uznawany rząd cieszy się zaufaniem potężnych sojuszników i wówczas opozycję wobec rządu łatwo można interpretować jako opozycję wobec polityki sojuszniczej, co w konsekwencji kończy się czasem na jakiejś „wyspie odosobnienia”.

Tak oto wyglądają te sprawy bez upiększeń. Nie oznacza to bynajmniej bym był przeciwnikiem tego typu rozwiązania. W naszej sytuacji byłoby to niewątpliwie rozwiązanie najko-

rzystniejsze. Ale zarówno w handlu jak i w polityce niczego się nie zyskuje reklamując towar za co innego niż on jest w rzeczywistości.

Poruszam tę sprawę dlatego, że założenia naszej oficjalnej polityki wydają mi się dziś anachronizmem. Nasi politycy wychodzą z przesłanki, że tak dawniej jak i dziś państwo, czy to w realnej postaci, czy też na emigracji, jest ostateczną jednostką polityczną. Wskutek tego, w zrozumieniu tej szkoły, współczesny konflikt światowy między Rosją a Ameryką jest jednym z elementów polskiej polityki zagranicznej. Innymi słowy obowiązkiem Polaka jest osądzać ten konflikt poprzez perspektywę polskiej polityki zagranicznej. Natomiast regulowanie tejże perspektywy, poprzez którą osądzać mamy scenę światową — jest wyłącznym monopolem rządu, ściślej ministra spraw zagranicznych. Na tej podstawie oficjalny „Orzeł Biały” skarcił nas, ponieważ w przedmowie do pierwszego „krajowego” numeru „KULTURY” napisaliśmy, że słuzenie interesom Polski na emigracji polega przede wszystkim na współdziałaniu ze światem wolnych narodów w walce ze Związkiem Sowieckim. Tymczasem według tradycyjnego poglądu owa współpraca może być tylko funkcją celów polskiej polityki zagranicznej i czy w danym momencie jest tą funkcją o tym decyduje rząd.

To zagadnienie — niezmienne istotnie — ma trzy aspekty.

Po pierwsze — wydaje mi się, że jest coś niemoralnego w domniemaniu, które kryje się w powyższym poglądzie, że rząd wyświęci do rangi „służenia sprawie Polski” współpracę z anglosaską polityką anty-komunistyczną, dopiero wówczas, gdy otrzyma uznanie i budżet. Po drugie, w moim rozumieniu, konflikt między Waszyngtonem a Moskwą jest wydarzeniem ponad-narodowym i ponad-państwowym. Obowiązek współpracy z wolnymi narodami w walce przeciwko Sowiетom ciąży na każdym wolnym człowieku, bez względu na narodowość i bez względu na politykę zagraniczną danego rządu. I to jest obowiązek, którego żadna władza państwowa nie ma prawa modyfikować, gdyż to są sprawy sumienia i przekonania.

I wreszcie punkt trzeci. Prasa polska wszystkich odcieni potępia zawsze tych Brytyjczyków, którzy, jak politycy z grupy Bevana — są przeciwnikami ściślej współpracy z anty-komunistyczną polityką amerykańską. Innymi słowy, wytykamy innym, że wyżej cenią własną niezależność, niż solidaryzm frontu anty-komunistycznego. Równocześnie ci sami ludzie, którzy potępiają Bevana uważają Polaków współpracujących ściśle z amerykańską polityką anty-komunistyczną za „agentów”. Wprawdzie sami jesteśmy wyznawcami polskiej doktryny „containment” tzn. domagamy się w gruncie rzeczy przesunięcia „żelaznej kurtyny” na linię graniczną z 1939 r., ale równocześnie, od Amerykanów domagamy się polityki „liberation”. Wprawdzie sami odcinamy się od hasła „za naszą i waszą wolność” — to równocześnie jednak domagamy się, aby Amery-

kanie przestoczyli to hasło na realny program ich własnej polityki.

Morał z tej przypowieści jest następujący. Formułowanie naszej doktryny politycznej w tym sensie, że naszym jedynym celem jest przywrócenie Polsce niepodległości, a wszystko inne interesuje nas tylko pośrednio — w obecnej sytuacji światowej jest nonsensem. Gdyby się palił dziesięciopiętrowy gmach z równą logiką moglibyśmy powiedzieć, że interesuje nas uratowanie tylko trzeciego piętra a wszystko inne interesuje nas tylko ...pośrednio. Dopóki państwa „mieszkały” w suwerennych własnych domach nasza tradycyjna doktryna polityczna miała pełne pokrycie w rzeczywistości. Lecz w epoce, w której państwa wolnego świata „mieszkają” we wspólnym wielopiętrowym gmachu — powyższa doktryna jest anachronizmem.

W sumie wydaje mi się, że powinniśmy porzucić romantyczną doktrynę, która głosi, że „interes narodowy” jest czymś samoistnym zamkniętym w muszli suwerennego państwa. Albowiem dziś tak nie jest.

Powinniśmy również porzucić polską doktrynę „containment”, która w gruncie rzeczy jest aprobatą obecnego układu z tą tylko różnicą, że tymi którzy by nadal cierpieć mieli niewolę byłiby inni np. Ukraińcy a nie Polacy. Nowoczesna polska doktryna polityczna winna wyjść z przesłanki, że jesteśmy emigrantami politycznymi nie tylko z ujarzmionej Polski ale z ujarzmionej przez Moskwę połowy świata. Jesteśmy na obczyźnie nie tylko po to by ratować „polskie piętro” w zagrożonym gmachu wolności, lecz by ratować cały gmach. Domagając się od innych polityki wyzwolenia trzeba głosić ją *samemu* w stosunku do Ukraińców, Litwinów i wszystkich narodów ciemnionych przez Rosję Sowiecką. Stwierdzenie, że na wschód od granicy z 1939 r. nie mamy „żadnych interesów” jest przyjmowaniem tej samej zasady w stosunku do innych, którą piętujemy jeżeli jest stosowana do nas.

Polska polityka winna domagać się wolności dla wszystkich ciemnionych narodów. I nie tylko to. Winniśmy również głosić uparcie i odważnie tezę, iż wolność ludzka winna znaleźć gwarancje w prawie międzynarodowym. Wolność ludzka winna mieć statut światowy. W chwili obecnej na Zachodzie a m. in. i na forum O.N.Z. — toczy się zasadniczy spór czy instytucje międzynarodowe, a w szczególności O.N.Z. mają prawo ingerencji w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa, jeżeli podstawowe prawa wolności osobistej są gwałcone przez władze danego państwa. Niewątpliwie, rozwój norm prawa międzynarodowego i postęp idą w kierunku, by wolność jednostki wyposażać w sankcje międzynarodowe. Oczywiście realizacja tych projektów jest możliwa jedynie na drodze dalszego ograniczania uprawnień, wypływających z suwerenności państw. W tej sprawie, którą uważać należy za jedną z najistotniejszych — nikt chyba nie jest bardziej zainteresowany niż my, Polacy.

Nowoczesna polska polityka winna szukać „podstawy siły” w zogniskowaniu w swym programie ideałów wolnościowych pojętych jak najszerzej, jak najpowszechniej, jak najbardziej międzynarodowo. To brzmi romantycznie, ale w rzeczywistości to jest jedyna realna droga przed nami. Natomiast romantycznym eskapizmem jest wywodzić polską politykę z nacjonalistycznego, suwerennego „interesu narodowego” i szukać dla takiej polityki „podstawy siły” w czym? W państwowo-twórczych frazesach — w teoretyzowaniu historycznym, we wspominkach. Czy dziś ktokolwiek z nas wierzy w możliwość istnienia Polski w oparciu o pakt nie-agresji zawarte z Rosją i z Niemcami? Jeżeli Polska nie ma być funkcją polityki rosyjskiej, lub funkcją polityki niemieckiej, względnie przedpołem starć i placem targowym kompromisów między Moskwą a Berlinem — jej fundamentem musi być nowy system międzynarodowy, który by zapewniał wolność i tym narodom, które w epoce atomowej nie są w możności bronić jej własnymi siłami. Innymi słowy, wolna Polska może istnieć tylko w ramach międzynarodowego systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Jeżeli nie dojdzie do zorganizowania takiego systemu, Polska nie odzyska niepodległości nawet wówczas, gdy w Rosji upadnie reżim komunistyczny. Albowiem sami nie zdołamy się przeciwstawić ani przyszłej „demokratycznej” Rosji ani przyszłemu — potężniejszym niż kiedykolwiek przedtem — „europejskim” Niemcom. Wejdziemy jako państwo satelickie w orbitę jednych albo drugich.

Wolność jednostki w obrębie państw i wolność narodu w obrębie społeczności narodów — muszą być wyposażone w realne gwarancje międzynarodowe, w prawny statut światowy. Nie może być lagrów w obrębie suwerennych państw ani „Generalnych Gubernii” w obrębie polityk, czy to sowieckiej, czy niemieckiej.

Polska nowoczesna doktryna polityczna winna wyjść przeto z następującego założenia. Naszym głównym celem politycznym jest realizacja programu wolności i budowa nowego systemu międzynarodowego zbiorowego bezpieczeństwa, gdyż jedynie w ramach takiego systemu Polska i inne ciemnione średnie i małe narody mogą odzyskać i utrzymać byt niepodległy. Czy system ów przybierze formę rządu światowego, czy oprze się o zręb istniejącej O.N.Z. posiada w tym wypadku znaczenie drugorzędne. Przede wszystkim chodzi o samą zasadę wolności i zbiorowej jej ochrony.

Winniśmy sobie wreszcie uświadomić, że doktrynę „interesu narodowego” tak jak my ją głosimy, mogą dziś realizować tylko dwa państwa tj. Rosja i Ameryka. Racja stanu pozostałej reszty państw a w szczególności państw, które utraciły niepodległość musi się dziś wywodzić z analizy „interesu zbiorowego” a nie „narodowego”. Bez systemu zbiorowego bezpieczeństwa może się obejść Rosja lub Stany Zjednoczone, ale w żadnym wypadku Polska. I dlatego naszą tradycyjną dyspo-

zycję polityczną winniśmy obrócić o 180 stopni, grzebiąc raz na zawsze kompleks: „słoń a sprawa polska”. System zapewniający zbiorowe bezpieczeństwo oraz wolność średnim i małym narodom jest kardynalnym celem wszystkich ciemionych, a więc jest i kardynalnym celem naszej polityki. Funkcją tego zbiorowego celu jest dziś Sprawa Polska — a nie odwrotnie.

Pomniejszycielami Sprawy Polskiej są ci, którzy fałszywie pojmują legalizm i sądzą, że zasadniczą podstawą polityki niepodległościowej są nasze legalne pretensje do sojuszników — tak jakby państwo było wekslem czy długiem, który może być zwrócony.

Nie ulega wątpliwości, że nas skrzywdzono ale teoria o „sprzedanej Polsce” nie może być żadną podstawą niepodległościowej polityki. Jeżeli chodzi o Amerykę, teoria powyższa jest nonsensem, gdyż Stany Zjednoczone nie były naszym sojusznikiem w legalnym sensie tego słowa i żadnych konkretnych zobowiązań wobec Polski nie zaciągały.

Sprawy Polskiej nie można przedstawiać narodom jako legalnej pretensji z sojuszniczego rozrachunku czy nawet indywidualno-narodowej krzywdy. Jest bowiem w dzisiejszym świecie zbyt wiele niezaspokojonych pretensji i zbyt wiele krzywd. W Sprawę Polską możemy tchnąć wielkość tylko za cenę utożsamienia jej z kardynalnym problemem naszego stulecia — z problemem wolności dla setek milionów ciemionych w sowieckiej połowie świata.

Juliusz MIEROSZEWSKI

List z Niemiec

(Od berlińskiego korespondenta „KULTURY”)

Maurice Chevalier niedawno był w Berlinie. Na jego występach sala była przepelniona. Niejeden przypomniał sobie dawne piosenki. Pamiętacie: „Dites-moi, ma mère” — piosenkę, w której Maurice, w roli brzdąca ciekawego świata, prosi swoją mamę o wyjaśnienie wielu dręczących go problemów. Zaczynało się to zawsze od „dla czego?”. Np. dla czego generał jedzie na koniu, a żołnierze za nim „posuwają” pieszo?

To pytanie nie jest już zbyt aktualne w armiach nowoczesnych. W Niemczech zachodnich mógłby jednak Maurice Chevalier z łatwością unowocześnić swoją piosenkę, zastępując stare — nowymi, nader aktualnymi pytaniami. A więc *dla czego* w najbardziej, zdawało by się, zamerykanizowanym kraju Europy zaczęła się ni stąd ni zowąd seria antyamerykańskich

wystąpień? *Dla czego* te wystąpienia odbywały się właśnie w chwili, gdy obywatele Stanów Zjednoczonych obierali nowego prezydenta? *Dla czego* dziennik amerykański, w tym samym numerze, w którym doniósł o zwycięstwie gen. Eisenhowera w wyborach, musiał poinformować swych czytelników, że na zebraniu b. SS-manów w Verden wolano „Schweinehund Eisenhower”? *Dla czego* to wszystko dzieje się wtedy, gdy Republika Związkowa, poprzez armię europejską, ma się włączyć do systemu atlantyckiego? *Dla czego* fala niezadowolenia przypływa właśnie w okresie, gdy Republika Związkowa jest u szczytu gospodarczej pomyślności, a prasa z triumfem obwieszcza osiągnięcie stanu pełnego zatrudnienia? — Takich pytań można by postawić bez liku, nie dbając już o odpowiedź na pytanie z dawnej piosenki Maurice’a: „Gdy słoń podnosi trąbę do góry, czy to oznacza, że jest zadowolony czy też, że jest zły?”.

Sprawa Ramcke’go była jedną z serii, choć, trzeba przyznać, najbardziej efektowną. Poprzedziły ją inne wydarzenia. Oto „odkryto” w Hesji i w innych krajach Związku, popierane podobno przez Amerykanów organizacje „partyzantów”, którzy mieli się sposobić do podziemnej akcji antysowieckiej na wypadek... odwrotu wojsk amerykańskich z Europy; tymczasem zaś zestawiali sobie listy czołowych działaczy socjal-demokratycznych, przeznaczonych do „likwidacji”. Oto utworzono w Bonn nowy Związek Prasy, do którego nie dopuszczono dziennikarzy, współpracujących z władzami amerykańskimi. Oto rozpoczęto, z kilku stron jednocześnie, huraganowy ogień na monarchijskie „Radio Wolnej Europy” — imprezę, jak wiadomo, amerykańską. I tak dalej...

Pamiętam pierwszą moją wizytę we Frankfurcie nad Menem, przed rokiem. Przyjeżdżając z Anglii, kraju „surowego życia”, byłem wprost oszłamiony. U „Kranzlera” ruch, ciasta jak te koła młyńskie, kobiety wypielegnowane i piękne, futra niczym w St. Petersburgu za białego cara, od brylantów aż oczy się mrużą. Do hotelu w Bad Homburg jedzie się nowiuteńkim, wygodnym autobusem, śliczna i uprzejma konduktorka z uśmiechem bierze pieniądze za bilet, wsadza człowieka do i wysadza z autobusu. I potem, w podróży, gdzie okiem sięgnąć — tam neony, tam szynki i kiełbasy piętrzą się smakowicie obok kiszek, golonek, salcesonów i mortadeli. Gdzie pójdziesz, by coś załatwić u alianckich władz, tam ci już wszystko ułatwią niemieckie sekretarki, ładne, uprzedzające grzeczne, inteligentne i sprawne. Fraternizacja — wszędzie (*dla czego* ostatnio trzeba było wprowadzić dla wojska zakaz opuszczania koszar po godz. 24-ej, celem uniknięcia starć z ludnością cywilną?). Kiwał człowiek głową, kiwał i myślał sobie: „Tu przynajmniej ludziom dobrze się dzieje, nie tak jak w tej za-

deszczowej Anglii, a zwłaszcza nie tak jak po drugiej stronie, we wschodnich Niemczech, w Polsce, w Czechosłowacji. Tu przynajmniej ludziom się powodzi, niech im będzie na zdrowie, pewnie też są zadowoleni i szczęśliwi. „A tu tymczasem — trzask! Dlaczego?”

Jedni mówią: wuj Stalin zwąchał się znów z hitlerowcami (bo to prawda?). Inni mówią: „to tak zawsze u nas, jak sobie człowiek podpieje i podje, to i nabiera animuszu”. Inni wreszcie: „Aha, już w przyszłym roku — wybory”.



Wybory, jak to każdemu wiadomo, wszędzie i zawsze polegają na tym, że jeden przez drugiego basuje opinii publicznej i tym pięknie śpiewa, im lepiej zna jej słabości. Proszę np. zastanowić się nad pytaniem: dlaczego partia socjal-demokratyczna w Niemczech zachodnich uderza tak mocno w nacjonalistyczną strunę? Kto pamięta „Mein Kampf”, ten sobie przypomni, jakie to gromy rzucał tam Hitler na socjal-demokratów za to, iż rzekomo nie byli dość „narodowi”. Argument ten zapewne odegrał sporą rolę w późniejszych ich niepowodzeniach. Dzisiejsza SPD pragnie uniknąć tego błędu, bo wie, że samym programem społecznym nie utrzyma przy sobie dostatecznie wielkich mas. A liberalno-mieszczańska „Wolna Partia Demokratyczna” FDP? Chcąc powiększyć swe szeregi, musiała z konieczności sięgnąć do rezerwuaru ludzkiego i „zaktywizować” wielu b. członków partii hitlerowskiej. I tak dalej, z lewa w prawo, poprzez „Deutsche Partei” p. Seeboehma, a potem coraz bardziej w prawo, gdzie już SRP i Remer i SS-mani i Rameke i zjazdy, na których się pokrzykuje, jak nie przymierzając na każdym szanującym się wiecu komunistycznym: „Schweinehund Eisenhower!” Ach opinio, opinio publiczna, cożes ty za pani!

Zapewne też studiom nad ewolucją opinii publicznej należy przypisać zmiany, jakie zauważył jeden z północno-niemieckich tygodników w nowym wydaniu parlamentarnego Almanacha („Handbuch des deutschen Bundestages”), w porównaniu z wydaniem z 1949 r. Wielu posłów zażądało przedagowania życiorysów. Zniknęły w ten sposób, tu i ówdzie, lub skróciły się, wzmianki o antyhitlerowskiej działalności niektórych parlamentarzystów czy też o prześladowaniach, doznanych od hitlerizmu, natomiast namnożyły się i przedłużyły wzmianki o karierze wojskowej posłów w czasie ostatniej wojny. Przypuszczalnie sądzono, że tak będzie lepiej, przed nadchodzącymi wyborami.



Odbył się już szereg kongresów partyjnych. W Dortmundzie obradowali socjaliści. Miejsce zmarłego niedawno przywódcy, wybuchowego i dynamicznego dr Schumachera, za-

jął, jako przewodniczący SPD i przywódca opozycji, bardziej kompromisowy w taktyce, choć podobno nie mniej twardy, jeżeli chodzi o zasady, Erich Ollenhauer. W polityce zagranicznej partii ma nadal obowiązywać „linia Schumachera” to jest: *przeciw* tzw. małej Europie, *przeciw* układowi generalnemu i udziałowi Niemiec w armii europejskiej w jej projektowanym kształcie, *przeciw* planowi Schumana; zjednoczenie Niemiec jako hasło naczelne; *przeciw* komunizmowi, zasadniczo za współpracą z Zachodem, ale na zasadzie równouprawnienia.

Z koalicji rządowej — obradowała w Berlinie CDU, chrześcijańsko-demokratyczna partia kanclerza Adenauera, a w Goslarze prawicowa Deutsche Partei. Na berlińskim kongresie silnie poparto zagraniczną politykę kanclerza i podkreślono związki z rodakami ze strefy sowieckiej. Drugim wiceprzewodniczącym partii obrany został przewodniczący Bundestagu dr Ehlers, co komentowano jako wzmocnienie protestanckiego skrzydła partii, w której władzach przeważały dotychczas wpływy katolickie. Wynikiem kongresu w Goslarze było podkreślenie tendencji federalistycznych, które przeważały w stosunku do istniejących, zwłaszcza w Hesji, tendencji nacjonalistyczno-centralistycznych. Podkreślono również w manifestie partyjnym idee „konserwatywnej odnowy”.

Zmiana nastąpiła na stanowisku przewodniczącego Związku Związków Zawodowych DGB po ostatnim, berlińskim kongresie. Na miejsce p. Fette przyszedł poseł SPD p. Freitag. Podobno panu Fette zaszkodziło umiarkowane poparcie, jakiego udzielił on kanclerzowi w sprawie Europejskiego Układu Obronnego, jak również brak powodzenia w walce o ustawę o ustroju przedsiębiorstw (chodziło o współudział robotników w kierownictwie fabryk). Inaczej, aniżeli na kongresie SPD, miejsce człowieka o kompromisowym usposobieniu, jakim był p. Fette, zajął „człowiek twardej ręki”, za jakiego uważa się p. Freitag. Niektórzy twierdzą, że, pod nowym kierownictwem, będzie się DGB trzymał z daleka od wielkiej polityki, skupiając swą uwagę na sprawach gospodarczych i społecznych. W każdym razie nowy przewodniczący jest osobistością silniej politycznie zaangażowaną, aniżeli jego poprzednik i dziś już niejeden stawia sobie pytanie, czy nie będzie kłopotów, z utrzymaniem jedności DGB, w którego skład wchodzi również związki chrześcijańskie.



Pytanie, które może być niezmiernie ważne już w najbliższej przyszłości: czy obecna struktura życia politycznego w Republice Związkowej jest czymś stałym, czy też są to lotne piaski, które rozwiną się przy lata podmuchu? Jak na to odpowiedzieć?

Przed wszystkim nie wolno nam, ani na chwilę, zapominać o tym, że *jeszcze* trwa okupacja. Zasłona idzie do góry

stopniowo. Na scenie jest jeszcze ciemnawo, tu i ówdzie, od czasu do czasu, jakiś błysk rozjaśni któryś z kątów i pozwala na domysły — co będzie czy co być może. Chwilami jakiś ton zabrzmi, niby leitmotiv w wagnerowskiej uwerturze, powróci i ścichnie. Związkowy Sąd Konstytucyjny nakazał rozwiązanie neohitlerowskiej SRP Remera, unieważnił 16 mandatów jej posłów w Dolnej Saksonii. Ale któż może „unieważnić” poglądy ludzi, którzy na nich głosowali? BHE — „Związek Wysiedlonych i Pozbawionych Praw” dr Kraft (który przed wojną mieszkał w Polsce) wystąpi w wyborach jako czynnik nowy i niepozawiony wpływów. Dokąd zmierza? Czy tylko, jak zapowiadają niektórzy, w kierunku umiarkowanych żądań społecznych? Czy też będzie miał BHE inne jeszcze ambicje?

Nawet, gdy oba wielkie układy będą już ratyfikowane i wejdą w życie, Republika Związkowa nie będzie jeszcze państwem, posiadającym wszystkie atrybuty suwerenności. Wiele ważnych spraw zastrzegły sobie mocarstwa zachodnie — na dziś, czy na jutro: sprawę zjednoczenia Niemiec przede wszystkim, a ponadto wprowadzenie stanu wyjątkowego w razie potrzeby. Nie mówiąc już o tym, że armie zachodnie pozostaną w Niemczech, choć już z innego tytułu. To też wszystko odbywa się, i jeszcze przez pewien czas odbywać się będzie, jakby w półcieniu politycznym. Republika Związkowa uwikłana jest w sprzecznościach, a z nią razem zainteresowane mocarstwa. Ma ona *de facto* określone terytorium i kompetencje terytorialne, ale ze wszystkich stron słyszy się, że Niemcy zachodnie poczuwają się do obowiązku reprezentowania całych Niemiec, a więc i sowieckiej strefy. Tak więc Republika Związkowa nie jest, i być nie może, czynnikiem stabilizacji (niezależnie od tego czy stabilizacja obecnego układu spraw w Europie jest istotnie pożądana). Polityka Republiki Związkowej, o tyle o ile opiera się ona na deklaracjach i postulatach, wychodzących poza zakres rzeczywistego władania rządu związkowego, staje się w znacznym stopniu „emigrancką” polityką ze wszystkimi jej charakterystycznymi cechami. Wszystko inne jest albo ułamkiem albo i pozorem, uwarunkowanym obecnością mocarstw okupacyjnych.

Trzymając pod swą władzą 18 milionów Niemców, Moskwa rozporządza niesłychanie skutecznym narzędziem, przy którego pomocy może torpedować każdą próbę stabilizacji stosunków zachodnio-europejskich. Dopóki ten stan rzeczy trwa, dopóki istnieje podział Niemiec, dopóty głównym dążeniem narodu niemieckiego będzie i być musi zjednoczenie. Ani pomyślność gospodarcza, ani innego rodzaju korzyści, osiągane przez Niemcy zachodnie, nie usuną tego elementarnego dążenia do jedności. I to jest odpowiedź na jedno z pytań, postawionych na początku naszego listu. Stąd, z Niemiec, widać najwyraźniej, na jakim nonsensie są oparte wszelkie teorie o „powstrzymaniu”

waniu” Moskwy na obecnych liniach, jeżeli nie mają być tylko koniecznym wstępem do innego programu. Można twierdzić, że ze zjednoczeniem Niemiec związane są niebezpieczeństwa — i to jest prawda. Ale stąd nie wynika wcale, że obecna sytuacja jest dla kogoś (poza Rosją) mniej niebezpieczna. Stabilizacja stosunków politycznych w Europie zachodniej w dzisiejszym układzie jest przede wszystkim dla tego niemożliwością, że Niemiecka Republika Związkowa, poczuwając się do obowiązku (zupełnie zrozumiałego) przemawiania w imieniu całego narodu niemieckiego, nie jest i nie może być czynnikiem stabilizacji.

W tym układzie stosunków klucz jest w rękach Moskwy, a nie Zachodu. Skoro trwanie obecnego stanu rzeczy oznacza nie tylko niewolę środkowej i wschodniej Europy, ale i utrzymywanie poczucia tymczasowości oraz związanego z nią stałego niepokoju w Europie zachodniej — czyli spełnienie celów zamierzonych przez Moskwę — to jest oczywiste, że „containment” leży w interesie Związku Sowieckiego, a przynajmniej jest dlań rozwiązaniem „second best”. Daje mu bowiem dwie korzyści, bez ryzyka wojny: możliwość utrwalenia swego stanu posiadania na już opanowanych terenach oraz jednoczesnego wpływu na rozwój stosunków na Zachodzie, czy to poprzez groźbę niemiecką czy to innymi sposobami. Pozycja Zachodu jest słabsza, przynajmniej słabsza taktycznie, gdyż nie ma on sposobu tak bezpośredniego jak Sowiety wpływu na rozwój stosunków, nawet na własnym terenie, ani też sposobu pełnego wyeliminowania wpływów sowieckich. Chyba, gdyby państwa zachodnie zaprowadziły u siebie system totalitarny, co oznaczałoby rezygnację z celów, dla których się żyje, o które się walczy.

Obawy, z francuskiej czy z innej strony, mogą być psychologicznie zrozumiałe, ale same przez się nie stanowią żadnego programu urzędzenia Europy jako całości. Jest rzeczą — wydaje mi się — ważną, abyśmy, jako Polacy, jasno zdawali sobie z tego sprawę, pod groźbą wpadnięcia w sprzeczność z własnymi naszymi dążeniami. W naszym interesie jest otrzymanie terytorialnych i innych gwarancji, że napaść ze strony niemieckiej nie powtórzy się w przyszłości. Ale, już z geograficznych względów — bez zjednoczenia narodu niemieckiego (obwarowanego tymi gwarancjami) nie może być mowy ani o uwolnieniu Polski od jarzma rosyjskiego, ani o stabilizacji stosunków w Europie.

Niepewność co do zamierzeń ze strony wielkich mocarstw w sprawie zjednoczenia sprawia, że w Niemczech zachodnich wzrasta nieufność do Zachodu, co wcale nie oznacza, że się wierzy w szczerą intencję sowieckich. Oto jak hamburski „Spiegel” widzi sytuację: podział Niemiec „Anglikom umożliwia odciążenie rynków eksportowych, Amerykanom gwaran-

tuje odegranie roli arbitra europejskiej równowagi, Sowieciom służy za kit do ich wschodnio-europejskiej stajni". Coraz częściej słyszy się głosy, wyrażające żal, że Zachód odmówił rokowań o zjednoczenie Niemiec na podstawie szczerych czy nie-szczerych propozycji sowieckich i wyraża się żal do rządu z powodu jego negatywnego w tej sprawie stanowiska. Aby choć częściowo dać folgę tym nastrojom, przewodniczący Bundestagu dr Ehlers przyjął delegację tzw. Niemieckiej Republiki Demokratycznej, na 15-minutowym posłuchaniu, we wrześniu br. (Po drodze obrzucono „demokratyczną” delegację pomidorami.) Było to podczas nieobecności p. Adenauera. Siedziałem właśnie w kawiarni Bundestagu z jednym z zagranicznych dziennikarzy, który od dawna już przebywa w Bonn, gdy kanclerz powrócił i nagle rozpoczęła się bieganina. „Zawsze, kiedy go nie ma, coś się zaczyna dziać” — zauważył mój towarzysz — „i zawsze, kiedy wraca, postawi na swoim”. I jedno i drugie warte jest rozważenia.

W Bonn i w sąsiedztwie rozbudowuje się gmachy rządowe, wyrastają coraz to nowe budynki ambasad. Ktoś się stabilizuje. Ale chyba nie Europa...

Jerzy PRADZYŃSKI

Kronika niemiecka

APROBATA

Tak się złożyło, że opinia polska dopiero niedawno zapoznała się z tekstem zobowiązania Niemieckiej Republiki Związkowej, dotyczącego wypłaty odszkodowań dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Zobowiązania te zawarte były w tzw. układzie umownym (contractual agreement) z dawnymi mocarstwami okupacyjnymi, który wprowadza Republikę Związkową do społeczności państw niepodległych.

Układ zawiera szereg zobowiązań, których dopełnienie jest warunkiem zniesienia stanu okupacji, jest więc niejako stwierdzeniem, że okupacja osiągnęła swój cel w różnych dziedzinach, a między innymi, jeśli idzie o naprawienie krzywd wyrządzonych przez reżim narodowo-socjalistyczny.

Punkty umowy, dotyczące odszkodowań stwierdzają, że Republika Związkowa zobowiązuje się wypłacić je prześladowanym za przekonania polityczne, religijne lub rasę, a poza tym

wynagrodzić prześladowanym ze względów narodowych szkody poniesione na zdrowiu, o ile szkody te były wynikiem pobytu w obozie koncentracyjnym.

Pomijamy już fakt, że powyższe sformułowanie zawiera implicite domniemanie, iż części kacetowców prześladowanych ze względów narodowych pobyt w obozie koncentracyjnym wyszedł na zdrowie. Chodzi nam o co innego. Przełożone z języka ustalonego w niemieckich urzędach odszkodowawczych na język polski, powyższe zobowiązanie oznacza, że Republika Związkowa zobowiązuje się wypłacić odszkodowanie za pobyt w kacie więźniom żydowskim i niemieckim, a Polakom, Czechom, Ukraińcom itd. odszkodowań za pobyt w kacie wypłacać nie będzie. Podpisy przedstawicieli mocarstw okupacyjnych na układzie oznaczają, że uznali oni takie zobowiązanie za zadawalające.

Jedyny wyjątek ma być zrobiony dla tych więźniów polskich, którzy potrafią dzisiaj, po blisko 8-miu latach od zwolnienia, udowodnić lekarzom niemieckim, iż ich obecne niedomagania zostały spowodowane pobylem w obozie koncentracyjnym. Procedura tego postępowania jest przy tym dość powolna, co widać stąd, że np. u żadnego z królików doświadczalnych nie zdołano jeszcze urzędowo stwierdzić jakichkolwiek ujemnych następstw przeprowadzanych na nich eksperymentów. Ogromna ilość byłych więźniów obozów koncentracyjnych, którzy po uwolnieniu pochowani zostali na ziemi niemieckiej zmarła na choroby, których przyczyn urzędowo nie ustalono, upraszczając w ten sposób urzędowanie odnośnych urzędów Republiki Związkowej.

Zamierzona procedura ustalania związku pomiędzy pobylem w kacie, a utratą zdrowia nie jest nam jeszcze znana. Ponieważ jednak wiemy, że całe zagadnienie oddano w ręce wybitnego specjalisty dra Kuestera, możemy sobie wyobrazić jak to będzie wyglądać. Dr Kuester, jako urzędnik wirttemberskiego ministerstwa sprawiedliwości, stwierdził pismem urzędowym, iż przysługuje mu prawo administracyjnego anulowania prawomocnych orzeczeń sądów, dotyczących stanu faktycznego, wydanych po przeprowadzeniu postępowania dowodowego. W tych warunkach przypuszczenie, iż uzna on władze administracyjne za kompetentne również do uchylania wyników badań i analiz lekarskich wydaje się zgola prawdopodobne.

Uznanie contractual agreement w sprawie odszkodowań za wielki sukces polski jest wyrazem wielkiej beztroski niektórych czynników emigracyjnych. To samo powiedzieć można i o innej sprawie.

Pojęcie „prześladowania ze względów narodowych” dorożone było ex post przez niemieckie czynniki administracyjne. Niemiecy autorzy ustawy odszkodowawczej Laenderratu (obowiązującej w trzech krajach dawnej okupacji amerykańskiej) w ogóle nie przewidywali możliwości rozróżnienia prześladowań ze względów narodowych od prześladowań ze względów poli-

tycznych, religijnych lub rasowych. Jeden z nich wyraźnie to stwierdził i nie bez powodu.

Cóż bowiem oznacza prześladowanie ze względów narodowych? Albo stoimy na stanowisku, że przynależność narodowa jest kwestią przekonania, a wówczas przekonanie to jest przekonaniem politycznym, albo stoimy na stanowisku, że o przynależności narodowej decyduje pochodzenie, a więc rasa. Na tym stanowisku stało całe ustawodawstwo hitlerowskie, wprowadzając wyraźne rozróżnienie między rasą nordycką, a Polakami i innymi Słowianami. Trzecia ewentualność — że chodzi o narodowość w sensie prawnym (nationality), czyli o przynależność państwową — nie wchodzi w rachubę, gdyż niemiecki język ma na jej określenie słowo „Staatsangehörigkeit”.

Sprawami odszkodowań dla b. więźniów obozów koncentracyjnych zajmowało się wielu adwokatów, ale żaden nie próbował pójść do najwyższej instancji dla obalenia fałszywej interpretacji ustawy, wprowadzonej przez władze administracyjne i aprobowanej przez sądy dwu niższych instancji. Tłumaczy się to tym, że żaden poszczególny klient nie rozporządzał środkami na przeprowadzenie tak kosztownej sprawy. Trzeba było jednak uzyskać orzeczenia Sądu Najwyższego, choćby tylko dla historii, choćby dla przekonania się, czy są sędziowie w Republice Związkowej, choćby dla zmuszenia niemieckiego sądu do sformułowania motywacji nonsensu. Ale znowuż, jak w tylu innych sprawach, zabrakło organizacji polskiej, która by się tą sprawą poważnie zajęła.

W chwili gdy Alfred Krupp uzyskuje około 75 milionów dolarów odszkodowania, braknie w Republice Związkowej (i gdzie indziej) miliona czy dwu na wypłatę odszkodowań dla szczupłej garstki „narodowo prześladowanych” jaka pozostała przy życiu i nie powróciła do krajów ojczystych.

Trudno wymagać od niezależnej opinii publicznej polskiej, by tego faktu nie zarejestrowała. Podkreślić też wypada, że władze niemieckiej Republiki Związkowej wyraźnie zademonstrowały (radca Kuester to kropka nad i), iż nie zamierzają skorzystać ze sposobności zrobienia jakiegoś gestu, potępiającego więzienie w obozach koncentracyjnych Czechów, Polaków, Ukraińców itd. Trudno zaprzeczyć, że fakt ten ma i swoje znaczenie moralne i swoją wymowę polityczną. Niektóre poczynania narodowo-socjalistyczne doczekały się aprobaty rządu Republiki Związkowej.

P. DUNIN

IM „LEPIEJ”, TYM GORZEL

Zachodnio-niemiecka prasa ogłosiła artykuł p. Jessup'a, ambasadora Stanów Zjednoczonych do szczególnych zleceń. W artykule swym aluznie przestrzega prof. Jessup przed zbyt daleko idącymi uproszczeniami, stosowanymi przy analizowaniu sytuacji międzynarodowej. Takim upro-

szczeniem jest formuła, w myśl której całe zagadnienie sprowadza się do konfliktu Związku Sowieckiego ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki. „A to jest błędne” — pisze p. Jessup — gdyż „w rzeczywistości istnieje dziś konflikt między Związkiem Sowieckim i jego satelitami z jednej, a całym wolnym światem z drugiej strony”.

W rzeczywistości... p. Jessup wpadł we własne sidła. Jego wypowiedź jest dobrą ilustracją francuskiego przysłowia: „Le mieux est l'ennemi du bien”. Pokazuje jednocześnie co się czasem dzieje, gdy profesorowie piszą krótkie i zbyt popularne artykuły. Starając się uniknąć zbanalizowanego uproszczenia, padł p. Jessup ofiarą innego zbanalizowanego uproszczenia. Jego formuła jest wprawdzie od poprzedniej o kilka słów bogatsza, ale za to o kilka ważnych, choć w poprzedniej formule niedopowiedzianych myśli uboższa. Co więcej, jest niebezpieczna.

Atakowana przez p. Jessupa formuła była niewątpliwie zbyt uproszczona. Miała jednak tę dobrą stronę, że nie przesądzała o elementach, które nie były w niej zawarte. Ograniczała się do wskazania głównych ośrodków krystalizacji konfliktu. Nie zawierała wyczerpującej, ale też nie zawierała wadliwej klasyfikacji. Była skromna, bezpretensjonalna, ale jako taka poprawna. Natomiast formuła p. Jessupa jest obszerniejsza, ale wadliwa. Obie weszły od dawna do potocznej mowy i obie są jednakowo wyświechtane.

Przedewszystkim, samo określenie „państwa satelickie”, używane właśnie jako potoczne uproszczenie, może łatwo wprowadzić w błąd. Pod tym określeniem rozumiemy zazwyczaj państwa, które zachowując dużą część samodzielności w granicach własnego terytorium — w polityce zagranicznej nie są dość silne, by móc się obyć bez pomocy i poparcia potężnego państwa i dla tego ku niemu „ciągną”. Po stronie wschodniej, określenie to da się zastosować — wbrew przyjętym tu i ówdzie poglądom — chyba tylko do dzisiejszych Chin.

Inaczej wyglądają sprawy, jeżeli chodzi o tzw. satelitów europejskich. Nie są to wcale satelity w ścisłym tego słowa znaczeniu. Są to po prostu kraje podbite przez Związek Sowiecki. Ich rządy obecne, ich administracja i formy ustrojowe, w mniejszym czy większym stopniu różniące się od sowieckich, są tylko pozorem, zachowywanym jeszcze z dwóch następujących względów: 1) w celu dostosowania tempa sowietywizacji do miejscowych warunków; 2) dla zamydlenia oczu tym ludziom na Zachodzie, którzy są skłonni brać pozor za rzeczywistość. W tej ostatniej grupie stwarza Moskwa przekonanie, że jej potęga moralna jest znacznie większa aniżeli jest ona w rzeczywistości. Do tych to ludzi Moskwa mówi: „Patrzcie, Związek Sowiecki nie jest sam, gdyż dokoła niego grupuje się wiele innych państw. Nie obawiamy się izolacji”. Formuła p. Jessupa jest właśnie owocem tej propagandy. To nie, że rządy komunistyczne są w owych „satelickich” krajach utrzymywane tylko na ostrzach rosyjskich bagnatów, lub pod strachem, że armie sowieckie mogą wkroczyć w każdej chwili, by zapewnić siłą utrzymanie tych krajów „w linii”. To nie, że rządy miejscowe stanowią jedynie organizację pomocniczą, której zadaniem jest wykonywanie decyzji, powziętych przez władze sowieckiej partii komunistycznej. Pozory formalnie mają na niektóre umotywowane wpływy wręcz magiczny i Moskwa wie o tym doskonale.

Oczywiście, nie można przypuszczać, aby p. Jessup miał co do tego wątpliwości. Ma on wszelkie dane po temu, aby być świetnie poinformowanym o sytuacji. Niemniej jednak formuła, którą proponuje, jest wadliwa, a konsekwencje jej przyjęcia, choćby jako hipotezy roboczej, mogą być bardzo niepożądane.

O pierwszej już mówiliśmy. Polega ona na przecenianiu wewnętrznej siły i swartości obszarów, opanowanych przez Związek Sowiecki i przez to na

wzbudzeniu nieuzasadnionych kompleksów niższości na Zachodzie. Drugą konsekwencją owej formuły może być wzbudzenie właśnie wśród tych narodów podbitych nieufności, wynikającej z obawy, że działania Stanów Zjednoczonych czy nawet całego Zachodu kierują się przeciwko nim, a nie tylko przeciwko przemocy, która je trzyma w niewoli. W ten sposób formuła p. Jessupa rozszerza bez żadnej potrzeby obóz wrogów Zachodu, wciągając doń najbardziej zaciętych przeciwników Moakwy. Jest to katastrofalna formuła.

Pod koniec swego artykułu zajmuje się p. Jessup stosunkami w wolnym świecie i stwierdza, że zasada samostanowienia na terenie między-narodowym — podobnie jak indywidualizm w ramach narodowych — jest wprawdzie zasadą pożyteczną, jednak nie powinna być uważana za bezwzględna zasadę. Słusznie. Cóż jednak proponuje autor na to miejsce? Oto w obradach Narodów Zjednoczonych, gdy na porządku dziennym znajduje się sprawa nadużywania siły, najlepszą miarą ma być, zdaniem p. Jessupa, odpowiedź na pytanie: jakie rozwiązanie jest najlepsze dla narodu, o którym mowa? Niejasność tego sformułowania wzbudza wątpliwości, gdy się pamięta o tym, iż w polityce światowej, jak dotychczas, rzeczywiste rozstrzygnięcia zapadają nie w dyskusji i głosowaniach, ale na podstawie realnego układu sił. A w tym układzie druga formuła p. Jessupa zbyt przypomina słynne „strefy interesów”. Czyż trzeba się rozwodzić nad konsekwencjami takiego stanowiska?

HITLER JAKO ODZWIERNY MOSKWY

Dr Walther Hofer, historyk szwajcarski, docent Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, pracuje obecnie nad historią wybuchu drugiej wojny światowej. Ostatnio ogłosił on dwa artykuły na powyższy temat w amerykańskim dzienniku, wychodzącym w języku niemieckim we Frankfurcie i w Berlinie — „Die Neue Zeitung”. Konkluzje dr Hofera przytaczamy w całości:

„Nikt nie będzie usiłował twierdzić, że polityka Anglosasów w stosunku do Zw. Sowieckiego, w czasie wojny i po wojnie, była bardzo szczęśliwa. Ale, uwzględniając krytykę, która właśnie w Niemczech idzie zbyt daleko, nie należy nigdy zapominać o tym, że druga wojna światowa wybuchła z powodu zagrożenia niepodległości Polski, której Zachód demokratyczny nie chciał poświęcać ani na rzecz Niemiec, ani na rzecz Zw. Sowieckiego. Jednak mocarstwa zachodnie nie były dość silne, aby powstrzymać sprzymierzony Zw. Sowiecki od ponownego zajęcia odnośnych terytoriów, po odrzuceniu armii niemieckich. Przy wszelkich rokowaniach między Anglosasami i Zw. Sowieckim okazywało się wyraźnie, że rząd sowiecki gotów był mówić o powojennym ukształtowaniu Europy jedynie na podstawie granic z 1941 r. Mówiąc jaśniej: rząd sowiecki nie miał zamiaru zrezygnować z łupu, jaki mu przyniósł pakt z Hitlerem.

„Ale tym samym wracamy do punktu neuralgicznego, który stał się znamiennym czasem powojennych. Pakt Hitler — Stalin, w sposób nieodpowiedzialny, otworzył bolszewizmowi wrota Europy. Dyktator niemiecki, który w swych mowach wsiadał na wielkiego konia i w niezliczonych samokadzeniach polecał się zachodniemu światu jako wróg bolszewizmu Nr 1, okazał się, przez swe współdziałanie ze Stalinem, tym kim zawsze był w rzeczywistości: opanowanym ślepą żądzą władzy, pobawionym etyki i bezideowym ryzykantem i graczem va-banque, człowiekiem dla którego ani losy narodów europejskich ani kultura zachodnia, na którą się tak patetycznie powoływał, nie miały nigdy żadnego znaczenia. On, który w 1935 r. wystąpił z polemiką przeciwko sojuszowi

francusko-rosyjskiemu, gdyż ten wprowadzał do polityki europejskiej „nieobliczalny, azjatycki czynnik siły”, nie wahał się teraz wydać „nieobliczalnej potędy azjatyckiej” całych krajów i narodów, pozwolić armii czerwonej na wysunięcie się o setki kilometrów na Zachód i przerwać tzw. „Cordon sanitaire”, który powstał dokoła Zw. Sowieckiego. To wszystko zaofiarował Hitler śmiertelnemu wrogowi kultury zachodniej, którego sam w takim świetle bezustannie ukazywał — tylko po to, aby móc wystąpić do wojny przeciw Polsce. I całą tę antyeuropejską i nieodpowiedzialną, awanturniczą politykę nazywano jeszcze potem „genialną sztuką państwową”. Jak jako tako rozsądny człowiek mógł nazwać zawarcie paktu z 23 sierpnia 1939 czynem genialnym — to pozostanie na zawsze zagadką. Tak, jak gdyby genialnym czynem było danie partnerowi wielokrotnie więcej, aniżeli ten mógł sobie wymarzyć w swych najśmielszych snach! „Wydanie wschodniej i środkowej Europy w pakcie Hitlera ze Stalinem — to fakt o znaczeniu znacznie przekraczającym losy bezpośrednio dotkniętych nim narodów; ciąży ono nad naszymi czasami jako problem najtrudniejszy. To Hitler otworzył rosyjskiemu bolszewizmowi wrota Europy i od tej chwili nikt nie mógł powstrzymać bolszewizmu od wkroczenia”.

POŁONICA NA UNIWEKSYTECIE W GETYNDZE

Katedrę slawistyki na Uniwersytecie w Getyndze zajmuje prof. Braun. Lektorat polski prowadził dotychczas dr Omelian Pricak, Ukraińiec pochodzący z Tarnopola. Prowadzi on również lektorat ukraiński.

Wśród przygotowywanych obecnie prac doktorskich jest kilka na tematy polskie. Polak p. Jerzy Budkiewicz pisze pracę pt. „Polacy w dziełach Dostojewskiego”. Polskimi tematami zajmuje się również kilku doktorantów Niemców. I tak p. Richard Breyer pracuje nad historią stosunków polsko-niemieckich w okresie między dwoma wojnami, a p. Brigitta Meyer (córka nieżyjącego prof. Meyera, który kiedyś wykładał slawistykę w Królewcu) przygotowuje pracę o związkach J. B. Zaleskiego z romantyzmem niemieckim. Dr Pörschmann uzyskał przed półtora rokiem tytuł doktorski na podstawie pracy pt. „Obraz Rosji u Mickiewicza”.

ARMIA WSCHODNIICH NIEMIEC

Organizacja wschodnio - niemieckiej „armii ludowej” w ostatnich czasach szybko idzie naprzód. Wprawdzie już od 1950 r. tzw. policja ludowa przekształcała się stopniowo w kadrę wojskową, jednak spodziewano się, że do czasu ratyfikacji układu o armii europejskiej przez Niemcy zachodnie nie będzie, po stronie wschodniej, manifestacji typu wojskowego. Oficjalne utworzenie armii wschodnio - niemieckiej było, jak sądzono, „groźbą”, która miała powstrzymać Republikę Związkową przed ratyfikacją. Widocznie jednak uznano, że nie ma na co liczyć i postanowiono już przed ratyfikacją stworzyć fakty dokonane.

Na uroczystościach we wschodnim Berlinie, z okazji 3-ej rocznicy utworzenia „Niemieckiej Republiki Demokratycznej” — przed trybuną, na której stali: przewodniczący Najwyższego Sowietu Szwerinik, prezydent Niemiec komunistycznych Pieck i szef sztabu Niemieckiej Armii Ludowej Gen. Vincenz Mueller, maszerowały oddziały „Armii Ludowej” w nowych, oliwkowych mundurach o rosyjskim kroju i z odznakami wzoru sowieckiego. Taki sam, nowy mundur nosił tego dnia gen. Mueller.

Na uroczystościach tych Warszawę reprezentowali: Cyrankiewicz, przewodniczący CRZZ Kłosiewicz i przewodnik pracy z „Ursusa” Katuszewski. Jest przy tym charakterystyczne, że prasa warszawska podawała informacje z uroczystości berlińskich na 2-ej stronie i najwyraźniej starała się stłumić wszystko co się týczyło manifestacji wojskowych.

Natomiast wicepremier „Niemieckiej Republiki Demokratycznej” Rau, w swym przemówieniu na akademii we wschodnim Berlinie, oświadczył dumnie; że „Organizacja obrony zbrojnej naszej republiki jest nie tylko narodowym prawem naszego narodu, lecz również jego narodowym obowiązkiem”.

Wschodnio - niemiecka „Armia Ludowa” jest podporządkowana jeszcze ministrowi spraw wewnętrznych, którym jest Wilhelm Stoph. Naczelnym dowódcą jest członek Politbiura komunistycznej partii SED Franz Dähle, który niedawno ukończył wielomiesięczny kurs w jednej z sowieckich akademii wojskowych. Szefowie poszczególnych broni i służb zostali ostatnio mianowani wiceministrami spraw wewnętrznych. Są to: gen. Vincenz Mueller (szef sztabu), Heinz Kessler (policja lotnicza), gen. insp. Heinz Hoffmann (armia), gen. insp. Waldemar Verner (policja morska), główny „politruk” wojskowy — Rudolf Doelling, szef biura gospodarczego „policji ludowej” — Bernard Weinberger. Dotychczasowy szef „Vopo” Karl Maron ma już odtąd dowodzić tylko nieskoszarowanymi jednostkami policji ludowej. Półoficjalnie ogłoszono, że za datę utworzenia „armii ludowej” należy uważać 6 października.

Nowo utworzona pierwsza grupa armijna „Gruppe Nord” pod dowództwem gen. maj. Hermanna Rentsch'a liczy 47.000 ludzi, uzbrojonych w broń sowiecką. Obszar: Uckermark - Prenzlau (Mecklenburg - Brandenburg), siedziba dowództwa w Pasewalk.

W 14 okręgach DDR utworzono w październiku komisje poborowe i wojskowe urzędy meldunkowe. Na konferencji, która odbyła się w ministerstwie spraw wewnętrznych z udziałem generalicji i oficerów sowieckich, postanowiono wprowadzić stopnie służbowe, odpowiadające sowieckim, w celu „ujednoczenia dowodzenia”. Oficerów sowieckich „armii ludowej” było do niedawna 350, ale ilość ich ma być powiększona. Byli oni z początku doradcami, potem instruktorami, obecnie obejmują już nawet dowództwa dywizji, które osiągnęły pełny stan. W ubiegłym roku oceniano ogólny stan „armii ludowej” na ok. 60 — 70 tysięcy ludzi, obecnie liczba ta została prawdopodobnie już znacznie przekroczona. Były również wiadomości o transakcji, dokonanej z Czechosłowacją, która ma dostarczać ciężkie uzbrojenie ze Skody, wzamian za cukier wschodnio - niemiecki.

Jednocześnie odbywa się we wschodnich Niemczech szkolenie pracowników nowo-utworzonego Czerwonego Krzyża (dawny był po wojnie rozwiązany) Kursy, organizowane we współpracy ze związkami zawodowymi (FDBG) prowadzone są według programu sowieckich szkół dla felerów wojskowych. Jako młodzieżowa organizacja pomocnicza występuje podczas manewrów tzw. „Dienst fuer Deutschland”. Natomiast „Młodzi Pionierzy” szkoleni są do walki partyzanckiej.

BERLINCZYK

Kronika ukraińska

Od wielu miesięcy ukraiński obóz niepodległościowy znajduje się pod ostrzałem rozmaitych akcji czynników amerykańskich usiłujących sprawę ukraińską zamknąć w ramach „zagadnienia rosyjskiego”. Od czasu niefortunnego sformułowania przez b. ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie, Georga Kennana o Ukrainie jako rosyjskiej Pensylwanii, rosyjskie kółka we wschodnio-europejskiej polityce amerykańskiej usiłują narzucić niezależnej polityce ukraińskiej koncepcję jakiejś mgławicowej i bliżej nieokreślonej federacji z Rosją. Formalnie akcji tej patronuje tzw. „Amerykański Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji”, na czele którego do niedawna stał b. ambasador USA w Moskwie, admirał Kirk, a obecnie admirał Stevens. Komitet ten inspirował w ciągu ostatnich dwóch lat szereg konferencji na terenie Niemiec — Füssen, Stuttgart, Wiesbaden, Starnberg i ostatnio w dniach od 10 do 18 X. w Monachium — dążąc do utworzenia z przedstawicieli narodów „Rosji” (z wyjątkiem emigracji republik bałtyckich, którym umożliwiono wejście do tzw. Komitetu Wolnej Europy) reprezentacji ośrodków emigracji politycznej tych narodów. Ukraiński obóz niepodległościowy zajął od początku bardzo krytyczne stanowisko wobec tego rodzaju koncepcji. Wszystkie usiłowania „Amerykańskiego Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji” celem pozyskania jakiegokolwiek poważnej grupy z ukraińskiego obozu niepodległościowego na partnera do rozmów i federalistycznych koncepcji z ugrupowaniami rosyjskimi na emigracji spotkały się ze zdecydowanym oporem całego obozu ukraińskiego. Oporu tego nie zdołały przełamać ani nęcące perspektywy subsydiów, ani torpedowanie ustawicznie zgłaszanych akcesów do „Komitetu Wolnej Europy”, ani pomijanie ukraińskich delegatów przy rozmaitych kongresach i manifestacjach antykomunistycznych, urządzanych pod auspicjami amerykańskimi, ni też niedopuszczanie ukraińskiego obozu niepodległościowego do akcji uświadamiającej wśród żołnierzy sowieckich wojsk okupacyjnych na terenie Niemiec i Austrii, ni przekazywanie uchodźców ukraińskich z tej armii organizacjom rosyjskim jak np. Rosyjskiemu Komitetowi dla Uchodźców w Berlinie, Czterech czy pięciu ludzi, którzy z Hula-jem i Zolotarenką poszli na współpracę z Rosjanami, zostało w zupełności zdezawuowanych przez całe społeczeństwo ukraińskie na emigracji. W konsekwencji kółka amerykańskie, organizujące obecnie specjalną rozgłośnię „Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji” zignorowały ostatnio Hula-ję i Zolotarenkę, obawiając się widocznie kompromitacji w oczach emigracji ukraińskiej.

Stanowisko emigracji ukraińskiej zostało w ostatnich miesiącach wyjaśnione w szeregach specjalnych konferencji i rezolucji. M. in. 28 maja 1952 roku Komitet Wykonawczy Ukraińskiej Rady Narodowej wystosował do amerykańskiego Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji memoriał, w którym sprzecywał stanowisko ukraińskiego obozu niepodległościowego. W memoriale tym stwierdzono, że narody nierosyjskie z ZSSR prowadzą walkę antybolaszewicką pod hasłem odbudowy swych niezawisłych państw demokratycznych, utworzonych wolą tych narodów po rewolucji 1917 roku. Autorzy memoriału przypomnieli członkom komitetu amerykańskiego, że samolawicy w swej polityce muszą uwzględniać narodowe dążenia ludów nierosyjskich, co ich zmusiło nawet do formalnego wydelegowania Ukrainy i Białorusi do Organizacji Narodów Zjednoczonych. „Otoż teraz chodzi tylko o prawdziwe usamodzielnienie tych republik i o zrzucenie z nich

narzucanego drogą okupacji reżimu bolszewickiego. Program walki antybolszewickiej w dziedzinie narodowej — głosił wspomniany memoriał — nie może proklamować narodom ZSSR czegoś mniej aniżeli to uznaje reżim komunistyczny. Przeciwnie program ten powinien gwarantować urzeczywistnienie praw narodów, zagrabionych przez bolszewizm". W innym punkcie memoriał ukraiński stwierdził, że w walce przeciwko bolszewizmowi i rosyjskiemu imperializmowi przedstawiciele narodów nierosyjskich nie głoszą nienawiści w stosunku do narodu rosyjskiego, lecz występują jedynie przeciwko imperialistyczno-agresywnej polityce różnych rządów rosyjskich oraz pewnych szowinistycznych kół społeczeństwa rosyjskiego. Wychodząc z tego założenia, autorzy memoriału zadeklarowali możliwość koordynowania działalności w walce przeciwko bolszewizmowi z Rosjanami, którzy będą uznawać narodowo-państwowe dążenia nierosyjskich narodów ZSSR. Koordynacja ta nie może być interpretowana w ten sposób, iżby losy nierosyjskich narodów ZSSR w przyszłości miały być rozstrzygane jako „wewnętrzny problem Rosji". Ponadto Ukraińcy wysunęli w tym memoriale propozycję, aby utworzono wspólne koordynacyjne centrum wszystkich narodów, które przebywają obecnie za Żelazną Kurtyną. Istnienie takiego wspólnego centrum wraz z przedstawicielami tzw. satelitów i narodów bałtyckich uniemożliwiło by traktowanie kwestii nierosyjskich narodów w ZSSR jako „wewnętrznego problemu Rosji". Przystąpienie do wspólnej z Rosjanami organizacji samych tylko narodów z ZSSR bez satelitów Komitet Wykonawczy Ukraińskiej Rady Narodowej odrzucił, jako nie do przyjęcia. Memoriał wyjaśnił również różnicę między zasadą paritetu w interpretacji rosyjskiej i ukraińskiej. Rosjanie uważają bowiem, że paritet — to znaczy połowa miejsc w ewentualnym Komitecie dla Rosjan, a reszta dla narodów nierosyjskich. W interpretacji ukraińskiej zasada paritetu oznacza, według zasad przyjętych w polityce międzynarodowej, równą ilość głosów od przedstawicieli wszystkich narodów, zarówno wielkich jak i małych.

W następnych miesiącach Komitet Amerykański kontynuował przygotowania do uruchomienia radiostacji. W tym celu musiano najpierw pogodzić poważnione ugrupowania rosyjskie, następnie zaś szukano dróg do politycznych obozów emigracji nierosyjskich narodów ZSSR, nie wykazując jednak skłonności do zmiany politycznej koncepcji. W rezultacie sklecono z trudem w dniach od 10 do 18 października 1952 roku, na naradach w monachijskim hotelu „Regina", tzw. Koordynacyjne Centrum Walki Antybolszewickiej (KCAB), do którego weszły cztery rosyjskie ugrupowania emigracyjne oraz pięć grup nierosyjskich spośród emigracji narodów kaukaskich i turkmeńskich. W dniach od 21 do 24 października odbyło się w Monachium posiedzenie Prezydium i Komitetu Wykonawczego Ukraińskiej Rady Narodowej, na którym uchwalono, że „w sprawie akcji Komitetu Amerykańskiego pozycje Ukraińskiej Rady Narodowej nie uległy żadnej zmianie". Ukraińcy stoją nadal twardo na gruncie memoriału z 28 maja 1952 roku.

Białorusini, którzy pod koniec ubiegłego roku poszli na współpracę z Rosjanami, wyatąpili w międzyczasie z wszelkich komitetów i do nowego Koordynacyjnego Centrum Walki Antybolszewickiej nie należą. Postawa Ukraińców i Białorusinów otwiera nowe możliwości w dziedzinie stosunków polsko-ukraińskich, względnie polsko-białoruskich. Gdyby politycy polscy i ukraińscy zdobyli się w obecnej chwili na wielki wysiłek podjęcia inicjatywy celem zadokumentowania Ameryce i tym czynnikiem amerykańskim, które pcchają Ukrainę nieustannie w objęcia Rosji, że istnieje również inna możliwość rozwiązania kwestii ukraińskiej, gdyby politycy nasi zdobyli się na twórczą fantazję, gdyby działacze polscy w Komitecie Wolnej Europy oświadczyli mocno i dobitnie, że Ukraińcy należą do Eu-

ropy i że Polacy chcą ich widzieć w Komitecie Wolnej Europy, wówczas można by było raźniej i ufniej patrzeć w przyszłość.

Ze Stanów Zjednoczonych donoszą, że z dniem 23 października ukraiński oddział „Głosu Ameryki", przestał być częścią składową Sekcji Narodów ZSSR i został przyłączony do Sekcji Wschodnio-Europejskiej, do której należą Polska, Czechosłowacja i inne kraje satelickie. Jest to dobry omen. Miejmy nadzieję, że za tym pierwszym krokiem nastąpią dalsze.

BEO

Kronika angielska

WIZYTA GEN. SOSNKOWSKIEGO

Do wizyty gen. Sosnkowskiego w Londynie — zapowiadanej na połowę listopada — przywiązuje się w tutejszych kołach politycznych duże znaczenie. Czy istotnie wizyta ta spowoduje jakieś zmiany w obecnym układzie politycznym na emigracji — czas pokaże. Niewątpliwie jednak podjęte zostaną rozmowy zarówno w sprawie następcy Prezydenta jak i tzw. „zgody narodowej".

Nie brak obserwatorów, którzy sądzą, że tym razem może dojść do porozumienia, jeżeli stronnictwa skupione w Radzie Politycznej nie będą występowały solidarnie. Dotąd bowiem obie misje zjednoczeniowe spaliły na panewce, nie tyle dzięki stanowisku prez. Ciołkoza, ile dzięki temu, że pozostałe stronnictwa Rady Politycznej w pełni poparły bezkompromisowe stanowisko PPS. Dość uparcie rozpowszechniano wersję, że burzycielem wszelkich mediacyjnych poczyną jest prez. Ciołkoz, który za każdym razem wysuwał ultymatywne żądanie ustąpienia Prezydenta Zaleskiego. Nikt jednak, ani Stronnictwu Narodowemu, ani NiD'owi, nie kazał solidaryzować się z tym stanowiskiem. Jak dotychczas jednak stronnictwa opozycyjne ceniły wyżej solidarność frontu Rady Politycznej niż ewentualną możliwość poszerzenia podstaw obecnego rządu.

Innymi słowy, dotychczasowe misje mediacyjne nie przyniosły rezultatu dlatego, że żadnemu mediatorowi nie powiodło się rozbić Rady Politycznej.

Wydaje się rzeczą mało prawdopodobną, by można było wypracować formułę kompromisową, która byłaby do przyjęcia zarówno dla prez. Ciołkoza jak i dla Prez. Zaleskiego, Ligi Niepodległości oraz obecnej koalicji rządowej. Różnice są zbyt istotne i zbyt głębokie. Cały problem sprowadza się więc do odpowiedzi na następujące pytanie: do jakiego momentu pozostałe stronnictwa Rady Politycznej będą uważały, że opłaca się im solidaryzować z PPS w celu zachowania ciągłości Rady Politycznej w jej obecnej formie?

Można bowiem wyobrazić sobie sytuację, że Stronnictwo Narodowe czy NiD, względnie wszystkie stronnictwa wchodzące w skład Rady Politycznej z wyjątkiem PPS — dojdą do wniosku, że proponowana nowa formuła kompromisu stwarza korzystną podstawę do utworzenia rządu koalicyjnego. W takim wypadku cytowane stronnictwa mogą uznać, że ich dalsze solidaryzowanie się z PPS nie odpowiada ani politycznie, ani taktycznie ich interesom. Ostatecznie Rada Polityczna nie jest celem sama w sobie, tylko powstała w następstwie sytuacji, której nie można uważać ani za korzystną ani za normalną. Istnienie Rady Politycznej uzna-

jącej legalizm rządu obok legalnego rządu jest anomalią i dlatego, gdyby Rada Polityczna została rozbita w konsekwencji utworzenia rządu koalicyjnego o szerokich podstawach — w takim wypadku byłoby to krokiem naprzód w kierunku normalizacji naszego życia politycznego i nie byłoby powodów do opłakiwania likwidacji tej instytucji.

W pewnych kołach sądzią, że gdyby rozwój wydarzeń poszedł po tej linii — PPS chcąc uniknąć izolacji przystąpiłby do Komitetu Demokratycznego p. Mikołajczyka. W mojej opinii byłby to ze strony PPS katastrofalny błąd.

Gdyby doszło do utworzenia rządu koalicyjnego, poza którego ramami pozostałaby tylko PPS — to rząd taki, choć miałby znacznie demokratyczniejszy i bardziej reprezentatywny charakter niż obecny — byłby jednak rządem o obliczu wybitnie prawniczym. Trzonem takiego rządu byłyby bowiem Liga Niepodległości i Stronnictwo Narodowe a więc dwa zdecydowanie prawniczo ugrupowania polityczne. Nie sądzę by Związek Socjalistów prof. Pragiera mógł ów charakter w czymkolwiek zmienić.

Gdyby w takiej sytuacji PPS wstąpiła w szranki komitetu p. Mikołajczyka — ten ostatni urosłby nagle do przywódcy postępowego obozu na emigracji. PPS w tej kombinacji nie ma nic do zyskania natomiast wszystko do stracenia. Zawsze lepsza jest samotność, a nawet izolacja, niż niewłaściwy sojusz.

Lecz trzeba powiedzieć, że i obecna koalicja rządowa nie składa się z samych entuzjastów „zgody narodowej”. Publicyści obozu rządowego wysuwają cały szereg zastrzeżeń, a w pierwszym rzędzie zagadnienie amerykańskiej pomocy finansowej. To jest problem, który poza wszystkimi innymi, dawniejszymi różnicami — kopie największą przepaść pomiędzy rządem a opozycją. Istnieją bowiem dwie różne doktryny w tej — zdawało by się prostej sprawie: jak brać dolary? Czy wolno brać dolary w formie indywidualnych subsydiów, czy też jedynie w formie pożyczki państwowej, czy pomocy udzielonej rządowi? Jak łatwo się domyślić, ci co są poza rządem są zwolennikami doktryny dolarowej Nr 1, a ci co są w rządzie są wielbicielami doktryny dolarowej Nr 2.

Poza wyżej cytowanymi różnymi teoriami dolarowymi spotyka się w prasie pro-rządowej zarzuty, że partie polityczne nie są już dziś tak „ważne” jak cztery lata temu, że utraciły wszelki kontakt z Krajem i właściwie nikogo w Polsce nie reprezentują. Czytając tego typu wypowiedzi trudno oprzeć się wrażeniu, że w tzw. obozie rządowym b. znaczny procent polityków w gruncie rzeczy chwali sobie obecny porządek i jeżeli życzy sobie pewnych przesunąć i zmian, to tylko w ramach istniejącej koalicji rządowej.

Oczywiście, że dziś nikt nie wie czy dana partia reprezentuje kogośkolwiek w Kraju, a jeżeli tak, to w jakim stopniu. Ale ta uwaga dotyczy zarówno partii opozycyjnych jak i pro-rządowych. Kogo reprezentuje dziś w Kraju Liga Niepodległości?

Ow cały zespół zagadnień to są wszystkie sprawy taktyki, ambicji i gier personalnych. Tzw. „jedność narodowa” w naszej sytuacji nie jest zagadnieniem programu czy kierunku politycznego. To wszystko są zagadnienia „techniki” politycznej. Programem nikt się nie interesuje i o program nikt się nie spiera — nie może być bowiem przedmiotem sporu rzecz, która nie istnieje.

OSWIADCZENIE GEN. EISENHOWERA ZŁOŻONE GEN. K. SOSNKOWSKIEMU

Prezydent-elekt gen. D. Eisenhower na kilkanaście godzin przed swoim zwycięstwem wyborczym przyjął w Nowym Jorku gen. Sosnkowskiego i odbył z nim dłuższą rozmowę. W czasie tej konferencji gen. Eisen-

hower oświadczył m. in.: „Pragnę dopomóc do uwolnienia Polski i innych krajów za „żelazną kurtyną” opanowanych przez Sowiety i to możliwie jak najszybciej. Mimo, że byłem za to z różnych stron atakowany, będę kontynuował politykę uwolnienia Polski i innych narodów.” (Tekst za londyńskim „Dziennikiem Polskim”).

W dn. 11 października br. w Denver gen. Eisenhower złożył następującą deklarację w sprawie Jalty: „Program partii republikańskiej przyrzekł wypowiedzenie układów jaltańskich, które przez pogwałcenie zasad Karty Atlantycznej, oraz przez jednostronne naruszenie tej Karty przez rząd sowiecki, doprowadziły do wtrącenia Polski w niewolę. W ten sposób damy nadzieję narodowi polskiemu i wszystkim amerykańskim przyjaciołom Polski, pochodzenia polskiego i nie-polskiego, że zawsze pamiętamy o wolności Polski”.

Tak oto sprawa ujarzmionych narodów a wśród nich i sprawa ujarzmionej Polski powróciły na należne im naczelné miejsce w programie politycznym największego demokratycznego państwa świata.

CZAS — PRZECIWKO NAM

Prasa polska w Wielkiej Brytanii porusza stale zagadnienie wynaradawiania się naszej młodzieży i dzieci. Jeżeli chodzi o te ostatnie, winę przypisuje się rodzicom.

To jest zagadnienie „sezonowe” i jeżeli nasz pobyt zagranicą miałby trwać jeszcze kilkanaście lat, kampanię o polskie dusze przegramy. Z chwilą gdy na emigracji wymrze „rządzące” pokolenie — to jest statystycznie biorąc za 15 do 20 lat — ze sceny zniknie emigracyjna prasa polska. Może utrzyma się jeden lub drugi tygodnik i na tym koniec. Jeżeli więc mamy przedsiębrać jakieś kroki, należy działać szybko, gdyż na tym odcinku naszej polityki czas z całą pewnością pracuje przeciwko nam.

Ludzie wynaradawiają się tak, jak umierają. Efekt końcowy jest ten sam ale przyczyny indywidualne są różne. W tej notatce chciałbym zwrócić uwagę na jedną z przyczyn, którą przebywając w Anglii od wielu lat miałem możność „klinicznie” przebadać.

Naturalizacja jest procesem dwu-fazowym. W 80 % z prośbą o naturalizację do władz brytyjskich występują ci, którzy okolicznościami, warunkami pracy, członkostwem w związkach zawodowych itp. są do tego kroku zmuszeni. Ci, którzy biorą paszport brytyjski bez nacisku konkretnych okoliczności stanowią znikomą mniejszość.

Im dany potent z cięższym sercem sięgnął po obcy paszport, to jeżeli już raz zdobył się na ten krok, tym gwałtowniej pragnie usprawiedliwić ową decyzję przed samym sobą i przed innymi. Niezmiernie częstym objawem w tej drugiej fazie jest nagły przypływ krytycyzmu w stosunku do naszej przeszłości, do naszej polityki, rządu itp. Nie rzadko tacy nowo-kreowani brytyjscy obywatele winią rząd, gen. Andersa i wszystkich polskich świętych za to, że ich doprowadzili do takiej sytuacji. Z takim bezsensownym ale jakże charakterystycznym objawem rozżalenia spotkałem się wielokrotnie.

Reszty dopełniają tacy panowie jak Zygmunt Nowakowski i Cat-Mackiewicz. Ten ostatni jest jednym z najbardziej zasłużonych propagandzistów brytyjskich, gdyż czytając jego anglojęzyczne wypowiedzi, każdy — czy chce czy nie chce — musi się stać anglofilem. Jestem również jego ofiarą i przypuszczam, że nigdy nie uświadomiłbym sobie do jakiego

stopnia cenę i szanuję Anglików, gdybym nie był namiętnym, wieloletnim czytelnikiem Cata.

Problem jest prosty i ludzki. W chwili obecnej istnieje bariera, która dzieli Polaków na tych, którzy zatrzymali polskie obywatelstwo i na tych, którzy je utracili biorąc obywatelstwo brytyjskie. Tę barierę należy znieść przez wprowadzenie dekretu, który by postanawiał, że Polak przyjmujący obywatelstwo brytyjskie nie traci obywatelstwa polskiego. W gruncie rzeczy chodzi w tym wypadku o rozciągnięcie na ogół Polaków już istniejącej instytucji podwójnego obywatelstwa. Albowiem wszystkie polskie dzieci urodzone w Zjednoczonym Królestwie są z punktu widzenia przepisów miejscowych, obywatelami brytyjskimi a w świetle ustawodawstwa polskiego — o ile ich rodzice zatrzymali polskie obywatelstwo — są obywatelami polskimi.

Ci, którzy sądzą, że w konsekwencji wydania takiego dekretu wzrosła ilość podań o naturalizację — są w błędzie. Natomiast dekret taki oszczędziłby uczciwym Polakom wiele rozgoryczenia i rozterki zatrzymując ich na pełnych prawach w ramach polskiej społeczności na emigracji. W moim głębokim przekonaniu byłby to pozytywny krok w kierunku rzeczywistej walki z wynaradawianiem. Bo gdyby ogłoszono taki dekret, przeważający procent tych, którzy się naturalizują, bez przeszkód i bez zmian uważaliby się nadal za pełno-prawnych Polaków nie chowając na dnie duszy lęku, że im wytkną odszczepieństwo. Natomiast w takiej sytuacji jaką mamy obecnie — zbyt wielu neoficką gorliwością stara się wyrównać kompleks nie zawsze w pełni uświadomionej winy.

LOS ZBIEGÓW

Pod powyższym tytułem londyński „Dziennik Polski” zamieścił list p. L. Porajskiego, który przybył do Anglii dopiero w r. 1950 i w skutek tego trafia w swym życiu emigracyjnym na nieprzewidywalne przeszkody. Bo nie był ani w PSZ, ani PKPR, ani w 1-szym, ani w 2-gim Korpusie.

Z punktu widzenia prawa i biurokracji klub emigracyjny jest klubem zamkniętym. Nie można już zdobyć statutu przysługującego byłym żołnierzom PKPR, bo nie ma już tej świetnej formacji. Nie można już dostać „Gwiazdy Afryki” czy „Krzyża Monte Cassino”. Pod względem prawnym i pamiątkowo-odznaczeniowym jesteśmy kastą zamkniętą i skazaną na wymarcie. Ale przepisy naszego „Klubu” redagowali Anglicy.

Lecz w związku z cytowanym listem przyszła mi na myśl inna refleksja. Nasz rząd przy każdej dostojnej okazji powołuje się na Kraj, na wolę Kraju, na naród, który trwa itp. Byłoby interesujące wiedzieć czy rząd nasz zaoferował choćby jednemu Polakowi, który przybył z Kraju — jakąś pracę czy stanowisko. O ile mi wiadomo — nie. Sądzę, że przynajmniej dla przyzwoitości — jeżeli już nie dla odświeżenia naszego kontaktu z Krajem — rząd powinien by przysłać przynajmniej dwóch czy trzech Polaków, którzy niedawno przybyli z Polski. Ktoś może powie, że nie wszyscy przybyśże są „na poziomie”. Pomijając fakt, że i w naszych instytucjach z poziomami bywa różnie — to nikt nie wymaga, by marynarza który zszedł z pokładu mianować ministrem. Ale wśród przybyśzów z Kraju z całą pewnością są ludzie, którzy mogliby mieć platne stanowisko w Skarbie Narodowym (bo są w Skarbie Nar. i takie stanowiska) lub w jakiegokolwiek innej instytucji rządowej czy pro-rządowo społecznej. Ci przybyśże symbolizowałiby wiernie i lepiej łączność naszego rządu z Krajem niż owe frazesy, które z patefonową dokładnością powtarzają przy każdej okazji rządowi dygnitarze.

LONDYŃCZYK

Sprawy krajowa

«Przechowalnia wartości moralnych»

„Uchodźcy posiadają cenne wartości intelektualne. Podczas gdy komunizm wydaje walkę narodowej kulturze ich krajów, dział współpracy intelektualnej przechowuje ich wartości moralne w wolnym świecie”. (Z ulotki Narodowego Komitetu Wolnej Europy).

Celem politycznym, jaki stawia sobie nasza emigracja jest rozwijanie kultury polskiej w atmosferze wolności. Wszyscy zgodzą się mniej więcej z tym szablonowym określeniem, tym niemniej jednak wymaga ono rozwinięcia i sprecyzowania, gdyż w miarę upływu lat i w miarę narastania nowych pokoleń coraz częściej, coraz natrętniej zjawia się pytanie: dlaczego?

Im ludzie starsi, im więcej związani z ghettem polskim, im bardziej zeszytniali i niedostępni dla wpływów nowej rzeczywistości, im bardziej ślepi na to co się dzieje, tym bardziej niezrozumiałe wydaje im się to pytanie. Nie ludźmi się jednak. Dla młodych, to znaczy dla tych, którzy jeszcze myślą samodzielnie i którzy kształtować będą przyszłość staje się ono coraz ważniejsze.

Dzieje świata znają wiele cywilizacji wspaniałych i potężnych, ale dziś już martwych. Toteż nie żadne pomniki dawnej kultury i nie żadne wspomnienia dawnych osiągnięć politycznych („uwiedlonych laurów liść”), a tylko rozwijanie tych wartości przez żyjącą społeczność może zapewnić ciągłość kultury narodowej, a w ostatecznym rezultacie ciągłość istnienia narodu. Przeszłość liczy się w życiu narodu tak długo, jak długo jej wpływ wyciska swe piętno na żywych ludziach, jak długo na

wyniesione z niej wartości, na przeszle osiągnięcia patrzymy się z perspektywy dnia dzisiejszego, jak długo przeszłość ta przez nas przenoszona jest w przyszłość.

Siłą, która utrzymuje przy życiu cywilizację narodową jest przekonanie, że zawiera ona elementy ważne i cenne dla ludzi żyjących, dla obecnych i przeszłych pokoleń. Doświadczenia historyczne wykazują, że to przekonanie może podtrzymać życie cywilizacji narodowej nawet wtedy, kiedy narzuca się narodowi obcy język, ba nawet wtedy kiedy naród żyje w rozproszeniu.

Zetknięcia się z innymi społecznościami bywają zabójcze dla narodów słabych, a niesłychanie pobudzające dla narodów silnych. W ostatecznym rezultacie jeżeli wierzymy, że historia ludzkości ma jakiś sens, a ludzkość sama ma jakieś przeznaczenie musimy wierzyć, że takie próby ogniowe cywilizacji narodowych też są naszemu światu potrzebne. Chodzi widać o to, by doświadczenia i osiągnięcia poszczególnych narodów nie były dla ludzkości zmarnowane, jeżeli posiadają jakąś wartość istotną. Obowiązek przenoszenia swej kultury w przyszłość, który, jak to staraliśmy się uzasadnić, jest obowiązkiem jej rozwijania, a nie oddawania do przechowalni, da się więc pogodzić z każdym dążeniem uniwersalnym.

Dziś, gdy każda polityka godna tego imienia, musi być w pewnym sensie polityką światową, dążenia polityczne poszczególnych narodów muszą być możliwe do pogodzenia z polityką mocarstw, które pragną na siebie wziąć odpowiedzialność za kierowanie losami świata.

Każda bowiem polityka zmierzająca do narzucenia światu jednej określonej cywilizacji musi być polityką, prowadzącą do zubożenia dorobku światowego i z natury rzeczy wywołać musi powszechny opór.

Przed nami, tak jak przed innymi narodami środkowej Europy, stoją dziś zadania szczególnie trudne. Znane okoliczności, nad którymi nie będziemy się tu zastanawiać, przyczyniły się do tego, że zarówno nasza przeszła jak i nasza dzisiejsza rola w budowie jednego świata, są szczególnie mało znane i szczególnie nisko oceniane. Mamy jednak i wobec świata i wobec naszych narodów dlatego właśnie szczególnie obowiązek przetrwania ich na użytek świata i przyszłych pokoleń Polaków.

Nawet odrzucając wszystkie mity o postanictwie Polski, trzeba po prostu skonstatować fakt, iż mało który naród ma takie jak my doświadczenie w stawianiu oporu systemom, uznanym powszechnie za obce cywilizacji, której tzw. wolny świat ma zamiar bronić. Sama tylko pomoc przy ustaleniu istoty różnicy między tymi systemami, a podstawami naszej cywilizacji wydawałaby się więc potrzebna, gdyż ułatwić powinna uświadomienie sobie pozytywnych wartości, których obrona ma stanowić sens konfliktów naszego stulecia.

Trzeba zacząć od tych podstawowych prawd, by zrozumieć istotę stosunków między narodami za żelazną kurtyną a emigracjami i tzw. wolnym światem.

Istotą stosunku między narodem wielkorosyjskim a narodami ujarzmionymi jest pewna jednokierunkowość tzn. oddziaływanie narodu rosyjskiego na narody ujarzmione przy możliwym ograniczeniu kierunku odwrotnego, mianowicie oddziaływania narodów ujarzmionych na naród rosyjski. Ta polityka jest istotą totalizmu. Trzeba jednak przyznać, że nawet totalizm rosyjski bardzo dba o zachowanie pewnych pozorów i schlebienie ambicjom narodowym. Nie myśli o prymitywnym odrzuceniu ich dorobku, wiedząc że liczy się nie sama przeszłość, ale sposób patrzenia na tę przeszłość. Kultura narodów ujarzmionych nie ma być przekreślana i zapomniana, ale adaptowana i asymilowana pod nadzorem, by mogła się stać elementem kultury sowieckiej, wtłoczonym przemocą do obcych mu ram. Cel ten osiąga się najpierw przez historyczną interpretację a potem przez metodę eliminowania pewnych składników.

Byłoby rzeczą bardzo ciekawą bliżej to zagadnienie zanalizować. Wydaje się, że linia polityczna jest tu następująca: demonstrować jak najwięcej uznania dla przeszłej kultury narodowej przy pełnym podporządkowaniu sobie twórczości dzisiejszej. Takie fakty jak wzorowe wydania arcydzieł literatury polskiej — sprzedawane za becen także i na emigracji, a nawet przekłady tych arcydzieł na język rosyjski mają wytworzyć wrażenie szacunku dla kultury narodowej i odwrócić uwagę od podcinania korzeni jej swobodnego rozwoju dzisiaj. Chodzi o to, by proces asymilowania przeszłości był w rękach nowych wychowawców.

W każdym razie widzimy ze wszystkiego co nas z Kraju dochodzi, że prowadzona przez Rosję polityka bardzo jest daleka od prymitywizmu i naiwności, że uderza dziś w same źródła i w same podstawy twórczości kulturalnej, dążąc do zastąpienia cywilizacji polskiej cywilizacją sowiecką.

Zadaniem emigracji jest w tych warunkach uzupełnienie niejako twórczości polskiej. Obrazowi przeszłości, załamaniu w soczewkach wiedzy stalinowskiej, powinniśmy przeciwstawić obraz przeszłości załamany w soczewkach ukształtowanych w zetknięciu emigracji ze światem. Tu dochodzimy do najważniejszego aspektu zagadnienia: nasza działalność musi odpowiadać szeregowi warunków.

Po pierwsze nie może ona być, jak zaznaczyłem, tylko wspominkarstwem, choćby najwyższej klasy. Musi być twórczością, to znaczy musi całą treść polskości przeszłej przekształcać w polskość jutra.

(Niech mi wolno będzie zauważyć, że gombrowiczowskie „przezwyjęzanie polskości” jest właśnie formą takiego przekształcenia. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę, by zrozumieć, że proces tego przekształcenia może być tylko naszym własnym dziełem).

Po drugie musi być przedłużeniem i uzupełnieniem życia Polaków w kraju, a nie czymś wyodrębnionym i oddzielnym od tego życia. Ze zdumieniem odnajdujemy nieraz wśród starej emigracji obraz Polski, wyniesiony z kraju przed kilkudziesięciu laty i wiemy, jak trudno go zastąpić obrazem Polski, jaką znaliśmy. Łatwo zdarzyć się nam może to samo. Skoro mamy wносить polski udział do cywilizacji świata, to musimy go wносить wspólnie z narodem w kraju, jako jego reprezentanci i dlatego musimy coś o tym narodzie wiedzieć.

Po trzecie musimy powiedzieć narodowi w kraju, jak pierwiastki polskie włączają się na zachodzie do jego twórczości, by dać krajowi wyobrażenie o tym, jak nasza różność będzie się mogła włączać do jednoczącego się świata i jaką będzie mogła w nim odegrać rolę.

Nie można zacząć od ostatniego zadania, gdyż jego dopełnienie może być tylko wynikiem spełnienia dwu pierwszych. Tajemnica ogromnego wpływu, jaki wielka emigracja wywierała na Polakach w kraju polega na dopełnieniu tych trzech warunków.

Oczywiście nie możemy stworzyć geniuszów, którzy nie rodzą się na zamówienie. Istnieje jednak pewne uzasadnione prawdopodobieństwo, że masa uchodźców wyłoni z siebie pewną ilość jednostek utalentowanych, które w pewnym przynajmniej stopniu potrafią wypełnić zadanie, stojące przed emigracją, o ile będą miały po temu warunki. Przez „warunki po temu” rozumiemy się u nas przeważnie wcale nie to o co chodzi. Twórczość pisarska była zawsze także produktem życia społecznego, instytucji naukowych, kultury społeczeństwa. Mickiewicz bez uniwersytetu wileńskiego nie byłby Mickiewiczem, a Słowacki bez Liceum Krzemienieckiego nie byłby Słowackim, tak samo Chopin nie byłby Chopinem bez Konserwatorium Warszawskiego itp. Kapitał duchowy Wielkiej Emigracji powstał w ciągu kilkunastu lat od opuszczenia przez nią Kraju. Był w znacznej mierze produktem życia kulturalnego nie samej emigracji, ale Polski do roku 1831. Trzeba przy tym pamiętać, że kontakt emigracji z krajem był wówczas, mimo braku obecnych środków technicznych, pod pewnymi względami łatwiejszy niż dziś (nie zapominajmy, że „kraj” to był wówczas także zabór austriacki i pruski).

Kurtyna była znacznie mniej nieprzenikniona niż dziś, a poza tym kraj nie przechodził takich wstrząsów i takich przemian jak w naszych czasach. Z tych wszystkich powodów język emigracji był całkowicie zrozumiały dla kraju i tylko dzięki temu można mówić o oddziaływaniu emigracji na kraj i w pewnym sensie o jedności procesu rozwoju kultury narodowej. Dwutorowość była raczej podziałem funkcji, niż rozdzieleniem życia kulturalnego.

Jak widzimy stworzenie warunków wzajemnego rozumienia się wymaga pracy bardzo pogłębionej i nie jest zadaniem łatwym. Z upływem lat rozdwojenie języków będzie coraz wy-

rażniejsze, o ile niebezpieczeństwa tego nie uświadomimy sobie i o ile nie będziemy mu świadomie przeciwdziałać zaczynając od podstaw.

Sprawa komplikuje się jeżeli weźmiemy pod uwagę, że nasze zadania mamy wykonać we współpracy z innymi w oparciu o pomoc techniczną i nietechniczną. Zakładamy bowiem, że ma to być współpraca, a nie jednostronne narzucanie celu i metod, zakładamy, że na tym właśnie polega różnica między światem zachodnim, a tzw. blokiem komunistycznym.

Tego rodzaju formy oddziaływania na opinię jak prasa codzienna, audycje radiowe itp. są zawsze produktem końcowym życia kulturalnego, którego korzenie tkwią znacznie głębiej. Bez poważnej twórczości naukowej i kulturalnej nie można dawać ani dobrych dzienników ani dobrych audycji radiowych, tak samo jak fabryka tkanin bawełnianych nie może istnieć bez uprawy bawełny. Będzie szła jak długo starczy zapas, a potem najwyżej może jeszcze przerabiać szmaty.

Poza tym trzeba wziąć pod uwagę różnicę między propagandą i agitacją. Używam tu terminologii, wedle której propaganda jest głoszeniem wielu myśli wobec tych samych słuchaczy, a więc z konieczności musi być pogłębiona, a agitacja jest głoszeniem tej samej myśli wobec wielu słuchaczy.

Według tej terminologii np. agitacja jest czymś analogicznym do reklamy handlowej, chodzi tylko o przekonanie jak największej ilości ludzi, iż Orodont jest najlepszą pastą do zębów. Tego typu agitacja może sama z siebie wystarczyć jeśli idzie o sprawy mniejszej wagi, nad którymi ludzie się nie zastanawiają. W życiu politycznym jest ona tylko środkiem pomocniczym. Można by sobie doskonale wyobrazić skuteczną propagandę komunistyczną na Zachodzie bez hasła „Ami go home”, wypisywanego na murach i chodnikach, ale nie można jej sobie wyobrazić bez dialektyki materialistycznej. Tymczasem ludzie zasugerowani ilością napisów „Ami go home” na murach niektórych miast mogą przypuszczać, że upstrzenie stolic środkowo-europejskich napisami „Iwan paszol won” przyczyniło by się do obalenia dyktatury komunistycznej. My jednak wiemy, że skuteczność takiej propagandy byłaby wielce ograniczona, a celowość jej wątpliwa.

Tak samo wątpliwa jest celowość agitacji negatywnej, polegającej na zaopatrywaniu każdej informacji mniej lub więcej powierzchowną polajanką. Nie mając przed sobą obrazu stosunków w Kraju i nie rozumiejąc ich mechaniki łatwo jest strzelać nie trafiając, tzn. robić dużo hałasu bez osiągnięcia żadnego skutku.

Wiedza ma swoje prawa. Kto prowadzi badania bez dążenia do poznania faktów, ich zrozumienia i ujęcia w pewien system, czyli z lekceważeniem metod naukowego poznania, nie będzie mógł wiele zrozumieć.

Nie można np. wymagać od paru ludzi, choćby najlepiej byli dobrani, wyprodukowania na obałunek i w krótkim okre-

sie czasu księgi mądrości, zawierającej wszystko co trzeba o Kraju, zwłaszcza jeżeli tym ludziom nie określi się jasno celu.



Wydaje się, że niektóre publikacje Komitetu Wolnej Europy są, używając polszczyzny tegoż Komitetu, „szczególnym przykładem tego obrazu”. Nie sądzimy by człowiek znający stosunki w Kraju był szczególnie zbudowany konstrukcją i merytorycznymi sądami rocznika tego komitetu pt. „Wiadomości z Polski i o Polsce”. Autorzy najwidoczniej nie uprzytomnili sobie co właściwie chcą w tym roczniku dać: czy wyjaśnienie ram strukturalnych życia w „Polskiej Republice Ludowej” czy charakterystykę polityki komunistycznej, czy kronikę wydarzeń, czy rocznik informacyjny.

Wyraża się to choćby w samej konstrukcji rocznika. Tak np. rozdział „Zagadnienia polityczne i militarne” ma następujące podrozdziały: PZPR — partia rządząca, partie służebne, funkcjonowanie państwa, procesy polityczne, obozy pracy przymusowej i więzienia, więzienia komunistyczne, siły zbrojne, organizacja sportu. Rozdział o sporcie jest znacznie dłuższy niż rozdział o PZPR.

Następny rozdział zatytułowany jest „Zagadnienia wyznaniowe, oświatowo - naukowe i propagandowe”, przy czym nie można się w nim doszukać niczego o propagandzie poza przygodnymi uwagami w podrozdziałach: czytelnictwo, oświata pozaszkolna i radio.

Czytelnik szukający wyjaśnienia kierunku polityki propagandowej znajdzie najwyżej porozrzucane po całym roczniku drobne wzmianki, które nie dadzą mu żadnej orientacji w zagadnieniu dość chyba ważnym.

Miejscami rocznik wyraźnie dezorientuje nieświadomego czytelnika. Tak np. w podrozdziale „Odchylenia i czystki” znajdujemy wyliczone kolejno takie fakty: a) pociągnięcie do odpowiedzialności sądowej Spychalskiego i Gomułki, b) potępienie organizacji partyjnej w Gryficach, c) wyroki sądowe za zwyczajne nadużycia. O sprawie Gryfic dowiadujemy się, że KCPZPR „potępił organizację partyjną o złamanie linii partyjnej”. Mógłby ktoś przypuszczać, że chodzi o coś podobnego do dewiacji Gomułki, podczas gdy chodziło tu o znamienny zwrot, polegający na potępieniu zbyt gorliwych kolektywizatorów. Wydarzenia gryfickie są czymś w istocie swej różnym od odchylenia partyjnego, choć są nazywane złamaniem linii. Chodzi tu o zwrot w polityce państwa komunistycznego, połączony z wyszukaniem sobie ofiar, które rzekomo źle zrozumiały polecenia. Pozornie potępia się nadmiar gorliwości, w rzeczywistości państwo wycofuje się pod wpływem oporu ludności, a odpowiedzialność przerzuca na kozy ofiarne.

Dalszym przykładem takich nieporozumień jest cytowanie krytyki biurokratyzmu bez koniecznego tu wyjaśnienia.

Podając np. cytaty z artykułu Szyra, rocznik pisze „od siebie”:

Biurokratyczne zacięcie (bez cudzysłowu) poszczególnych partyjników jest jednym z poważnych źródeł niezadowolenia szerokiego rzesz społeczeństwa.

Po tym wprowadzeniu fragmentu artykułu Szyra:

„Biurokracja stanowi również groźną broń w ręku szkodliwych, wrogich Polsce ludowej elementów, które wykorzystując nierezadkie u nas wypadki braku odgórnej kontroli wykonania i oddolnej kontroli społecznej, świadomie powodują zamieszanie w biegu ważnych spraw, świadomie przeinaczają, posługując się jezuitkami kruczkami, treść i intencje zarządzeń i świadomie starają się skierować wywołane przez swoją działalność niezadowolenie przeciw Partii lub rządowi ludowemu”.

Nieświadomy czytelnik będzie myślał (i tak bodaj myśli komentator), że chodzi o jakiś sabotaż biurokratów, wrogów Polski ludowej. Tymczasem chodzi o coś zupełnie innego. Termin „biurokratyzm” stosuje się w wypadkach kiedy polityka rządowa wydała rezultaty prowokujące gwałtowną reakcję społeczeństwa, której winowajcy nie umieli opanować. Winą ich jest, że nie potrafili zapobiec objawom niezadowolenia. W takich wypadkach zachodzi konieczność wytłumaczenia ludności niedomagań w sposób niebudzący wątpliwości w dobrą wolę i nieomyślność rządu. Wytłumaczenie propagandowe ma wykazać, że intencje rządu zostały przeinaczone przez biurokratów, zaś powoływanie się tych biurokratów na otrzymane rozkazy to „jezuickie kruczki”.

Zastanówmy się jakie konsekwencje mogą za sobą pociągać takie błędy jak z Gryficami i z „biurokratyzmem”. Będzie się Polakom w Kraju opowiadać z powołaniem na Gryfice, że organizacje partyjne nie trzymają się linii, a z powołaniem się na Szyra, że aparat administracyjny nieraz świadomie kieruje niezadowolenie przeciw Partii. W obu wypadkach będzie to strzelanie kulą w plot.

W podrozdziale o „partiach służebnych” czytamy, że komuniści w Polsce „ostatecznie doprowadzili do systemu trzech stronnictw: jedno dla klasy robotniczej, drugie dla klasy chłopskiej i trzecie dla resztek drobnomieszczaństwa, przede wszystkim rzemieślników”.

Widocznie by nie sprawić trudności tłumaczowi, autorzy zapominają, że w Polsce nie ma wcale trzech stronnictw, a jest tylko Partia i dwa stronnictwa, z których jedno ma organizować bezpartyjnych chłopów, a drugie przede wszystkim bezpartyjnych pracowników umysłowych, a potem dopiero resztki drobnomieszczaństwa i rzemieślników. Nazwanie stronnictw „partiami służebnymi” jest nieporozumieniem terminologicznym, które rzucając pewne światło na istotę rzeczy w przymiotniku „służebne” bałamuci czytelnika rzeczownikiem „Partia”. Naz-

wanie PZPR „stronnictwem klasowym robotników” jest już dziś wyrażnym anachronizmem.

Poza rocznikami Komitet Wolnej Europy wydaje w języku angielskim miesięcznik, a w językach narodowych kwartalnie przeglądy wydarzeń za żelazną kurtyną. Na tych wydawnictwach znać również brak koncepcji redakcyjnej. Redaktorzy nie zdają sobie sprawy z tego czego chcą: ogłaszać materiały źródłowe, jak to robi np. Current Digest of the Soviet Press, czy też analizować wydarzenia. Krótkie cytaty i informacje są zaopatrywane w komentarze nierównej wartości, na poziomie raczej odpowiadającym potrzebom pism codziennych. Brak oparcia o systematyczne studium daje się przy tym ciągle we znaki, gdyż komentarze zawierają stosunkowo wiele dość monotonicznie powtarzających się sloganów, a także coraz więcej nieporozumień.

Ze spisu broszurek wydawanych przez Komitet trudno się zorientować w jakimś planie działania.

Wydać mi się, że dwa momenty ciążyą fatalnie na działalności wydawniczej Komitetu Wolnej Europy. Pierwszym z nich jest zbyt reklamowy styl. Nie chcę tu spłycać zagadnienia. Propaganda polityczna w Ameryce⁶ robi też wrażenie kampanii reklamowej, ale w rzeczywistości jest ona tylko najbardziej powierzchownym wyrazem znacznie głębszych nurtów życia. Amerykański styl życia, to tylko skrót pewnych koncepcji, które wcale nie zostały wypracowane przez maszyny tego czy innego stronnictwa i wcale nie są wyczerpane przez treść przemówień, wygłaszanych w czasie kampanii wyborczej. Powodem dla którego na nas wywierają one nie bardzo budujące wrażenie jest to, że cała ich podbudowa jest nam nie znana i nie jest przez nas rozumiana.

Druga strona problemu, to ocena Polski według starej emigracji. Znowu mamy tu do czynienia z tzw. drażliwym tematem, którego nikt nie wyjaśnia, by nie zrażać sobie Polonii. Nasza emigracja amerykańska wyszła z Polski w najbardziej niefortunnym okresie, wyrażającym się między innymi w nieprawdopodobnym upadku oświaty (nikt nie zdaje sobie sprawy, że w 1914 r. Polska miała gorsze i mniej liczne szkoły niż w r. 1830). W dodatku emigracja polska była pozbawiona niemal zupełnie własnej inteligencji. Jej przywiązanie do polskości mogło być uczuciowo silne, ale było intelektualnie powierzchowne.

Przez dziesiątki lat politycy amerykańscy uważali, że dla zadośćuczynienia polskim aspiracjom starej emigracji wystarczy powiedzieć coś na temat Pułaskiego, a rzadziej Kościuszki, jako że nazwisko tego ostatniego, jest tak strasznie trudne do wymówienia.

Nie byłoby w tym zupełnie nic dziwnego, gdyby ludzie, zajmujący się w Ameryce zagadnieniem polskim ulegali podwójnej sugestii. Po pierwsze samowystarczalności codziennej propagandy politycznej, po drugie niezbyt wielkich wymagań

umysłowych polskiego odbiorcy. Sugestii tej ulegają nawet Polacy wyszli z Kraju w r. 1939 lub w r. 1946, którzy nie umieją zaobserwować ogromnej różnicy między młodym i starym pokoleniem chłopów, czy między młodym a starym pokoleniem robotników, różnicy będącej największym dorobkiem Polski Niepodległej i ostatnich lat.

Biorąc pod uwagę tę sytuację dojść musimy do wniosku, że stworzenie możliwości głębszego oddziaływania na Kraj jest zadaniem, które w znacznej mierze może być dokonane tylko przez nas samych. Nie chcę przesądzić odpowiedzi na pytanie, czy wytworzony obecnie stan rzeczy jest wynikiem nieumiejętnej ingerencji czynników amerykańskich, czy też zakres tej ingerencji jest po prostu wynikiem braku naszej własnej inicjatywy, zmierzającej do ustalenia zasad polityki emigracyjnej i stworzenia jej ram.

Uważam jednak, że potrzebne zwrócić uwagę na coraz wyraźniej zarysowujące się niebezpieczeństwo odrywania emigracji od Kraju, a tym samym stworzenia warunków, w których emigracja ta skazana będzie na polityczną zagładę.

P. DUNIN.

Kronika krajowa

WARSZAWA

Komunikacja w Warszawie pogorszyła się w ostatnich czasach: stan parku tramwajowego jest katastrofalny. Najgorzej jest ok. godz. 16.00. Ludzie po prostu wiszą na tramwajach, a nieszczęśliwe wypadki są na porządku dziennym. Rozkład jazdy jest wadliwy — nieraz 1/2 godziny nie ma tramwaju, a potem przychodzi 5 — 6 wozów w odstępach kilkuminutowych. Naturalnie, znecierpliwieni czekaniem ludzie rzucają się na pierwszy tramwaj, nie wierząc, że za kilka minut przyjdzie następny. Rządzi prawo lokais.

Pociągi podmiejskie są również stale przepełnione.

W oknach wystawowych można zobaczyć wszystko. Jeśli się wejdzie do sklepu i zapyta o wystawiony towar, to sprzedawcy odpowiadają, bardzo uprzejmie, że można go otrzymać po zmianie dekoracji i chętnie zapisują nazwisko i adres. W ten sposób na jeden przedmiot zapisuje się po kilkaset osób. Rozmówca nasz nigdy nie słyszał, aby ktoś taką rzecz otrzymał, choć i on i jego znajomi nieraz zapisywali się w różnych sklepach. „Wszystko znika nie wiadomo jakimi kanałami”.

W maju 1952 r. na ulicy Brackiej otwarto Centralny Dom Towarowy z restauracją dla „ludzi pracy” na szóstym piętrze. Już pierwszego dnia okazało się, że zapomniano o dwóch rzeczach — o ustępach i windzie. Dla personelu były prowizoryczne urządzenia.

„Ludzie pracy” chcąc szybko zjeść obiad wchodzi na szóste piętro po schodach. „Szybkościowiec”!

We wrześniu 1952 r. przyszła jakaś komisja na podwórze pewnego prywatnego garażu. (2 budynki garażowe wraz ze stacją obsługi samochodów). Ustawiono jakąś wieżę — pochodzili, coś mierzyli i w końcu powiedzieli właścicielowi, że w ciągu 2 dni musi 1 budynek rozebrać, gdyż tamtędy będzie przechodziło metro. Polecenie zostawił na piśmie; za niewykonanie groziła wysoka kara. Właściciel więc rozebrał budynek garażowy w terminie. Trzy dni potem otrzymał pismo z zawiadomieniem, że plany „nie wyszły” i garażu rozebrać nie potrzeba. Stawianie na nowo garażu było zbyt kosztowne, a właściciel żadnego odszkodowania nie otrzymał „tak więc zmniejszono go o połowę”.

Kina. — Po rozpoczęciu seansu kino się zamyka, aby widzowie nie mogli wychodzić, jeżeli film im się nie podoba.

W tygodniku wydarzeń nie pokazuje się nigdy zdjęć z życia politycznego, czy towarzyskiego Zachodu, a tylko z krajów bloku sowieckiego. Natomiast z reguły wyświetla się zdjęcia katastrof i nieszczęśliwych wypadków, które zdarzyły się na Zachodzie, oczywiście z odpowiednimi komentarzami.

Nasz rozmówca, który zna język francuski, widział — bardzo w Polsce propagowany — francuski film „Nędznicy” i stwierdził, że polskie podpisy dostosowane do propagandy komunistycznej, nie miały nic wspólnego z rzeczywistym dialogiem filmu.

W kawiarniach wiszą tablice z wykresami, wskazującymi jaki procent normy wykonał każdy z pracowników. Podziały na tych wykresach są tygodniowe lub dekadowe.

Z gwarnej kawiarni warszawskiej nie pozostało ani śladu. Ludzie chodzą wprawdzie do kawiarni, ale zabierają z sobą książkę, czy gazetę, aby uniknąć rozmowy z sąsiadem. Porozumiewają się z sobą półsłówkami. Dziś chodzi się do kawiarni, żeby coś na przódce zjeść i wypić, a nie jak kiedyś — aby przy pół czarnej porozmawiać ze znajomymi.

„Porcje, jakie dają na obiad są tak małe, że najęść się nie można. Trzeba by zjeść drugi obiad by coś w żołądku poczuć, ale w tej samej restauracji tego zrobić nie można, gdyż to by „podpadło”. Przecież mógłby się ktoś zainteresować i zacząć dochodzić skąd człowiek na to ma pieniądze. Tak więc ludzie, obawiając się zjeść dwa obiady, czy też obiad i kolację w tym samym miejscu, stale zmieniają lokale, by nie podpaść”.

W sierpniu 1952 r. wysiedlono całą kolonię Benowo (dawniej Boernewo pod Warszawą), ok. 200 domków — w ciągu 14 dni. Oficjalnie przydzielono wysiedlonym mieszkania i zapłacono im odszkodowania. W praktyce okazało się, że przydzielone mieszkania — to 1 pokój na nieraz 5 osobową rodzinę, a odszkodowanie to czek (do banku), którego nie można zrealizować, gdyż Urząd Skarbowy potrąca dług przedwojenne i należności hipoteczne, a wszystko to musi być najpierw obliczone.

Benowo otoczono wysokim płotem, a dostęp do kolonii strzeże KBW — tak że nie wiadomo kto w tych domkach zamieszkał — jakieś wojsko. Wiadomo natomiast, że buduje się tam olbrzymie lotnisko. Personel zaś, pracujący przy budowie lotniska, mieszka w barakach.

Taksówki państwowe — przeważnie nowe wozy sowieckie marki „Półbieda” — Warszawiacy nazywają je po prostu „Półbiedami”. Prywatne taksówki — to stare auta marki „Opel”; „DKW”; „Olympia” itd., wozy małodrożowe. Za przejazd państwową taksówką płaci się więcej niż za przejazd prywatną taksówką. Np. nasz rozmówca płacił za przejazd z ul. Zgoda na ul. Bolecha prywatną taksówką 9,30 zł., a państwową 12,80 zł.

Na ulicach Warszawy widać coraz mniej dobrze ubranych ludzi. Jeśli ktoś jeszcze ma coś porządnego, albo otrzyma ubranie w paczce z zagranicy — boi się je włożyć, gdyż w ten sposób zwróciłby na siebie uwagę. Dziś w Warszawie ludzie naprawdę dobrze ubrani i swobodnie zachowujący się na ulicy, to tylko pracownicy zachodnich placówek dyplomatycznych.

POGORSZENIE SYTUACJI ŻYWNOŚCIOWEJ

Uchodźcy, którzy ostatnio przybyli z Polski do Berlina zachodniego, opowiadają, że kontrola granicy między Polską, a sowiecką strefą Niemiec została znów znacznie wzmocniona. Niektórzy wiążą to z dalszym pogorszeniem się sytuacji żywnościowej. „Im większa nędra w Kraju — mówi jeden z nich — tym bardziej pilnują granicy”.

W niektórych miastach widzi się w sklepach wystarczające ilości odzieży i obuwi, ale ludzie nie kupują, bo nie mają za co. Odczuwa się brak naczyni kuchennych, narzędzi technicznych i gospodarskich, a to co jest, bywa często w złym gatunku (plugi). Brak w sklepach żywności. Zniknęły konserwy rybne, które można było dostać przed kilku miesiącami. Jeden z naszych rozmówców opowiada, że jednak widział w Lesznie konserwy wołowe po cenie 24,50 zł. za 1/2 kg.

Dowodów osobistych, do których formularze ludność wypełniała przed kilku miesiącami — jeszcze nie wydano.

Nacisk na rolników wzrasta. We wrześniowym biuletynie informacyjnym Prezydentów Powiatowych i Gminnych Rad Narodowych ogłoszono, że z odstawianiem zbóż najbardziej się ociąża województwo poznańskie.

W PGRach zniesiono przydziały mleka dla robotników stałych. Pozostał tylko przydział dla dzieci w ilości 1/2 litra dziennie.

W biuletynie Ministerstwa PGR, Nr 25 z sierpnia br. ogłoszono zarządzenie, na mocy którego żołnierze, którzy zobowiązały się przepracować do 3 lat w PGR-ach, będą zwalniani ze służby wojskowej. Zarządzenie to weszło w życie 15 sierpnia 1952 r. Niektórzy twierdzą, że najchętniej zwalniają się żołnierze, którzy mogą być podejrzani o tzw. nieprzychylny stosunek do ustroju, a więc ci, którzy nie mogą liczyć na awans w wojsku. Jest to więc jeden ze sposobów selekcji.

WEGETACJA

W opowieściach uchodźców, którzy przybywają z Polski w ostatnich czasach, powtarzają się uporczywie pewne motywy — tak uporczywie, że wyrastają po prostu do roli charakterystycznych cech panującego dziś w Kraju ustroju.

Jednym z nich jest ogólnie obserwowane przepracowanie, przemęczenie i w związku z tym obojętność na wszystko, co się dzieje w zewnętrznym świecie, a co nie wiąże się bezpośrednio ze sprawą utrzymania się przy

życiu. Wymagania w stosunku do robotnika są tak duże, wydatek energii tak znaczny, że na nic innego nie ma ani czasu ani siły. Człowiek, który chce więcej zarobić, goni zawsze ostatkiem energii. Wiele czasu zabiera ją ponadto różnego rodzaju, obowiązkowe imprezy polityczno-propagandowe. Ludzie skarżą się na „te zebrania przed pracą i po pracy”. Na zebraniach tych zresztą „większość śpi”. Nacisk administracyjny wywołuje obojętność do pracy na wsi — mówi jeden z uchodźców. Życie ma w coraz większym stopniu charakter wegetacyjny i wszystko wskazuje, że władze dążą świadomie w tym kierunku, aby uprościć sobie rządy: człowiek, który miałby czas wolny na zastanawianie się nad warunkami, w jakich żyje lub na dyskutowanie tych spraw z innymi — stałby się nieuchronnie „wrogiem ustroju”.

Coraz cięższe warunki materialne sprawiają ponadto, że ludzie poszukują dodatkowych źródeł zarobku, a w obecnej sytuacji źródła te są często nielegalne, co zmusza do nieuczciwości. Wzrasta kombinatorstwo. „Szwindel na całego” — tak jeden z uchodźców określa to zjawisko. Często stosowaną praktyką jest wysyłanie członków rodziny do sklepów na wiele godzin przed otwarciem, po to aby zajęli miejsce w kolejce i wykupili towary, które potem sprzedaje się po wyższych cenach.

Ogólnie panuje „niechęć do pracy, niechęć do życia, niechęć do wszystkiego”... „Wszyscy mówią: niech szlag trafi taką demokrację.” Niejeden ucieka tylko po to, aby jak to powiedział jeden z naszych rozmówców, „żyć jak człowiek”.

ZYCIE NA WSI

Oto uwagi młodej kobiety, wychowanki Tow. Uniwersytetów Ludowych z pierwszych lat powojennych. Przybyła ona z Polski w ostatnich tygodniach:

„Wiesz polska żyje w strasznym ucisku i w ciągłym niepokoju, rządzą nią tylko ludzie partii, trzeba się podporządkować każdemu zarządzeniu, słuszne czy niesłuszne, bez żadnego sprzeciwu i poprawki.

„Podatek i kontyngent, pożyczka czy oszczędność, muszą w oznaczonym dniu być punktualnie oddane, inaczej grozi natychmiastowa egzekucja. Są pewne uwzględnienia, ale to tylko dla gospodarzy partyjnych, małorolnych lub średniorolnych. Dla „bogaczy wiejskich” nie ma żadnych względów. Sprawy to załatwia posiedzenie gminnej Rady Narodowej.

„W tym roku 1952 został na wsi szeroko rozbudowany aparat bezpieczeństwa. Wielu gospodarzy i gospodyń zostało wciągniętych do tego aparatu i współpracują oni z UB. Za wydanie sąsiada lub nawet brata czy siostry, ojca lub matki, dany współpracownik UB dostaje zapłatę: płaszcz, buciki lub materiał.

„Ludzie na wsi żyją w strasznym ucisku, nawet boją się własnego cienia. Wielu wędruje do więzień za minimalne przekroczenie, dostając bardzo surowe kary. Wiesz polska opustoszała, zostali tylko starzy i dzieci. Młodzież w szkołach skoszarowana, a starsi w więzieniach”.

SPOŁDZIELCZOŚĆ DUNSKA — TO WROG

„Kiedy po wykorzystaniu wczasów powróciłam na tygodniowy urlop do domu, pewnego dnia, w czasie mego pobytu u rodziców, przyjechał pewien znajomy, który również zamieszkiwał na terenie tamtejszej gminy.

„Było to w czasie obiadu i poprosiliśmy go również wspólnie do stołu. Obiad był bardzo skromny bez mięsa. W czasie rozmowy ojciec mój powiedział, że w obecnych warunkach żołądek zaczyna regulować życie człowieka, a ja dodałam, że jeżeli zbudujemy naszą spółdzielczość na wzór

duński, to na pewno nie będziemy głodowali. Ale jak nam będzie wszystko zabierane, to oczywiście głód nam zagrozi i nie będziemy mieli co jeść.

„Wypowiedź moja była powodem mojej ucieczki z kraju, gdyż „na-dała spółdzielczości „tło kapitalistyczne”, co w ustroju komunistycznym jest ścigane i karane”.

„WALCZYK KSIĄŻKOWY”

Miejscowość Biała Piska, powiat Pisz, województwo Olsztyńskie. Miejscowy ZMP otrzymał kilkaset książek — wszystko Marks, Engels, Lenin i Stalin — z nakazem rozprzedania wśród ludności. No — ale komuż by się śniło kupować? Pomysłowy zarząd białopiskiego ZMP organizuje więc zabawę taneczną, w czasie której ogłasza się „walczyk książkowy”. Każda para podchodzi po kolei do stołu i tancerz ofiarowuje swej wybrance, chcąc nie chcąc, coś z literatury lenino-stalinowskiej, zamiast ...kapitalistycznego pudelka czekoladek.

(Historia nie mówi, czy słowik za oknem odśpiewał „Międzynarodówkę”).

JAK BRAC — TO ARMATĘ

W tejsze okolice zdarzył się w lutym br. wypadek, o którym potem szeroko opowiadano. Było to w czasie akcji zbierania złomu. Ludzie chętnie wyszukują coś i przynoszą, bo za złom Ga-y płać dobrze. Któregoś dnia jeden z rolników przywiózł do miejscowej spółdzielni gminnej ...armatę. Mówił, że to poniemiecka i że stała u niego w stodole, przywalona kupą śmieci — teraz dopiero miał czas ją wygrzebać. Armatę spółdzielnia gminna kupiła, cenę zapłaciła. Ale już po dwu dniach okazało się, że wojsko poszukuje armaty, która zginęła z poligonu w Orzyszu. Zaczęto szukać sprawcy, ale nazwisko podał on fałszywe, podobnie jak miejsce zamieszkania. Nie znaleziono. Ale spółdzielnia postawiła warunki: armaty nie odda, dopóki nie otrzyma zwrotu zapłaconych pieniędzy. Targ w targ — wojsko wykupiło armatę, pieniądze zapłaciło.

BERLINCZYK

Der MONAT

MIĘDZYKRAJOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKYEGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

Kronika kulturalna

Wystawy paryskie

58 fotosów z „Life” (US Embassy) daje nam — przez eliminację — pojęcie o misji malarstwa w naszej epoce. Obiekty otrzymuje ze światłem niemal wszystko, co w naturze przemawia do serca, a nawet do wyobraźni. Dobry fotograf potrafi dać wcale pełną charakterystykę epoki. A kamera, otwarta w ciągu kilku godzin nocy, daje abstrakcyjną syntezę ruchów światła w czasie. Np. lampka traktora, pracującego nocą, pokrywa pole gęstą, tłustą siatką linii. Światło na skrzydle startującego helikoptera rysuje zwinięty welon linii, przecięty długą kreską o dziwnym uroku. Jakież malarz odkryłby groteskowe podobieństwo Churchilla do Grocka! Obiektyw jest bezlitosny i cyniczny, bardzo w stylu naszych czasów.

Norbert Wiener, Vannevar Bush i Joseph Oppenheimer dokładnie wyrażają powagę i niepokój epoki niż grzyb wybuchu atomowego. Te postacie, fotografowane w swoim środowisku, są może potężniejszymi symbolami, niż głodne kobiety indyjskie płaczące o chleb, niż spalona głowa żołnierza wystająca z czołgu, niż malarz Salvador Dali, zawieszony w powietrzu wraz ze sztalugą, trzema kotami, krzesłem i strugą wody. Missisipi rysuje długi, cienki zygzak poprzez krzaczastą pustynię wessany przez horyzont, do którego zdawał się strzelać. Ta fotografia symbolizuje jeden z demonicznych elementów Ameryki, a równocześnie jest piękną abstrakcją, jak i to całe w kratki i klatki wnętrze Soundproofroomu Bella. Tylko Rhezus w wodzie (małpa o spojrzeniu złapanego w pułapkę niewolnika przemysłowego), powieszony naprzeciw Sikha w rytualnej kąpieli w Jeziorze Nieśmiertelności jest w złym guście, którego nie można zapomnieć.

Fotografia odbiera malarzowi wiele pretekstów do ucieczki od jego właściwych zadań. Najmniejszą wystawą zbiorową jest w tej chwili krótka retrospektywa grafiki Picassa u Berggruena. Panuje dziś (importowana z N. Jorku) moda sprowadzania wszystkich wartości plastycznych do Baroku. Maurice Gieure mówi o *préciosité* Picassa. Jak kula w plot! Trudno o twórczość bardziej męską. Jeżeli Picasso nie jest w głębi duszy torreadorem, to jest Stwórcą. Musi mieć ręce jak Rodin, o których Rilke mówił, że patrząc na nie, myśli się o rękach Pana Boga z Siedmiu Dni. To połączenie siły i subtelności jest rzadkie. Tworzy ono napięcie, w którym świat wiruje jakby miał powstać na nowo. „Je n'imité pas la nature — mówi Bracque — je la recommence”. Artysta, który nie może się zdobyć na to poczucie, powinien używać palety do siadania na niej w czasie niedzielnych wycieczek do Robinson.

Tak zaszliśmy na rue de Lille, gdzie zamykają wystawę Van Haardta. Malarz ten ma złą prasę, ale walczy. Każdy przyzwyczajony człowiek stanąłby u jego boku — nie jako malarza, ale jako człowieka. Zdobyć Paryż niełatwo, zdobyć swój styl jeszcze trudniej. Van Haardt uparł się przy trudnościach. Zadnego obrazu Picassa czy Miró, czy nawet Kandinskiego (z wyjątkiem pierwszych abstrakcyjnych) nie można traktować jakby był omszałym murem. Dobry obraz abstrakcyjny nie daje wolnej gry wyobraźni, ale grą tą kieruje. Wolność jest gdzie indziej: w dyscyplinie artysty.

Van Haardt zamazuje swoje kolory pedantycznym zygzakiem, robionym często drugim końcem pędzla. Daje on obrazowi jakąś monotonną jedność, zupełnie fikcyjną. Abstrakcjonista często wychodzi od układu barw i linii w naturze (choćby miejskiej), czasem nawet bierze go żywcem z czyjegoś obrazu. Najczęściej unicestwia w końcu swój obiekt. Van Haardt ostatnio zachowuje go i nawet nim kokietuje. Na torsie, przykrytym jakby mapą plastyczną, wypisuje słowo „Town”, na szczątkach pejzażu coś jakby słowo „Orgueil”. Wąska, prostopadła kompozycja okazuje się parą taneczną. Z innej wylania się głowa o tragicznym wyrazie. Ale to jest ciągle jeszcze koncepcja obrazu jako omszałego muru. Ten wysiłek, bardzo pracowity, odbywa się w ciemności i po omacku. Przejmujące jest to czekanie na światło. Van Haardt jest gwałtowny i niecierpliwy. W jednej z najpiękniejszych metafor filozoficznych Biblii, Jakób obejmuje Anioła za kolana i woła, że nie puści, póki nie otrzyma błogosławieństwa. Van Haardt maltretuje Anioła.

Z grupy „Tendance” (u Maeghta) Degottex ma pismo najbardziej zbliżone do pisma Van Haardta. Może na tę swobodną improwizację potrzeba jakiejś specjalnej wrażliwości. Ale musi być w sztuce coś obiektywnego. Trudno np. wyobrazić sobie malarstwo dla daltoników, choć przyznają, że istnieją malarze liczący głównie np. na sodomitów, onanistów czy nekrofilów. Ale Michał Anioł umiał swą sodomie przewyciężyć czymś

co przemawia także do ludzi normalnych. I to w nim samym ważyło bardziej!

Palazuelo, z tej samej grupy, zupełnie świadomie, niemal prowokacyjnie (bo jest moda psioczyć na to) robi z abstrakcjonizmu akademizm. Ta możliwość była widoczna już w ostatniej epoce Kandinskyego. Palazuelo pokrywa płaszczyznę siedmioma rzędami równych krątków, po sześć w rzędzie i zabarwia je bez żadnego planu (nie ręczę, czy nie ma tu ukrytej jakiejś formułki matematycznej) trzynastoma kolorami, bardzo „chemicznymi”. Do kresu dochodzi składając obraz z kilkudziesięciu jednobarwnych (tzn. zamalowanych każdy jednym kolorem) kwadratowych płócienek, każde na własnym blejtramie. Tę składankę właściciel ma zapewne prawo przeseregowywać według własnego gustu. Ale nawet jako dekoracja jest to zbyt bezosobiste. Dlaczego obrazów nie miałyby robić automaty - kalejdoskopy? Prawdziwe obrazy Palazuelo są niemiernie nudne. Gdzież się podziała „melodia” obrazów Juana Gris, gdzie fantastyczne narratorstwo Joana Miró!

Grupa „Octobre” (9, Avenue Villiers) wyskakuje z bardzo szumnym manifestem, pełnym niezmiernie nudnych mistyfikacji. A szkoda i pięknej sali i młodości tych ludzi. W abstrakcjonizmie jest niebezpieczeństwo łatwizny. Dobry abstrakcjonista wart większego szacunku, niż dobry naturalista, bo musiał pokonać znacznie więcej demonów. Abstrakcja pojeździ serio (ładnie bym wyglądał z tym hasłem na St. Germain des Près!) jest sztuką piekielnie trudną. Ale nawet ci młodzi ludzie coś osiągnęli. Jest nieszczęściem, że ich fałszywe ambicje z jednej strony, a okropne rutyniarstwo przemysłowców z drugiej nie pozwalają wyzyskać tych niewatpliwych talentów i tego autentycznego dobrego smaku w zdobnictwie i meblarstwie! Tyle się o tym pisało przez trzydzieści lat, a gdy ktoś z nich trafia do przemysłu, to zwykle najmniej zdolny i najmniej ciekawy. Obrazy wędrują z wystaw na strych i malarstwo abstrakcyjne, które mogłoby odświeżyć architekturę wewnątrz, pozostaje błędnym szybko wspomnieniem.

Jest w Paryżu, jak zwykle, mnóstwo retrospektyw malarzy, którzy zyskują, gdy wystawiają tylko jeden obraz (Glarnier, Aizpiri, Charchoune, Christoforou etc.). Matisse mówi, że Cézanne przez całe życie malował właściwie wciąż ten sam obraz. Ci malarze robią to samo, a z najlepszą wolą nie możemy traktować ich jako Cézanne'ów. Rzecz w tym, że obrazy Cézanne'a nawzajem się do siebie dodają, a ich obrazy nawzajem się od siebie odejmują. To nie jest tani kalambur, to tak jest rzeczywiście. Cézanne mógłby się ograniczyć do jednej martwej natury, a odkrywałby w niej coraz to nowe bogactwo. Oni odkrywają coraz to nowy sztych. Takie morały zapewne nie nie znaczą, bo mają pozór przepisów czy wymagań. Na sztukę nie ma przepisu. Jedno jest pewne: bogactwo znajduje się wewnątrz, nie na zewnątrz, ani w naturze, ani w cudzych obrazach, ani na płótnie, tylko w życiu wewnętrznym, które trzeba mieć.

Sympatyczny malarz palestyński Chalom (u Lucy Krogh) zdradza w drobnych szkicach z połowu ryb nie tylko talent, ale jakąś nutę zarazem osobistą i epicką. Jest w tych notatkach coś z legendy, jaką jego ojczyzna w krótkiej karierze potrafiła o sobie wytworzyć. I w tej legendzie jest poezja. Gdy staje przed sztalugą, Chalom popada w niewolnicze naśladownictwo Modiglianiego i Picassa. Modiglianiego modyfikuje, niezbyt zresztą szczęśliwie, choć domyślamy się, że pociąga go monumentalność i patos tego włoskiego Żyda. Ale Modiglianiego nie można monumentalizować ani trawestować: nieśmiałość go wyjawia, a tupet grozi zwykłą karykaturą. Picasso natomiast Chalom niemal kopiuje. Jest w tym naśladownictwie wzruszająca pokora. Żydzi powinni móc wytworzyć malarstwo narodowe. Tyle krwi duchowej wypożyczyli innym narodom!

Tu i ówdzie spotyka się w galeriach gipsowe rzeźby Giacomettiego. Amerykanie wydali mu rozumowany katalog jego pióra. Ten rzeźbiarz jest zjawiskiem. Jego absolutna szczerość, podobna do monsturalnej pozy (jak prawda zwykle podobna jest do monsturalnego kłamstwa i dlatego artyści, którzy nie gardzą tłumem, unikają jej jak ognia tworząc ersatze) — szczerość ta jest nie tylko pouczająca (zwłaszcza dla psychologa), ale i interesująca. Bez wyznań Giacomettiego rzeźby jego byłyby zupełnie niezrozumiałe. Giacometti jest świadkiem czegoś, czego w nim dokonuje coś jakby twórcy. I to świadkiem zdumionym, nachylonym nad tym — cudzym! — eksperymentem, z zaciekawieniem dziecka, które zagląda do kopca termitów. Marzy o monumentalnych rzeźbach, ale robi rachunek bez gospodarza: twórcy wydaje na świat zabawne fidrygałki. Jest to styl kłęski i Giacometti sam tak go rozumie. Czy Giacometti porusza się na marginesie, czy też tkwi w nim jakaś wielka prawda o współczesnym człowieku? Gdy patrzyłem na portret fotograficzny Norberta Wienera, wielkiego cybernetyka, który siedzi na tle tablicy, pokrytej dziwnym rachunkiem — nie przedstawiałem myśleć o Giacomettim. Rozbrat ducha z duszą i olimpijski spokój, jaki człowiek zachowuje w tym rozbracie, jest i we współczesnej fizyce i w tej sztuce. Sztuczność jako towarzysząca życia — nieomal wygodna!

O kolekcji milionera Beuningena (Petit Palais) będzie się jeszcze dużo pisało. Nie zdziwiło by mnie, gdyby się to skończyło skandalem, tj. gdyby się okazało, że większość obrazów, to fałsyfikaty pędzla... największych malarzy współczesnych. Beuningen potwierdza tezę Malraux, że „absolut malarski” istniał zawsze, ale był tajemnicą malarzy, którzy ukrywali się z nią jak ze świętokradztwem, publicznie robiąc kompromisy ze współczesnym gustem. Można też przewidywać, że po tej wystawie zamkną Louvre, by wszystko poprzewieszać i poprzestawiać i dobrze przetrząsnąć piwnice za malarstwem w duchu beuningenowskim. Ta kolekcja jest lekcją. Powinniśmy wysłuchać jej w skupieniu. Cóż to przy tym za tonicum!

Zanim przejdę do wystaw czterech malarzy polskich, jeszcze słowo o retrospektywie Valtat na Salonie Jesiennym (Grand Palais). Sam salon, gdzie zrećtnie ukryto śliczny cykl Brandla „Pan Twardowski” i gdzie spotykamy się z interesującą indywidualnością Pacanowskiej — nie nadaje się do omówienia. Uderza, że Léger („soc.realista”, pożałujcie-Boże!) jest jedynym dziś profesorem w Paryżu, który ma szkołę w tym sensie, w jakim szkołę mieli Leonardo czy Rubens. Uczniowie naśladowają go i modyfikują z powagą zupełnie niewspółczesną. To przyjemnie stwierdzić, że styl żyje, że nie umiera jako kaprys jednego człowieka. I jest to styl, który będzie nabierał coraz większego autorytetu. Jest w nim chyba jakaś nowa koncepcja wyobrażania sobie człowieka, coś poetycznego i surowego razem.

Valtat. Umarł tego roku w wieku sędziwym jako malarz doszczętnie zapomniany. A to wielki mistrz. I nie zmieniamy tej opinii, gdy stwierdzamy, że każdy obraz, to pastiche jednego z jego kolegów z grupy Fauves. Taki sposób naśladowania, to echo, ale echo, które nie przedrzeźnia, tylko jakby mówiło: „Idę z tobą”. Gdy podrabia Vlamincka, Déraína, Matisse’a i Bracque’a, Valtat odtwarza ich w sobie, pracuje za nich. I w jakiś nieuchwytny sposób pozostaje sobą. Zgadujemy, dlaczego się opiera, dlaczego nie stoi sam: ma skłonność do anegdoty. Jego postacie nie są z rzeczywistości dostatecznie wydestylowane, tracą „Vie Parisienne”. Ale gdy „Vie Parisienne” żółknie po antykwariatach, Valtat ratuje ten zapomniany styl, uszlachetnia go i wprowadza do muzeum. Valtat będzie rość. Dlaczego tylu artystom potrzebna jest do wzrostu śmierć?

To alfabet zmusza mnie do zaczęcia od Czapskiego. W pięknej przedmowie do katalogu wystawy (jak rzadko się zdarza, żeby literaci coś widzieli w obrazach i żeby o tym mówili bez wycofywania się z każdego słowa), Daniel Halévy robi z powrotu Czapskiego na rynek paryski (po 20 latach) akt skruchy. Ten stary bojownik o paryskie tendencje w sztuce musiał przejść przez rosyjskie obozy, by jego kult mózgu ustąpił miejsca kultowi serca. Jak każdy prawdziwy artysta, który jest zarazem uczciwym człowiekiem (i dobrze zakonserwowanym dzieckiem) Czapski odczuwa swoje nawrócenie jako wypowiedzenie wojny. Czuje się człowiekiem przebudzonym i dziwi się, że mógł kiedykolwiek rozumieć malarstwo abstrakcyjne. Z rozwiniętym sztafandarem, na którym Dürer wypisał swoją zabobonną cześć dla natury, rusza na drugi podbój Paryża. Ale Cézanne, który patronował mu w jego walce o formę w Polsce, musi mu patronować także w jego walce o treść w Paryżu. Bo w Cézannie, który wydawał się wielki przez pychę, Czapski odkrywa prawdziwe źródło jego wielkości — pokorę.

Artysta, który stwierdza, że popada z ostateczności w ostateczność nie tracąc poczucia ciągłości, musi sam zastanawiać się nad tym zjawiskiem. Jeśli wyklucza rozdwojenie jaźni, musi poszukać zasady, która by te ostateczności godziła. Dla Czap-

skiego zasadą tą jest „ruch wahadłowy od konkretnego do abstrakcji”. Ale z tym pretekstem Czapski nie może się czuć szczególnie, bo sam stwierdza, że rysując chwytając konkretny obraz malując odrywany jest od niego ku barwnej powierzchni obrazu i jej kanonom. Tę „sprzeczność poszukiwań” deklaruje jako cechę epoki i przyjmuje z rezygnacją. A przecież najlepsze jego obrazy — jak np. synteza wszystkich ostatnich poszukiwań, „Dworzec św. Łazarza” — jest zarazem konkretem i kompozycją, rysunkiem i kolorem.

Myślę, że tajemnica nie tkwi w malarstwie, ale w artyście: jest rozstęp między jego pracą rysownika, której nie przerwał w czasie wojny, a pracą malarza, którą podjął na nowo po dziesięciu latach przerwy. Jakże to jednak charakterystyczne, że gdy osiąga syntezę rysunku i koloru, wskrzesza swój styl przedwojenny, owego zniemczonego Bonnarda, który był tak oryginalny i zapowiadał punkt wyjścia do pracy pogłębiania i bogacenia płaszczyzny.

Czy Czapski nie szarpie się niepotrzebnie? Czy realizuje ideał pokory, który gloryfikuje? Dlaczego boi się, że jego styl może okazać się tylko manierą? Dlaczego nie skupia się na pogłębieniu swojej wizji, ale szuka niespokojnie nowej wizji? Gdy formy — natury i malarstwa — spotkały się w twórczości artysty, dobrały do siebie wg. najgłębszego pokrewieństwa z jego naturą i wzięły za ręce — problem nie polega na tym, by ten zespół zmieniać, ale na tym, by z tego tańca, który się zaznacza, zrobić balet, który by coś znaczył. Przecież ten balet tkwi cały, wcale nie w zarodku, ale wspaniale rozwinięty, w rysunkach Czapskiego!

Rysując bez przerwy, Czapski stał się odporny na pokusę, której nie umie się oprzeć, gdy maluje. Rysunek go nie uwodzi, bo Czapski czuje się jego mistrzem, bo o nim nie myśli. Pędzel wydaje mu się wciąż jeszcze czymś obcym, czymś co go prowadzi, zamiast być prowadzone. Poddawać mu się, wydaje się artyście drogą osiągnięcia, bo jest drogą niespodzianek. To tłumaczy narcystyczną kokieterię części obrazów Czapskiego, której nie ma w jego rysunkach, to też tłumaczy brak jedności jego malarstwa wobec jedności rysunków.

Nie należy wątpić, że Czapski pokona obsesję rozstępu, która jest złudzeniem, niepokojem hodowanym, słabością woli, a raczej lubowaniem się w tej słabości. Część obrazów świadczy, że ta wola jest silniejsza niż się artysta wydaje. Myślę, że gdyby Czapski przestał widzieć siebie jako bojownika (tu uwodzi go talent literacki ze swoimi konwencjami i swoją próżnością), a chciał być tylko malarzem, stałby się mniejszym fenomenem towarzyskim, a większym zjawiskiem artystycznym. Zwycięstwem artysty jest ograniczenie. Trzeba wybrać miejsce, gdzie się chce zacząć kopać. Nie schodzi się w głąb biegając po powierzchni. Dlatego malarz Czapski nie miałby skorzystać z tej samej sztolni, którą zbudował rysownik Czapski? I dlaczego myśliciel Czapski nie miałby odrzucić fikcji intelektualnych, które pozwalają dyskutować a przeszkadzają tworzyć?

Bo Czapski ludzi się, że jest naturalistą. Czapski jest abstrakcjonistą i nie może nim nie być. W przepięknym portrecie Daniela Halévy (rysunek) przedmiotem nie jest przecież bryła, jaką stanowi ciało osoby portretowanej! Tych kilkanaście kresek tylko na pozór dotyka ciała Halévy'ego (choć naprawdę komponuje płaszczyznę). Czy to oko zachwyciło się widokiem tego wspaniałego starca, czy serce? Pokrywając kartkę papieru kreskami, które stanowią formalny zespół, Czapski wyrażał same abstrakcje: mądrość, pokorę, szlachetność swego modelu, a także swoją własną cześć i miłość dla nich. I te abstrakcje widzę percypuje bezpośrednio, bo Czapski pokazuje mu nie ciało Daniela Halévy, ale jego duszę. Nie rozdierajmy, co jest połączone, zrezygnujmy z efektów, które uprzyjemniają życie, ale go nie uszlachetniają i które czynią nas bardziej interesującymi, ale mniej prawdziwymi. Artysta działa gdy jest, a nie gdy działa.

Prawo mimikry rządzi nie tylko naturą, ale i kulturą. Odzwierciedlenie jest pierwszym etapem udziału w kulturze. Żaden geniusz nie może tego etapu przeskoczyć bez ryzyka śmierci głodowej na pustyni. Wartości przyjęte i mniej lub więcej skonwencjonalizowane są umeblowaniem, które artysta zastaje, gdy się do świata sztuki wprowadza. Zaczyna od inwentaryzacji. Drugim aktem jest wybór, a trzecim przedstawienie mebli. Te dwa akty zakładają osobowość, o której nie wiadomo czym jest: faktem biologicznym, społecznym czy duchowym. Wiadomo tylko, że jest energią o niezwykle wysokim napięciu. Większość artystów poprzestaje na inwentaryzacji i na mniej lub więcej śmiałym wyborze. Przedstawienie mebli jest sięgnięciem po tyranie. Jej rezultatem jest nowy styl, odmiana konwencji. Kompletność inwentaryzacji, oczywiście także względna, daje „artystę kulturalnego”. Stopień śmiałości, z jaką dokonywany jest wybór, daje „artystę nie bez indywidualności” lub nawet „artystę oryginalnego”. Brak wyboru daje „artystę wrażliwego”. To jest właśnie mimikry. Może ona być niewolą u jednego wielkiego artysty lub poddawaniem się wszystkim możliwym wpływom.

Piszę to, by uświadomić czytelnikowi, że „świat”, „naturalność”, „rzeczywistość” są niedostępne i nieuchwytne bez stylu; że artysta zrazu posługuje się do tej operacji (która zdaje się być złudzeniem: nie wychodzimy nigdy poza kulturę, której częścią tylko jest natura — chyba, że popadamy w obłąd, pędzimy dobrowolnie w szaleństwo lub kładziemy się do grobu; ale to już jest inna historia) cudzym stylem, z którego otrząsa się gdy zamiast ułatwiać mu pracę, utrudnia mu ją. Ten bunt, to narodziny jego własnego stylu.

Twórczość Stanisława Grabowskiego jest kroniką malarstwa paryskiego w ostatnim ćwierćwieczu. Obecna wystawa (w galerii Barbizon) jest dokumentem fascynacji, jaką wywarły na artyście pewne nowe indywidualności paryskie. Ale obok obrazów można tu zobaczyć w tece wielką ilość rysunków i gwaszów. Teksta ta jest o wiele bardziej interesująca niż wystawione obrazy.

Przeglądając ją, można zwątpić, czy motorem twórczości artystycznej jest rzeczywiście wola indywidualności i dążenie do stylu, czy nie jest nim raczej chęć wyjścia poza kulturę i znalezienie bezpośredniego kontaktu z naturą, którą otwierają nam zmysły i uczucia. W Grabowskim nie ma żadnej woli stylu, jest natomiast wrażliwość zarazem na naturę, jak i na cudzy styl. W każdym rysunku osiąga on harmonię tych dwóch tendencji.

Ta metoda pracy, która jest oczywiście zupełnie instynktowna, daje obraz indywidualności jak najdalej od zaborczości, a zarazem od niewolniczości. Grabowski zachowuje dystans zarówno do artystów, którymi się inspirował, jak i do natury, która go wzrusza. W tym dystansie wyraża się osobowość przechodnia, melancholijnie ubawionego, który nie bierze udziału w grze, zatrzymuje się na krótko, koncentruje nie bez współczucia, pozostawia świat i moment w stanie, w jakim je zastał i idzie dalej, pół-zamysłony, pół-roztargniony, ale otwarty na każde nowe spotkanie, chłonny, pełen sympatii i wśród tylu obcości pozbawiony niepokoju. Oto, co nas wzrusza w tych rysunkach, oto co zapewnia Grabowskiemu miejsce w malarstwie. Grabowski mógłby powiedzieć: „Obraz, to właściwie przesada. Jak można się tak wiązać, jak można się tak eksponować! Czy rysunek wam nie wystarczy?”

M. Lurczyński (rue Legendre) znajduje się wciąż jeszcze w stadium inwentaryzacji, tapczywej ale powierzchownej. Pociągają go zwłaszcza impresjoniści (nawet Cézanne, którego zresztą krzywdzi, robiąc z niego blagiera i niechluj). Dąży raczej do rutyny niż do stylu czy choćby owej dojrzałej równowagi między sztuką a naturą, jaką osiąga Grabowski. Być w Paryżu i inspirować się reprodukcjami a nie oryginałami, których tu jest tyle, nie świadczy o poważnym stosunku do samego siebie. Lurczyński dokonałby przewrotu w sobie, gdyby poszedł ze swoją martwą naturą do Jeu de Paumes, porównał ją z martwą naturą Cézanne'a i zapytał siebie na serio i bez błagi: Dlaczego talerz z owocami z mojego pochylego stołu zjeżdża (z gwałtownością, która zmusza widza, by w duchu zrobił gest podtrzymujący), a dlaczego na pochylonym stole Cézanne'a niedość że stoi spokojnie, ale trzyma? Po takim egzaminie, Lurczyński albo zacząłby naprawdę malować, albo sprzedałby sztalugę i paletę. Lurczyński zdaje się wierzyć, że ilość zamienia się w pewnej chwili w jakość. Jego doświadczenie nie potwierdza jednak tego pobożnego życzenia. Sztuka, to nie przemysł: nie można produktywnością zastąpić pracy, która jest bardziej wysiłkiem organów wewnętrznych człowieka.

Tylko alfabet zmusza mnie, by o Żywie (wystawa w galerii Galanis-Hentschel) napisać na końcu. Kiedy odkryto, że kolor i forma zawierają w sobie treść poetycką niezależnie od tego co przedstawiają, malarstwo zaczęło rozwijać się w głąb. I wtedy

powstało pojęcie powierzchni jako wymiaru, w którym malarstwo się dzieje. Są to jakby narodziny fortepianu po stuleciach orkiestry. Zobaczcie, co się dzieje w etiudzie Chopina: kilka dotknięć klawiszy, które w przestrzeni zwanej duchową wyznaczają cały nowy świat. Malarstwo abstrakcyjne nie jest niczym innym. Trzeba tu mieć wzrok absolutny, jak w muzyce słuch absolutny. Każde dotknięcie pędzla, każde zestawienie plam a nawet plamek, każde przeprowadzenie linii lub położenie kreski jest stworzeniem (lub zniszczeniem!) środowiska, w którym powstają związki pełne znaczenia. Artysta, który manipuluje tymi prostymi elementami, równocześnie porusza i porządkuje w sobie uczucia i myśli. Pędzel wyraża i modyfikuje zarazem.

Plamy, linie, formy i masy mają — jak słowa w poezji — dźwięk, rytm i znaczenie. Znaczenie zupełnie nie praktyczne, bardziej konkretne, bo zmysłowe i bardziej abstrakcyjne, bo oderwane od techniki porozumiewania się, kierowania czynnościami etc. Ale ta wolność jest odkrywaniem nowej konieczności, która z kolei stwarza i gwarantuje nową wolność. Artysta, który wchodzi w ten świat z szacunkiem dla tej konieczności i z dbałością o tę wolność, wspina się jak pająk, który uprządłby cały system pajęczyn.

Żyw w każdym obrazie wybiera inne środowisko barwne, w które wprowadza odcienie jak najbliższe, a niezmiernie rzadko kontrasty. Ogranicza go to do walorów, których masy równoważą płaszczyzną, a drobnymi formami, głównie trójkątami choć i kształtami nieokreślonymi, a rzadziej rytmami i liniami fałistymi rozbija ją i męci. Każdy obraz ma przedmiot, ale rozłożony na elementy i nie on, ale gra elementów komponuje obraz. Czynne tu są jakby zmysły duchowe, które rekonstruują prawdziwe, bo zupełnie osobiste, poza-konwencjonalne wrażenie przedmiotu. Jest to natura, widziana nie poprzez temperament, ale poprzez wrażliwość. Zmysłom i konwencji poznawczym wypowiada się tu kredyt. Prawda jest głębiej i jest o wiele subtelniejsza. Uchwycenie jej wymaga skoncentrowania się na przeżyciach, a nie na doznaniach.

Haydn zobaczył symfonię w krzesłach, ustawionych na stołach kawiarni, którą zamykano. Żyw redukuje symfonię świata („świat”, to jest doświadczenie, bo tylko przez nie jest dla nas uchwytne) do „krzesel”, które ona wyraża. Ta procedura, która jest najwyższym aktem tolerancji (liberałów zapraszam na rekołacje!), wymaga skupienia, podobnego do skupienia kasiora, który stał sobie głośnopięciem naskórek z końców palców, by lepiej wyczuć mechanizm zamka. Malarz-abstrakcjonista jest poetą i muzykiem i poszukiwaczem prawd najtrudniejszych, pewnych (bo tymi prawdami, nie konwencjami, żyjemy, to one kierują naszymi sądami, reakcjami i czynami; są one przekonaniami a nie opiniami), ale niedostępnych dla naszych narzędzi formułowania. Te narzędzia są tak niedyskretne, tak grube, że niszczą lub transformują swój przedmiot. Co tu ukrywać, wtłaczają go one w sztuczny świat, który wytworzył narzędzia i któ-

ry chce zburzyć każdy prawdziwy artysta, każda prawdziwa indywidualność. Wysubtelnienie tych narzędzi jest niemożliwe bez zrzucenia owej żółwiej skorupy instynktów samozachowawczych (gnuśność i strach — potęgi, które tworzyły kulturę lasu, dzungli i stepu), skorupy, w której chodzimy po wrogim świecie. Artysta jest tu złożony z samych pięt achillesowych, odsłonięty ze wszech stron, z nerwami na wierzchu. Jest to jednak nie tylko wielka odwaga i samozaparcie, ale i akt zaufania do świata. Skorupę żółwią musi mieć kultura jako całość, by jednostka mogła — ufając tej osłonie — zdjąć swoją.

Nie, sztuce abstrakcyjnej wciąż jeszcze nie oddajemy sprawiedliwości!

Jan ULATOWSKI

Chaplin jako Andersen filmu

Byłoby nonsensem poświęcać w każdym numerze „Kultury” parę stron na przegląd filmowy, gdybym miał tu omawiać filmy rozrywkowe lub powtarzać plotki zza kulis Hollywoodu. Mam w pełni tę świadomość i dlatego uprzedzam czytelników, że tego typu „krytyki” nie mogą tu oczekiwać. Film jest rozrywką, owszem, ale jest, a przynajmniej powinien być także sztuką, a ściślej mówiąc syntezą wszystkich sztuk, osiąganą przy pomocy nowoczesnej techniki. Przez scenariusz i dialog film wyrasta z literatury; obrazem, dekoracją nawiązuje do grafiki, architektury i malarstwa; oplata się muzyką; niby młodszy brat czerpie obficie z teatru, zapożycza się często i u cyrkowego clowna, a tancerzy i śpiewaków równie chętnie rzuca na ekran, jak aktorów dramatycznych. Te wszystkie elementy zespala się w specyficznym filmowym ruchu, szczególnie podatnym do skrótów i artystycznych odkształceń.

Rzecz jasna, że tylko niewielka część bieżącej produkcji filmowej zasługuje na miano sztuki, jak niewiele obrazów jest prawdziwym malarstwem, a tylko nieliczne książki prawdziwą literaturą. Ale film jest zarazem potężnym, silniejszym od innych sztuk, medium socjalnym, służącym do kształtowania człowieka, jest swoistym językiem międzynarodowym, przekazującym idee, informacje i wzory postępowania. Warto sobie uprzytomnić, że — jak podała niedawno statystyka UNESCO — na 100 obywateli w Stanach Zjednoczonych przypada 7 miejsc w kinach, w Europie 5, w Azji 1/4, w Południowej Ameryce 3 i w Oceanii 14.

Wychodząc z założenia, że trwałe ślady w psychice ludzkiej pozostawia tylko prawdziwa sztuka, będą tu omawiał tyl-

ko filmy artystyczne albo takie, które przynajmniej do miana sztuki aspirują. Jeżeli wspomnę czasem o innych, to tylko dla pogłębienia tła lub dla dokumentacji szczególnie ciekawych zjawisk. Przyjęcie takiej zasady ma również tę zaletę, że filmy artystyczne prawie zawsze przezwyciężają przegrody państwowe i narodowe, i są wyświetlane w całym wolnym świecie, czyli trafiają, lub mogą trafić do każdego czytelnika „Kultury” bez względu na miejsce jego zamieszkania.

Londyńska prapremiera *Limelight*, sfilmowana i szeroko komentowana towarzysko w związku z plotkami (na szczęście nieprawdziwymi) o zamierzonym jakoby pozbawieniu Chaplina prawa pobytu w Stanach Zjednoczonych, została bardzo zimno przyjęta przez krytyków, a raczej recenzentów filmowych w Wielkiej Brytanii. Tym gorzej dla angielskiej krytyki! Jej poziom jest nie tyle niski, ile bardzo szczególny. Większość recenzentów traktuje z zasady film jako rozrywkę, a elitarna mniejszość (nomina sunt odiosa) przyznając kinematografii znamiona sztuki, tak pokochała smaczki, subtelności i efekciarstwo, że staje z reguły bezradna wobec dzieł prostych i szczerych. Tym nie mniej wśród powszechnego chóru dyskretnego i mniej dyskretnego rozczarowania znalazły się w prasie londyńskiej recenzje zatytułowane właściwym słowem: arcydzieło.

Limelight jest arcydziełem prostoty, której nie pojmuje umysł zarażony sztucznością, której nie chwycą nerwy oczekujące dreszczów. Tylko tyle? — pytają wyrafinowani zjadacze serów filmowych. Aż tyle! — odpowiada im wraz z tysiącami ludzi, którzy — wbrew krytykom — tłoczą się na *Limelight*, by obmyć swe myśli i uczucia w czystej krynicy bajki. Bo bajką jest najnowsze dzieło Chaplina, bajką andersenowską o dojrzałym starzejącym się wielkim clownie Calvero, który bierze pod swą opiekę wytrąconą z życia, biedną, chorą tancerkę, by przywrócić ją sztuce i uczynić primabaleriną, a następnie umrzeć za kulisami teatru, otrzymawszy po raz ostatni — od publiczności aplauz dla wielkiego artysty, a od młodości ocalonej — uśmiech szczęścia, miłości i wdzięczności.

Ta historyjka rozsypałaby się w rękach każdego przeciętnego, a nawet dobrego scenarzysty, czy reżysera, zmieniałaby się w banal, w sztampę, w ckliwy melodramat. Ale geniusz Chaplina uczynił z niej arcydzieło. Z początku podejrzliwie śledzimy klasycznie banalne, dobrze znane sytuacje: no, teraz się sypnie, teraz przeciągnie strunę. Ale nie, nigdy! Jak linoskoczek po linie nie kroczy Chaplin od sekwencji do sekwencji i wszystko to, co zapowiada się jako banal, zmienia się w poezję bajki. Wkrótce przestajemy go kontrolować — ulegamy czarowi wielkiej sztuki, przeżywamy to, co przeżył artysta. Nawet wtedy, gdy Chaplin w błazeńskim stroju clowna kłeka za kulisami, by modlić się

głośno o siłę dla wychowanki, tańczącej w swej pierwszej wielkiej roli — i może wtedy najśilniej — czujemy z nim razem, a rzadkie śmiechy na widowni budzą nasz niesmak.

Wydaje się, że film zawiera wiele momentów autobiograficznych. Odnosi się wrażenie, że po *Gorące złoto*, po *Światłach wielkiego miasta* — po serii filmów krytycznych, buntowniczych i druzgocących współczesne społeczeństwo, po gryzącej ironii i oskarżeniach *Monsieur Verdoux* — Chaplin wchodzi w siebie i z głębi własnego człowieczeństwa rzuca nam orędzie miłości bliźniego, zwykłej ludzkiej dobroci.

W akcję filmu — po raz pierwszy wśród dzieł Chaplina rozgadane, może nawet trochę przegadane — wtopiono kilka kapitalnych numerów clownowskich, przypominających najbardziej dawnego Chaplina. Choć w innym kostiumie, ale także z trzcinową laseczką.

Jak *Limelight* o dobroci, tak filmy francuskie *Casque d'or* i *Dedée d'Anvers* mówią, językiem sztuki, o wielkich pasjach. Pierwszy reżyserii autora *Goupi-Mains Rouge*, *Antoine et Antoinette* i uroczej komedii *Edouard et Caroline* — Jacques Beckera, drugi Yves Allegreta — oba dzieła opisują świat przestępców i prostytutek. *Casque d'Or* — to fragment z życia paryskiej kokoty *fin de siècle'u*, a *Dedée* — to dzieje paru nocy we współczesnym świecie antwerpskich „dziewczynek”, alfonsoów i przemysłowców. W obu filmach role tytułowe gra bardzo zdolna aktorka francuska Simone Signoret — w każdym inaczej.

Jak widzimy — tematy nie wonne, nie frapujące dla taniego moralisty. A jednak w dziełach tych nie znajdziecie apoteozy niemoralności. Przeciwnie, ich obejrzenie daje głębokie przeżycia. Obaj reżyserzy przy pomocy swej sztuki w sposób wysoce humanistyczny, lecz daleki od moralizatorstwa, pokazują uszlachetniające i spalające działanie ludzkich namiętności — obnażonych, nieugarniowanych drobnomieszczańskimi przystawkami, pierwotnych, bo odwiecznych i niezniszczalnych. *Casque d'or* jest ponadto dramatem zła ciągnącego zło i w tym sensie zbliża się do wymiaru tragedii.

Dzieło Beckera postawiłbym nieco wyżej w hierarchii wartości formalnych decydujących o dziele sztuki. Mimo pewnych odchyleń w stronę naturalizmu film zdumiewa kryształową kompozycją (scenariusz Beckera i Jacques Compagnéza), wspaniałym zespoleniem szczegółów w harmonijną, nasyconą nastrojem całość (której ważnym elementem jest świetna muzyka), grą protagonistów i świetną fotografią (piękne, charakterystyczne dla Beckera, poetyckie zbliżenia). Becker operuje przede wszystkim obrazem komponując swoje sekwencje z wyraźnym nawiązaniem do twórczości Toulouse-Lautreca, Renoira i Moneta. Jak zwykle w swej pracy, nie zaniedbuje żadnej okazji

dla charakteryzowania środowiska, którego literackie opisy tak często pojawiają się u Maupassanta, Zmysł dramatu góruje nad melodramatem.

Simone Signoret dała piękną kreację portretowanej kiedyś przez Lautreca Marie-Casque d'or: zmysłowej, cieszącej się życiem, zdobywczycielki i arogantki, a zarazem czulej i ofiarnej *femme fatale* świata apasów. Serge Reggiani zadziwił mnie w tym filmie swymi możliwościami: stworzył prawdziwą postać rzemieślnika, który ginie, porwany miłością i wartkim nurtem obcego środowiska — postać zwartą, skupioną, oszczędną i celną w każdym geście.

Dedée jest dziełem na wskroś realistycznym, każącym myśleć o wielkich osiągnięciach włoskich. Równie trafnie i oszczędnie charakteryzuje wybrane środowisko; wyżej podciągnął reżyser zespołową grę aktorów. Jako partner Signoret wystąpił znacznie słabszy od Reggianiego Marcel Pagliero, świetną kreację szlachetnego na swój sposób knajpiarza dał Bernard Blier, najczarniejszym z czarnych alfonsów (a mimo to człowiekiem, którego rozumiemy) jest Dalio.

Przechodząc do filmów anglosaskich, muszę zacząć od *Full House* wytwórni 20th Century Fox, będącego jeszcze jedną legitymacją artystyczną często grzeszącego przeciwko sztuce Hollywoodu. Amerykanie pokazali tym dziełem, że potrafią się uczyć od Włochów i z łatwością prześcigać Anglików. Mamy tu — po raz pierwszy w kinematografii amerykańskiej — pięć *paneau* filmowych na wzór *Paisy* czy *Trio* lub *Kwartetu* S. Maughama, ale tym razem opartych na twórczości znakomitego nowelisty i ciekawego człowieka H. Henry'ego, którego śmiało można nazwać amerykańskim Maupassantem.

Film otwiera dowcipna sekwencja więzienna godna klasycznego thrillera — tu całkiem na miejscu, bo, jak wiadomo, O. Henry (William Sydney Porter) siedział za życia w więzieniu za sprzeniewierzenie (3 lata i 3 miesiące). Następnie konferansjerkę obejmuje John Steinbeck, by sprezentować publiczności pięć nowel, z których na czoło wysuwają się „The Cop and the Anthem” — wzruszająca i bardzo zabawna historia trampa (Charles Laughton) poszukującego zimowego schronienia w więzieniu i „The Last Leaf” — prusowska w swym uśmiechniętym smutku i dobroci nowela o malarzu abstrakcjonście, który kosztem własnego życia wykonywa raz jeden naturalistyczne zamówienie, by uzdrowić biedną dziewczynę. Bardzo wybitną kreację gangstera w obrazku „The Clarion Call” stworzył Richard Widmark. W innych rolach takie gwiazdy ekranu, jak Dale Robertson, Anne Baxter, Jeanne Crain i Farley Granger. Poszczególne *paneau* wyreżyserowali po mistrzowsku H. Koster, H. Hathaway, J. Negulesco, H. Hawks i H. King. *Full House* przynosi zaszczyt filmowi amerykańskiemu i na pewno znajdzie zasłużone uznanie w oczach kulturalnej publiczności na całym świecie.

Mówiąc o filmach angielskich, nie mogę pominąć wilde'owskiej komedii „Brat marnotrawny” (*Importance of Being Earnest*), która na festiwalu weneckim słusznie otrzymała nagrodę za stylową oprawę. Reżyser Antoni Asquith świadomie nie zastosował tu pełnego języka filmowego. Dał sztukę teatralną, ale widzianą oczami filmowca, często przez silną lornetkę (zbliżenia), chwilami w kategoriach charakterystycznych szczegółów lub w poprzek uciętych postaci. Tekst sztuki potraktowano z angielskim pietyzmem dla klasyków: nieliczne dodane sceny są nieme; całość widowiska oprawiono w dowcipne dekoracje, a aktorów ubrano w doskonale, kolorystycznie zabawne kostiumy (technicolor). Asquith lubuje się w zbliżeniach, których technikę opanował wybornie. Ustawiając grupy aktorskie bardzo starannie, pozwala im tylko na minimum ruchu, często natomiast przerzuca kamerę. Świetnie mówionym tekstem, dekoracjami i ich charakterystycznymi szczegółami, a nawet rekwizytami (przezabawny pomysł umieszczenia pod kłosem torby, w której znaleziono noworodka Ernesta) — wydobyl reżyser styl i atmosferę sztuki Wilde'a i jego epoki. Role główne obok znakomitej Lady Bracknell w wykonaniu Edith Evans kreują: Michael Redgrave, Dorothy Tutin, M. Denison i M. Rutherford.

O filmie angielskim *Mandy* nie wspominałbym tutaj, gdyby nie fakt, nagrodzenia go w Wenecji nagrodą pedagogiczną. Jest to przykład dobrze wykonanego zamówienia społecznego — półdokumentalna *) historyjka głuchoniemej dziewczynki, Mandy, i jej niemądrego ojca, który, zamiast ułatwiać, utrudnia pracę instytutu dla głuchoniemych. Dziełem sztuki trudno to nazwać, ale film ten w sposób dość ciekawy pokazuje problem odpowiedzialności rodziców za dziecko oraz sposoby przystosowania ułomnych dzieci do życia w społeczeństwie. Uderza rozbieżność słabych partii scenariusza, dotyczących dorosłych, i doskonałych dziecięcych. Reżyseria A. Mackendricka. Niektóre sceny filmu, doskonale zagrane przez małą Mandy Hiller i głuchonieme dzieci, wywierają głębokie wrażenie.

Trzecim filmem brytyjskim, który uzyskał na festiwalu weneckim również pomniejszą nagrodę, jest pełnometrażowy obraz dokumentalny pt. *The Brave Don't Cry*. Jest to piąte z kolei i bodaj najlepsze dzieło zespołu młodych filmowców Group 3, stworzonego specjalnie po to, aby tanim kosztem kręcić filmy dające szansę wyżycia się i wybicia nowym talentom. Rzeczywiście filmy te kosztują zwykle trzy razy mniej od produkowanych przez stare wytwórnie brytyjskie.

The Brave Don't Cry to pokazana z wielkim umiarem historia autentycznej katastrofy w jednej ze szkockich kopalń węgla, gdzie stu górników zostało odciętych od szybów wylotowych.

*) Wbrew stałej praktyce emigracyjnego dziennikarstwa, a idąc za słownikami Szobera i Lehr-Splawińskiego, wolę używać prawidłowej formy „dokumentalny” a nie „dokumentarny”.

wych. Film zrobiony jest bardzo solidnie. Zespołowa gra mało znanych aktorów, jak John Gregson, Meg Buchanan i in., nie budzi żadnych zastrzeżeń a miejscami wnosi się na wysoki poziom. Ale zarówno reżyser jak kierowani przez niego aktorzy tak daleko posunęli słynny brytyjski „understatement”, że problem człowieka stojącego w obliczu śmierci został prawie zupełnie zatarty, a w każdym razie wyprany z metafizycznych czy religijnych treści. W rezultacie — ciekawe zresztą — sekwencje filmu sprowadzają się prawie bez reszty do przedstawienia techniki ratownictwa górniczego. Choć krytyka brytyjska nie szczędzi pochwał temu dziełu, dla kontynentalnego odbiorcy pozostanie ono zawsze cokolwiek nudne.

Nikt natomiast nie może się znudzić na innym filmie dokumentalnym, będącym obecnie sensacją Londynu, choć jest to film technicznie znacznie słabszy, bo nakręcony przez amatorów i to na wąskiej taśmie. Mam na myśli *Kon-Tiki Expedition* — sfilmowaną przez samych bohaterów romantyczną przygodę pięciu młodych uczonych norweskich i jednego Szweda, którzy dla udowodnienia teorii swego przywódcy, Thora Heyerdahla, że Wyspy Polinezyjskie zostały przed wiekami zaludnione przez białych ludzi, przybyłych morzem z Ameryki Południowej — zbudowali z balsy (bez użycia gwoździ) prymitywną tratwę i po stu dniach podróży, przebywszy 4.300 mil morskich, niesieni prądem Humboldta — dotarli do bezludnej wysepki polinezyjskiej. Napisany przez Heyerdahla pamiętnik tej niezwykłej podróży (odbytej w 1947 r.) stał się bestsellerem światowym. Na filmie widzimy ją — mimo braków technicznych, zrozumiałych w tych warunkach — w całym, wspaniałym patosie młodości i przygody. Skromnie i rzeczowo, słowami samego Heyerdahla i nakręconymi — nieraz z narażeniem życia — obrazami, film ten opowiada o bezinteresownej, naukowej pasji paru młodych ludzi, z których każdy w czasie wojny brał udział w ruchu oporu. *Kon-Tiki*, mimo że nie jest dziełem sztuki, daje głębokie i radosne przeżycie i rozszerza naszą wiedzę o świecie i człowieku.

KRYTYK.

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH

Bezpłatna wysyłka

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Książki

Bunt romantyczny nihilisty

(Rzecz o „Głosach Milczenia” A. Malraux)

Pamięci Konstantego Troczyńskiego

Grube książki bez systematycznej dyspozycji są zawsze trudne do omówienia. Krytyk musi znać rodzaj literacki książki i jej problematykę, by móc ją ocenić. W „Głosach Milczenia” i jedno i drugie jest nieuchwytnie. Książka ta ma pozory traktatu, ale nieustannie nawroty myśli, tendencja do sformułowań paradoksalnych i prowokacyjnych (prowokacja zdaje się tu zresztą być skierowana raczej na wewnątrz niż na zewnątrz, tj. do samego autora a nie do czytelnika), sprawiają, że czytelnik musi wkładać w lekturę wysiłek twórczy, równy niemal wysiłkowi autora. Wysiłku tego rodzaju wymagają zazwyczaj tylko poematy lub takie monstrualności stylistyczne, jak „Sezon w piekle” Rimbaud czy „Zaratustra” Nietzschego. Czyżby więc „Głosy Milczenia” były poematem?

Nie jest to w każdym razie ani psychologia ani też filozofia sztuki. Malarz jest artystą także i p r z e d o w y m „buntem” przeciwko mistrzom i światu, który mu daje oryginalność a nam każe go traktować jako geniusza. Można by powiedzieć, że Malraux nie interesuje się talentem, a więc tym, co wyznacza rodzaj, charakter i kierunek życia duchowego jednostki, która ma stać się lub staje się artystą. Interesują go geniusze, tj. artyści tworzący s t y l . Daremnie też szukalibyśmy opisu struktury psychologicznej procesu twórczego, mimo kilku prób w tym kierunku. Malraux w ogóle mało opisuje, cały jego wysiłek skierowany jest ku interpretacji, jeżeli nie wręcz ku polemice (znów: bardziej z sobą samym niż z określonym przeciw-

nikiem). *Essays* o El Greco, Tintoretto i La Tour zawierają właściwie tylko hipotezy dotyczące metod i motywów, które doprowadziły tych artystów do ich oryginalnej formy. Jako traktat filozoficzny, wreszcie, „Głosy Milczenia” nie wyjaśniają odrębności charakteru twórczości artystycznej (często zapomina się, że jest to książka o malarstwie) w stosunku do innych dziedzin twórczości. „Autonomia wobec świata i losu” nie jest bowiem wyłącznym przywilejem artysty. Dostrzegamy ją także w nauce, matematyce mają nadzieję — dzięki maszynom cybernetycznym — poświęcić się w przyszłości spekulacjom, których kryteria będą czysto... estetyczne, a nie jest chyba przesadą odkrywać tę autonomię u silnych indywidualności czynnych w polityce, technice, ekonomii. Ujawnienie sił Natury (w człowieku i poza nim) oraz wyłączenie, o ile możliwości, przypadku (w tym kierunku idziemy coraz śmielej) czynią z całej cywilizacji „anty-los” („l'art est un anti-destin” mówi Malraux).

Badanie indywidualności jest w sztuce szczególnie łatwe, osobowość rzeczywista artysty jest bowiem obojętna, a osobowość przedstawiona cała mieści się w dziele. I osobowość ma w sztuce widoczny i niewątpliwy rezultat: styl. Toteż Malraux „marzy o uchwyceniu procesu, dzięki któremu — w pewnym momencie dziejów — określone elementy indywidualne lub zbiorowe życia, wpłynęły na modyfikację form i uczyniły z dzikiego zamętu „słownika” Delacroix (tj. ze świata) język zarazem swoisty i suwerenny”. O tym procesie wiemy, istotnie, bardzo mało. Henri Focillon, który w „Życiu Form” (*Presses Universitaires de France*, 1947) dokonał syntezy badań historii sztuki nad formami stylistycznymi, ustalił właściwie tylko jedną zasadę (lub „prawo”, jeśli kto woli): „Najwyższa różnorodność doświadczeń i odmian jest funkcją sztywności ram, podczas gdy stan wolności nieokreślonej prowadzi nieuchronnie do naśladownictwa”. Jest to zasada cenna już przez to choćby, że nie jest arbitralna, ale wynika z pracy badawczej kilku pokoleń uczonych. Określa ona warunki autonomii artysty, tej autonomii, którą Malraux uważa za najwyższe osiągnięcie nie tylko estetyczne, ale moralne artysty. Bogactwo i swoboda, jakie stają się udziałem artysty, który narzuca sobie „sztywne ramy”, nie jest oczywiście niczym innym, jak klasyczną „wolnością w ograniczeniu” (sformułowaną przez Nietzschego jako „taniec w kajdanach”). Brak dobrowolnej dyscypliny zmusza do poddania się dyscyplinie obcej, zewnętrznej, więc albo innych artystów albo natury.

Główna zdobycz filozoficzna historii sztuki pozostaje więc w ramach zdrowego rozsądku, choć można mieć wątpliwości czy nie jest to jajko Kolumba, tj. czy prawda ta nie wydaje się nam oczywista dopiero po jej sformułowaniu? Ma ona bowiem charakter paradoksu, który polega na sprzeczności między dwoma pojęciami wolności i dwoma pojęciami bogactwa. Wolność absolutna jest niewolą, bogactwo największe największym ubóstwem — oto forma wewnętrzna tej zasady. Czyż bowiem — na

zdrowy rozsądek — „sztywne ramy” nie są niewolą tym gorzej, że dobrowolną i czyż Natura nie jest najbogatszym zbiorem form (klasyczne liście, z których każdy jest inny niż wszystkie inne)? Zasada Focillona (czy, jeśli kto woli, Goethego albo Arystotelesa) jest więc mniej banalna, niżby się na pierwszy rzut oka wydawało.

Nie wyjaśnia nam ona jednak, jak powstaje styl. Malraux czuje się wobec tego problemu tak bezradny, że rezygnuje z odpowiedzi na pytanie, jak powstał pierwszy styl i nawet malowidła prehistoryczne Altamiry traktuje jako „metamorfzę” stylu, który musiał istnieć wcześniej. Przeczy też stanowczo, jakoby styl mógł powstać z obserwacji czy naśladowania natury. Styl powstaje z „dobrowolnego ograniczenia się”, ale Malraux tego problemu nie rozwija, choć cała problematyka jego książki tu się mieści. Malarz tworzy dla tego, że istnieje malarstwo, a nie dlatego, że istnieje Natura. Sztuka jest odwieczna (dla nas jest nią rzeczywiście, bo nie znamy pierwszego dzieła sztuki, a przypuszczenie, że był nim cień, obwieszony konturem, jest tylko hipotezą, obciążoną zresztą wyrażonym, bo naturalistycznym, uprzedzeniem). Problem stylu nie tkwi w samej sztuce, ale w jej przemianach. Dlaczego jest coraz to inna? — oto pytanie zasadnicze.

Skąd się bierze różnorodność stylów (dlaczego nie ma stylu „neutralnego”), dlaczego nie ma jednego stylu, który dopuszczałby (lub nawet wymagał) udoskonalenia a wykluczał przewroty? Nie jest to bynajmniej problem akademicki. Raz dlatego, że istniał już taki styl, tj. że ci, którzy go tworzyli, uważali go za ostateczny, za ukoronowanie całej dotychczasowej sztuki: styl Renesansu, styl naszego okresu klasycznego. A po wtóre — i w tym punkcie zaangażowana jest cała namietność Malraux — że właśnie nasza epoka zdaje się stać wobec odkrycia stylu uniwersalnego, który obejmuje wszystkie style, a w każdym razie wszystkie arcydzieła — od najdawniejszych po współczesne i od najodleglejszych po europejskie. Ponieważ każdy wielki artysta współczesny ma swój własny styl — całe style przeszłe lub egzotyczne wydają się nam dziełami wielkich indywidualności, a nie zbiorowości, i dzięki temu interesują nas, jakby były nam współczesne.

Nasza niewierność wobec Renesansu, który wprowadzał do obrazu elementy Natury (takie jakie są uchwytne dla naszego oka: perspektywę, modelunek, oświetlenie), ale także postulaty, jakie stawia Naturze uszlachetniona natura ludzka (ideały), — ta zdrada stylu, który wydawał się metą, do jakiej dążył rozwój sztuki wielu stuleci i rezultatem pogodzenia dwóch światów: klasycznego i chrześcijańskiego w ostatecznej harmonii, — ten bunt przeciwko doskonałości nie tylko nie przyniósł nam rozkładu i ubóstwa, ale stał się źródłem bogactwa i pełni nigdy przedtem nie przeczuwanych. Ideał klasyczny o d c i n a ł nas od reszty kultur, jak szowinizm i pycha imperialna odcinają naród od reszty świata — nasza sztuka w i a ż e nas ze wszystkimi

kulturami i pozwala nam wprowadzić do naszego panteonu fundamentalne wartości wszystkich narodów i czasów. Przewrót ten dokonał się przez stopniowe wyzwolenie tego, co było tajemnicą artystów epok ubiegłych, a co dziś jest wolne i zupełnie samodzielne: wartości czysto malarskich. Po raz pierwszy nie są one na usługach innych wartości, po raz pierwszy artysta nie musi ich kamuflować, ale może je manifestować jawnie, swobodnie i wyłącznie. Co więcej, podporządkowywanie ich innym wartościom uważamy dziś za łamanie reguł dobrego smaku.

Sytuacja ta wydaje się na pierwszy rzut oka pocieszająca i godna zazdrości (wszystkich pokoleń, które jej nie zaznały). A przecież jest w niej coś niepokojącego. Jeżeli rzeczywiście wrażliwsi dziś jesteśmy na to, co wzruszało artystę gdy tworzył („ce qui lui donnait le plus violent désir de peindre”), to niewątpliwie obojętniejsi jesteśmy na to, co jego twórczości nadawało kierunek (a więc co go ograniczało). „Pietà” z Villeneuve nie wzrusza nas inaczej niż „Karciarze” Cézanne’a. We wzruszeniu tym łączymy się z Cézanne’em, ale czy łączymy się w nim z autorem „Pietę”? A jeżeli nie — to czy jesteśmy bogatsi od tego ostatniego, czy ubożsi? Innymi słowy: czy jego wzruszenie religijne było niższego rzędu niż jego wzruszenie artystyczne? (Pomińmy fakt, że znając wszystkie style, jakie poprzedziły styl „Pietę” i wszystkie, które nastąpiły po nim, nie możemy — my — przeżywać tego samego wzruszenia artystycznego). Jeżeli zaś było wzruszeniem wyższego rzędu — to czy Cézanne nie jest kaleką, a my razem z nim?

Na to pytanie Malraux nie znajduje odpowiedzi. Sztuka odkryła absolut, który łączy wszystkich artystów, a równocześnie umarły absoluty „partykularne” religii. Sztuka daje nam więc absolut „uniwersalny”. Co się jednak tyczy źródeł stylu, to grecki Apollo zmienia się w indyjskiego Buddę przez zamknięcie oczu i uśmiech, ale La Tour staje się sobą, tj. wielkim artystą, gdy zamienia bryły Caravaggia na płaszczyzny. Lecz znowu, El Greco znajduje swój styl gdy przeciwstawia barokowej retoryce włoskiej prawdziwe wzruszenie religijne (maluje nawet „pierwszy pejzaż chrześcijański”) a równocześnie zachowuje ruch włoskiego baroku, eliminując to co go wywołało — głębię. Rembrandt osiąga wielkość przeciwstawiając przepychowi holenderskiego mieszczaństwa — majestat Biblii, której duch zdaje mu się emanować z każdej postaci i każdego zaułka rotterdamkiego ghetta. Manet wreszcie staje się mistrzem, gdy w portrecie Clémenceau wyraża więcej siebie, niż osoby portretowanej. Etc. etc. Malraux mnoży przykłady, ale ich nie systematyzuje. Wynika z nich jasno, że wielcy malarze osiągnęli oryginalność na różnych drogach i wartości poza-malarskie (i poza-artystyczne) odgrywały w tworzeniu się stylów nie mniej doniosłą rolę, jak wartości czysto malarskie. Problem formy i treści pozostaje nierozwiązany. Tak samo nierozstrzygnięte pozostaje pytanie, czy np. Fra Angelico, związany ze

swoją epoką, był w stosunku do nas niedorozwinięty czy Cézanne kaleką. I wobec tego, oczywiście, styl „uniwersalnego humanizmu”, który rzekomo tkwi w zarodku w sztuce ostatnich osiemdziesięciu lat, pozostaje arbitralną hipotezą. Sztuka współczesna coś znaczy, jej formalizm (zresztą jak postaram się wykazać przy innej sposobności — pozorny, bo „absolut malarzski” nie jest kategorią ze słownictwa „malarzy pokojowych”) ma głębokie znaczenie, ale Malraux tego znaczenia nie wydobyl.

Malraux s t a w i a problem stylu a także problem treści i formy, i to bez końca, wciąż na nowo, ale uchyla się od jego rozwiązywania. Bo romantyczna teoria indywidualności, którą ewokuje za każdym razem, gdy jeden z tych problemów domaga się wreszcie swojej formuły (teoria, którą ożywia jakimś zacietym duchem przekory i polemicznym okrucieństwem, które stanowią urok stylu „Głosów Milczenia”) — nie rozwiązuje ich. Zapewne, artysta przeciwstawia się swoim poprzednikom, bo chce malować obrazy, „których jeszcze nie było” i które byłyby j e g o obrazami. Naśladuje ich więc, ale w końcu „niszczy ich obrazy”. Równocześnie artysta niewątpliwie przeciwstawia się „światu” (a od stu lat przede wszystkim swojej „epoce”, za co następna odwdzięcza mu się uwielbieniem bliskim ubóstwianiem), bo chce pokonać Los, który przez samotność, nieszczęścia i śmierć „przeżył mu” („C’est l’homme que les astres nient”) lub ratować wartości, których zaprzeczeniem są ideały epoki. Frazeologia i obrazowanie „Głosów Milczenia” każą nam jednak traktować twórczość artystyczną i jej tendencję do autonomii jako formę obłądki wielkości, a udział publiczności w sztuce jako rekompensatę za klęski w walce z losem lub jako nieporozumienie. Oczywiście, Malraux pragnąłby, by to nie było ani jedno ani drugie, ale raczej pocieszenie i nadzieja, że duch sztuki — wreszcie zrozumiały i łączący ludzi zamiast ich dzielić — odrodzi naszą cywilizację i „zjadaczy chleba w aniołów przerobi”; ale marzenie to, powtórzone w epoce atomowej, nie przestaje być pobożnym życzeniem. Ten sam charakter ma zapowiedź, że ukoronowaniem (lecz równocześnie, dialektycznie, przewycięzeniem) sztuki współczesnej będzie odrodzenie kultury, które przybierze formę albo cywilizacji amerykańskiej, albo hegemonii sowieckiej albo też rezurekcji Europy.

Zasługą Malraux pozostanie podkreślenie, że zagadka twórczości artystycznej musi być rozwiązywana w terminach filozofii, a nie psychologii czy np. kinematografii. Jego lektura filozofów niemieckich zatrzymała się jednak na Nietzschem, podczas gdy zagadnienia, jakie dziś stawiamy filozofowi sztuki, wymagają metod i terminologii husserlowskich. (Nb. kiedyż napisany zostanie malarski odpowiednik dzieła wybitnego husserlisty lwowskiego, Romana Z. Ingardena „Das Litterarische Kunstwerk”?).

Próba potraktowania „Głosów Milczenia” jako traktatu prowadzi więc do wniosków, które każdy czytelnik książki mu-

si odczuć jako niesprawiedliwe dla autora. Ograniczyliśmy się w tej szkicowej, a przecież przydługiej analizie do jednego aspektu tej książki: jako próby filozofii sztuki, lecz Malraux porusza w niej także zagadnienia z zakresu filozofii czy krytyki kultury, np. zagadnienie najwyższych wartości naszej cywilizacji, problem pozycji artysty w społeczeństwie burżuazyjnym itd. Problemy te są równie palące jak problemy sztuki nowoczesnej i Malraux znajduje dla nich sformułowania świetne, często głębokie. Piszący te słowa wyznaje, że wypisał z „Głosów Milczenia” kilkaset aforyzmów, do których zamierza zaglądać jak do „Wiedzy Radosnej” Nietzschego czy „Myśli” Pascala.

Jeżeli więc „Głosy Milczenia” nie są traktatem, to czym są? Ta książka jest elegią — elegią na zgon osobowości. Nasza cywilizacja przeczy przede wszystkim osobowości, której chrześcijaństwo było tylko wykładnią, egzegezą. W obliczu tego niebezpieczeństwa Malraux sięga do sztuki, gdzie znajduje wyraz jedną z najkompletniejszych prób ukonstytuowania osobowości, by... Właśnie, czego szuka Malraux na śladach osobowości w sztuce? Wzoru? Pocięchy? Może i jednego i drugiego. Ale gdy trudno powiedzieć, czego szuka, łatwiej określić, co znajduje. W „Głosach Milczenia” kontemplujemy, cośmy stracili tracąc ideał osobowości. Jest to kontemplacja długa, przejmująca i smutna. Książka ta ma kolor zachodu słońca, jego ciszę, jego majestat i jego złe przeczucia. Przed nami roztacza się wspaniałe widowisko, dzień, który nas żegna w wielkim, syntetycznym geście jakby błogosławieństwa i żalu, nad nami nachyla się noc i otula nam ramiona swym chłodem. Trwamy tak, bo odwrócić się i spojrzeć w twarz Nocy nie mamy odwagi.

Niemal wszystkie elementy książki Malraux są nietzscheańskie. Przed ostatnią prawdą Nietzschego, tą, która go załamała, Malraux cofa się jednak. U autora „Condition Humaine” jest to tak dziwne, że aż niezrozumiałe. Po czterdziestce („przed czterdziestką nie wiemy, co myślimy” — pisał) Nietzsche rozumiał, że jest nihilistą. Malraux nie chce być nihilistą, jest w każdym razie przekonany, że jego „humanizm uniwersalny” nie jest nihilizmem. Lecz jeżeli nie jest nihilizmem — jest pustym gestem. Najgorsze, co może spotkać „Głosy Milczenia”, to gdy wokół tej książki rozwinie się snobizm. Poci Breton, Ponge i Reverdy już dali hasło prowokujące na razie komunistę Aragona. Ten kamień może wywołać lawinę!

Nihilizm jest naszą prawdą. Absolut człowieczeństwa, jaki Malraux odkrywa w wielkiej sztuce i który — ujawniony przez Manetę, Cézanne’a i ich następców — ożywił nam nie tylko muzea sztuki, ale nawet muzea antropologiczne i humanizm uniwersalny, który w oczach Malraux wyrasta z tego absolutu jako gwarancja powrotu Europy do jej utraconego (a może ukradzionego) dziedzictwa — dziedzictwa politycznego, bo o nie chodzi autorowi przede wszystkim — te dwie wizje (bo to są wizje, nie pojęcia), są tarczą, jaką Malraux wystawia na piekielny żar nietzscheańskiego nihilizmu.

„My, którzy wkładamy wartości w rzeczy, by inni je tam odkrywali...” i „Będę się strzegł przepisywać masom ich sposób myślenia” — ten apel jest do nas zwrócony. Możemy się od niego uchylić, nie powinniśmy go umyślnie fałszywie interpretować. Artysta wkłada wartości w rzeczy, to niewątpliwe. Ale artysta, który by chciał rządzić, przestanie wkładać wartości w rzeczy. Funkcją artysty jest proponowanie, nie realizowanie. Funkcją artysty jest może nawet mistyfikacja, co tłumaczyło by, dlaczego jest — wraz ze swoją pogardą dla społeczeństwa — tolerowany. Lecz artysta ma zdrowe poczucie swego ograniczenia: daremnie ciągnie go Malraux za polity. Nie ma „sekt artystów dążących do władzy” — artysta dziękuje za komplement i wraca do sztalug.

Nie ma w sztuce nadziei, której Malraux w niej szuka. Muzea nie są przepelnione wyznawcami, ale ciekawymi. Jeżeli muzea nie są rozsądnymi duchami rewolucyjnymi — a nie są — to znaczy, że masy są godne swej elity. Artysta woła na puszczy. W sztuce nie ma na nic zadatku. Nasza cywilizacja przebiega mimo sztuki. Jej łoskot, jej pęd bezsensowny, jej eksploatacja dusz i korupcja ducha przerażają nas, ale sztuka nas przed tym Złem nie obroni. Ten kościół nie ma władzy nad światem. Jest to kapliczka przydrożna dla znużonych szlachetnych. Dobrotliwy lub złowieszczy kapłan solipsystyczny, który w nich do nas wychodzi, nie ma dla nas pocięchy. Może nas tylko zabrać do swego klasztoru, ale każdego z osobna. A powołanych jest niewielu.

Myśl zawsze jest spóźniona w stosunku do rzeczywistości; gdy Nietzsche odkrywał swój nihilizm, od dwóch pokoleń rządzili światem nihilisci. Jakże wydrzemy władzę z rąk tych, którzy wkładają w rzeczy wartości, odkrywane przez tłumy z mieszanymi uczuciami, ale z wieloma wyrazami wdzięczności! Jakże pociągniemy za sobą masy, które wyrastają nam nad głowę wraz z maszynami, wskazując im na przykład wielki ideał osobowości! Masy osobowości nie mają.

Najgłębszy nurt „Głosów Milczenia” przebiega w pustce, w przeraźliwej pustce niewyznanego nihilizmu. Ale poza najgłębszym nurtem, poza samotnością, jest w tej książce jak w człowieku, wiele spraw, które wiążą ze światem, z ludźmi, z dziełami ludzkimi, z myślami wspólnymi i wspólnymi wzruszeniami. Żyjemy tym marginesem i do tego marginesu w „Głosach Milczenia” będziemy wracali. Może „komunia”, nad której utratą Malraux tak boleje, nie jest niczym innym, jak ta „nieosiągalna pełnia człowieczeństwa”, którą geniusze transcendują cywilizację „jakby odwoływali się do sił, których one w sobie nawet nie przeczuwają”, tzn. może jest tylko apelem, za którym idziemy albo nie idziemy, a jeżeli idziemy, to zawracając w pół drogi do swojej samotności, by znów dać się wyciągnąć na drogę i znów zawrócić w pół drogi. Bo może Los jest niewyciężony jak śmierć i jedyne, na co nas stać, to stwa-

rać sobie pozór zwycięstwa nad nim, pozostawiając po sobie dzieło. Ale czyż i dzieło nie jest częścią naszego losu?

Nie ubóstwiamy cywilizacji, kultury, polityki. Nie jest ona naszym światem, jest losem, który spotyka nasz świat i nas razem z nim. „Stawanie się” nie zastąpi nam Bytu, ale gdy się nie stajemy, choć trwamy i przemieniamy się i gdy Byt jest dla nas legendą tylko — legendą, której echa szukamy w muzeach, bo kościoły nam opustoszały — trwajmy z podniesionym czołem i choćby bez nadziei.

Prócz hedonistycznych i estetycznych, zawiesiliśmy wszystkie wartości (nawet ekonomiczne). To nasze **dzieło** je zawiesiło: przemysł, myśląc wszystkie. Stworzył on nową cnotę: oportunizm lajdacki i nowy styl, nieznanym Naturze: walkę o byt solidarną, zwartą i zaciętą. Zawiesiliśmy wszystkie wartości — mniej odważę swojej zbrodni.

A zdolni pisarze niech nam dadzą psychologię i socjologię (oraz filozofię zawodową!) finansisty, kapitana przemysłu, dyplomaty amerykańskiego, członka Politbiura, dostojnika kościelnego, przywódcę komunistycznego i gangstera. Zrozumiemy wtedy epokę, w której żyjemy i jeżeli nadzieja nie jest dość silna, by nas z niej wyprowadzić, może zmobilizuje nas oburzenie. Psychologia artysty nie jest umoralniająca — bo artysta wypracowuje osobowość fikcyjną, ani poruszająca — bo bunt artysty jest mistyfikacją. Sztuka nie jest sztandarem.

Jan ULATOWSKI

Przedpotopowy prorok

Pomimo otrzymanej przed dwoma laty nagrody „Prix Saint-Beuve”, Raymond Abelio jest we współczesnej literaturze francuskiej samotną postacią. Jest on może najmniej literackim pisarzem tego najbardziej literackiego kraju. Literatura jest dla Abelio pretekstem — celem jest misja, wieść — un message.

W jego powieściach występują cztery kategorie postaci: komuniści, skrajna prawica reakcyjna, „intelektualni liberalowie” i tajemnicze figury, które „wiedzą”; będzie to oderwany od prawomysłnego katolicyzmu mnich, stary prowincjonalny ap-

ABELIO, Raymond, *Les yeux d'Ezéchiel sont ouverts*, St. 371, Ed. Gallimard, Paryż, 1949; *Heureux les pacifiques*, str. 444, Ed. Le Portulan, Paryż, 1950; *Vers un nouveau prophétisme*, str. 211, Ed. Gallimard, Paryż; *La bible, document chiffé*, Gallimard, Paryż.

tekarz który odkrył szyfr Biblii, diaboliczny esteta, wreszcie młody bohater książki, który zaczyna od komunizmu, przechodzi do reakcji i po drodze znajduje nie Ariadny, która przeprowadzi go do serca labiryntu tajemnic. W książkach tych nie ma śladu interpretacji psychologicznej, wszystkie postacie są megafonami własnych „tez”, nie ma nigdzie iskry życia, nie ma śladu tej prawdy uniwersalnej, która jest jedynym usprawiedliwieniem powieści. Mimo to książki Abelio są ciekawe, są napisane z pasją i z uporem i dają na rzeczywistość współczesną odmienne, ściśle osobiste naświetlenie. Ta oryginalność sprawia, że świat Abelio najpierw nas zadziwia, a potem przykuwa naszą uwagę, tak jak każdy obraz świata zamkniętego dla nas, którym rządzią odmienne prawa, gdzie zewnętrzne, jawne poczynania są powierzchowną grą cieni pod którą kryją się głębsze, tajemne, nieznane nam dotąd motywy. Powieści Abelio są przeciwieństwem współczesnej powieści psychologicznej, w której bliższe jest punktem wyjścia i celem, w której odnajdujemy bliższe nam lub dalsze, lecz zawsze znane i zrozumiałe reakcje, dążenia, motywy. Ludzie Abelio poruszają się w myśl głębokiego planu, w którym rozpoznamy trzy oblicza autora: ezoteryczną erudycję, francuski racjonalizm i logikę i głęboki antyhumanizm.

Z czterech kategorii postaci, o których wspomniałem, jedna tylko ma pełną świadomość: postacie które „wiedzą”, które przez swą wiedzę tajemną świadomie uczestniczą w tej ewolucji (czy inwolucji) duchowej, którą jest dla Abelio historia. Ci są oczywiście „po stronie aniołów”. „Po stronie diabła” nie stoją ani komuniści ani „faszyści”. Rola ta przypadnie liberalnym zachodnim intelektualistom, którzy dla Abelio są wcieleniem Lucyfera, upadłego anioła głodnego wiedzy i poznania. Prawdziwa wiedza, „wiedza tajemna”, jest dla nich zamknięta, ale mają oni „oczy otwarte”, oczy tajemniczego koła Ezechiela. Najbardziej zjadliwe uwagi Abelio są skierowane wyraźnie pod adresem Sartre'a, którego jasność intelektualna i przekreślenie elementu „spirytualnego” wydaje mu się najgroźniejszym objawem duchowego rozkładu ludzkości.

Abelio nie jest powieściopisarzem (mówi on zresztą wyraźnie, że „Powieściopisarzem” jest diabeł — powieściom przypisuje rolę rozkładową). Jeśli napisał „Les Yeux d'Ezéchiel Sont Ouverts” i „Heureux les Pacifiques”, to dlatego zapewne, że powieści bywają czytane, że łatwiej powieścią zwrócić na siebie uwagę. I tak jak wszystkie powieści napisane bez wyobraźni dla z góry założonej tezy, książki Abelio powiedzą nam wiele o jego własnym życiu. Kim jest Abelio? Wiemy o nim tyle, że żyje dziś w Szwajcarii, że nie ma prawa powrotu do Francji, gdyż skazany jest za kolaborację z Niemcami, że w swoim czasie zbliżony był do komunistów. Wszystko się zgadza: komuniista, faszysta, oświecony „mag” — to wszystko wcielenia autora. „Diaboliczny” intelektualista liberalny — to zapewne ten nieprzyjaciel, który miał większe powodzenie li-

terackie, który w czasie wojny był w Résistance i może w czasie procesu świadczyć przeciw autorowi.

Dzieło Abelio jest jednak właśnie tym irytujące, że nie można go przekreślić w myśl powyższych uwag. Abelio ma istotnie duże wykształcenie ezoteryczne, jest doskonale zorientowany w całej dziedzinie „wiedzy tajemnej”, hermetycznej, która jak podziemna rzeka płynie równolegle do świadomej historii i kultury zachodniej (płynie nurtem pitagorejskim, gnostycznym, nurtem Kabały i alchemii, łączy się czasem na powierzchni z pewnymi mistykami i scholastykami, z Mistrzem Eckhartem i Swedenborgiem, degeneruje w różokrzyżowców). Abelio pełnymi rękami czerpie również w wielkim i nie dość wyzyskanym skarbcu wiedzy o człowieku i jego najgłębszych motywach, o „podświadomości ludzkiego gatunku”, który w ostatnich dziesiątkach lat zgromadzili socjologowie, historycy religii czy psychologowie jak Mannhardt, Frazer, Dumézil, Roger Caillois, Mircea Eliade, zaś od strony psychologii Jung. Istotnym dowodem tej erudycji jest jego niewątpliwie ciekawa niedawno wydana książka pt. „La Bible, Document Chiffré”, w której Abelio porządkuje i odkrywa na nowo szyfr Starego Testamentu. Ale najciekawszą książką Abelio jest dla laika niewątpliwie „Vers un Nouveau Prophétisme (Essai sur le rôle politique du Sacré et la situation de Lucifer dans le Monde Moderne)”.

W książce tej Abelio daje nam uniwersalną teorię, wytłumaczenie sensu i mechanizmu świata od Genezy do Apokalipsy (operując pojęciami chrześcijańskimi).

Zasadniczym twierdzeniem Abelio jest, że duch i materia połączone są prądem życia, który zarazem jednoczy je i różni. Prąd ten uczony nazwie energią, mistyk zaś miłością uniwersalną. Człowiek nie jest zatem przejawem dualizmu materii i ducha, ale rodzajem akumulatora czy transformatora energii, zależnie od jednostek silniejszym lub słabszym, który jest w stanie przesunąć swój zasób energii z jednego poziomu na drugi: „wzwyż” lub „w dół”. Życie każdego bytu (życie każdego człowieka, historia każdego świata) składa się z następujących po sobie cykli, które Abelio nazywa Ewolucją i Inwolucją. Życie ludzkości zawiera — słowami Abelio — „serię cykli otwartych, postępujących spiralnie, złożonych każdy z jednej Ewolucji i z jednej Inwolucji” (nie powinno nas dziwić, że Abelio wspominać będzie jako o „przeszłych cyklach” ludzkości — o Lemurii i Atlantydzie). Inwolucja oddzielona jest od Ewolucji tego samego cyklu krótkim okresem gwałtownej przemiany o charakterze epigenetycznym, który Tradycja zwie Potopem. Składną, każdy koniec Ewolucji zestrzaja się bez szoku z początkiem Inwolucji następnego cyklu. Wszystkie te otwarte cykle są zresztą „częścią” jedyne go cyklu, który początek swój bierze z prymordialnego chaosu i do niego powraca (cykl manifestacji). Koniec cyklu manifestacji zwie się Apokalipsą: jest to ostatni potop, błyskawiczny, poza czasowy i to-

talny. W każdym cyklu ludzie dzielą się na trzy wielkie klasy, zależnie od „stopnia uduchowienia”. Podział ten stanowi o ich pozycji i ruchu wewnątrz cyklu (a również wewnątrz cykli podrzędnych), a zwłaszcza o ich losie w epoce potopu. Abelio nazywa te trzy kategorie podług Bhagavad Gity: Tama (nieświadomi lub nieruchomi), radża (czynni) i sattwa (oświeceni).

Ciekawą stroną książki Abelio jest podstawienie Współczesności, wszystkich jej zjawisk religijnych, politycznych i intelektualnych pod ten ezoteryczny schemat. Abelio umiejscawia chwilę obecną pod koniec cyklu Inwolucji w przeddzień „potopu”, po którym rozpocząć się ma nowy cykl Ewolucji. Jak w każdym momencie poprzedzającym potop, poszczególne grupy ludzkie odgrywają w nim rolę czynną lub bierną, świadomą lub nieświadomą. Nieświadomi i nieruchomi (Tama) — to bierna ludzka masa, „the Common Man” wirujący w dół pod przewodnictwem czynnych (Radża) wojowników (polityków) i techników, którzy sami nie zdając sobie z tego sprawy działają w myśl planu nakreślonego przez najbardziej świadomych spośród nich, nazwanych przez Abelio „Lucyferianie”. Elita Lucyfera już od trzydziestu lat obrała sobie za siedzibę Francję i operuje poprzez paryską awangardę literacką i filozoficzną. Główne jej osiągnięcie — to nihilizm, indywidualizm doprowadzony do ostatecznych logicznych granic i „telluro-htonizm”, obudzenie tajemnych sił drzemających w „ziemi”, we krwi, w podświadomości indywidualnej i gatunkowej. Polityczne oblicze Lucyfera — to oczywiście Trzecia Siła, liberalizm, pacyfizm, humanitaryzm i neutralizm, pomiędzy dwoma „telurizmami imperialistycznymi” — amerykańską technokracją i sowieckim marksizmem. Abelio zapowiada poważnie nawrót do Magii, naukowe wykorzystanie przez technokratów „ludzkiego akumulatora energii”. Wszystko „pędzi w dół”, w kierunku „przebicia podłogi” nauki materialistycznej i rozpętania potencjalnych sił potopu. Gdzie leży nadzieja na Arkę, która pozwoli ludzkości przejść poprzez potop w nowy okres Ewolucji? Według Abelio nadzieja ta leży wyłącznie w „jednostkach sattwiczych”, z których ukonstytuuje się przyszła kasta przewodników i proroków. Skąd będą się te jednostki rekrutować? Z kościoła katolickiego (klasztor), z marksizmu („oświeceni” komisarze) i wreszcie spośród intelektualistów, których dotknie łaska.

„W kierunku nowego Proroctwa” jest książką, której nie sposób streścić: pozostaje jedynie dość przypadkowe baidurzenie na poziomie proroctw Wernyhory. Nie należy również zapominać, że wszelkiego rodzaju pseudo-ezoteryczne teorie, antropozofie, „biblioteczki wiedzy tajemnej” są ulubioną strawą pół-inteligentów. Biblia, Bhagavad Gita, Tao, Kabała, piramidy — to wszystko stanowi z pewnością niewyczerpaną kopalnię mądrości i wiedzy, przeczuć i intuicji. Abelio jednak uważa, że wszystko rozwiązał, że godzi Platona i Proroków, Jogów i Einsteina. Więcej miałbym w tej dziedzinie zaufania do starego

rabina Chasyda (choć nie słyszał może nigdy o Einsteinie), niż do Abelio. Tym nie mniej Abelio wykazuje ekwilibrystykę dużej klasy poziomą swą erudycję, trafnością poszczególnych intuicji, umiejętnością powiązania tak różnych elementów w logiczną (choć bezpodstawną) całość. Abelio jest wreszcie charakterystycznym symptomem czasów żyjących pod znakiem teorii metafizycznej.

KAJ

« Le Messie »

Pułkownik Rémy znany jest jako autor „Mémoires d'un Agent Secret de la France Libre”, książki, w której opisał swoją działalność we francuskim ruchu oporu. „Le Messie” jest jego pierwszą powieścią. Temat jest aktualny i sensacyjny: misja księdza katolickiego wysłanego przez Watykan do Polski, aby w cywilnym przebraniu i pod przybranym nazwiskiem krzewić wiarę wbrew prześladowaniom.

Powieść zaczyna się od tajnego zebrania w Rzymie: sześciu młodych księży otrzymuje instrukcje od biskupa i księdza, który właśnie powrócił do Rzymu z podobnej misji. Jednym z młodych księży jest Gerard, syn polskiego emigranta z Francji. Celem misji Gerarda będzie Polska, ściślej mówiąc Chelmem i Lwów (!), gdzie polski rząd komunistyczny organizuje fałszywe seminaria, mające wydać „fałszywych księży”, szkolenych przez „księży renegatów”.

W drugim rozdziale Gerard przechodzi granicę wschodnich Niemiec (brutalny żołdak Niemiec-komunista zabija na jego oczach dwoje niewinnych dzieci). Na Węgrzech Gerard zaczyna być tropiony przez MVD, które go aresztuje w Rumunii po tajnej mszy w piwnicy. Tu zawiązuje się dramatyczny wątek powieści: szefem tajnej policji rumuńskiej jest dystygowany, piękny starszy pan, który naumyślnie mówi po francusku nawet ze swoimi agentami, i który okaże się księdzem-renegatem. Renegat nienawidzi Boga i poświęcił się całkowicie diabłu. Podłym podstępem wyludzi od Gerarda zeznanie, że jest szpiegiem amerykańskim wysłanym przez Watykan i płatnym dolarami. Kościół katolicki jest niemal skompromitowany. Renegat konfiskuje podróżne puzderko Gerarda i wraca do domu, gdzie w salonie pełnym zbytku i smaku czeka na niego kochanka, niemłoda już lecz jeszcze powabna, wywodząca się z jednego z pierwszych

REMY, *Le Messie*. Editions du Rocher, Monaco, 1952, str. 254. Cena 420 fra.

bukareszteńskich domów publicznych, który opuściła, aby wyjść za bogatego ziemianina. Renegat otwiera puzderko i znajduje w nim hostię. Ukazuje się Belzebub w postaci ogromnego cienia na ścianie i zaczyna miotać błuźnierzstwami przez usta kochanki. Oczywiście w tym momencie następuje przemiana duchowa renegata, który pędzi do więzienia, wypuszcza Gerarda na wolność, wysyła go w dalszą drogę własnym samochodem (szofer jest na szczęście katolikiem), i oddaje się w ręce policji, aby męczeństwem okupić swe dawne grzechy!

Książka napisana jest stylem spotykanym zazwyczaj w tych powieściach o hrabinach i pięknych cyganach, które w kioskach stacyjnych pokryte są grubą warstwą pyłu. Wydawca „Mesjasza” powołuje się na piękną powieść Graham Greene’a „The Power and the Glory”. Jest to dziwne nieporozumienie: powieść Greene’a jest głęboko ludzkim, psychologicznie pasjonującym dramatem „złego księdza” katolickiego w Meksyku, którego słabość i wady zwyciężone są przez nadprzyrodzony charakter kapłańskiej misji. W książce Rémy zamiast postaci, mamy konwencjonalne typy. Zamiast psychologicznego dramatu — banalną frazeologię. Rémy nie jest powieściopisarzem, nie umie nas nawet przekonać, że jest katolikiem. „Le Messie” nie ma wreszcie żadnej wartości informacyjnej, nie istnieje jako „reportaż” (czego dowodzi zarówno nieznanomość granic dzisiejszej Polski, jak brak jakiegokolwiek konkretnej informacji o reżimie komunistycznym).

Równie schematyczny i naiwny obraz świata, w którym komuniści są „zli”, głupi, brutalni i techorźliwi, „katolicy” zaś „dobrzy”, ofiarni, odważni i subtelni przypominają nam pewne wojenne filmy amerykańskie, w których Niemców można było od razu poznać po zwierzęcych, zdegenerowanych twarzach, lub krajowe elukubracje o „Zachodzie”, gdzie sprzedawcy amerykańscy przeciwstawieni są komunistycznym rycerzom bez skazy. Muszę powiedzieć, że jeśli powieść jest w tym duchu napisana, staje mi się po paru stronach całkowicie obojętne, kto jest po stronie anioła, kto po stronie diabła.

KAJ

Ludzie poza prawem

Magister praw Uniwersytetu Jagiellońskiego p. Edward J. Mueller otrzymał stopień doktora „obojga praw” uniwersytetu we Fryburgu na podstawie pracy pt. „Grundzüge der Stellung des Fluechtlings im geltenden Voelkerrecht”. Doskonała praca dr Muellera, która stanowi rodzaj prawnej monografii zagadnienia uchodźców — budzi różnorakie refleksje. Przede wszystkim, obecne poglądy w tej dziedzinie jeszcze ciągle

oparte są na dogmacie całkowitej suwerenności władzy państwowej w stosunku do obywateli. Innymi słowy, obywatel suwerennego państwa w obecnym stanie rzeczy nie może powołać na swą obronę norm prawa narodów. A więc nawet elementarne prawa „człowieka i obywatela”, które opinia uważa za obowiązujące w stosunku do wszystkich ludzi bez względu na kolor skóry i wyznanie — w praktyce wiszą w próżni i każde suwerenne państwo może owe prawa w całości, lub częściowo zawiesić. Wolność ludzka nie jest pojęciem międzynarodowym i nie korzysta z międzynarodowej ochrony.

Sytuacja uchodźców, nie będących obywatelami suwerennego państwa, które udzieliło im schronienia — jest beznadziejna. Z 20 państw, które podpisały konwencję o statucie uchodźców w r. 1952 — ani jedno dotąd nie ratyfikowało tej konwencji a trzeba sześciu ratyfikacji, by konwencja mogła wejść w życie. Jak długo to nie nastąpi, uchodźcy stoją poza prawem. Zagadnienie uchodźców jest jedynie fragmentem kardynalnego problemu naszej epoki tj. wolności powszechnej. Zarówno prawo do wolności narodów, jak i prawo do wolności obywateli w ramach suwerennych państw — musi być wyposażone w sankcje międzynarodowe. Lecz realizacja tych postulatów byłaby możliwa jedynie w ramach światowej społeczności narodów.

LONDYŃCZYK

Książka w cenie fr. szw. 5,50. Konto czekowe dr. iur. Edward J. Muller, Bern 111 7929.

RADEGAST

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA I AGENCJA CZASOPISM
MAIL ORDER BOOKSELLERS and NEWSPAPERS AGENCY

570 Aberdeen Ave., WINNIPEG, Man.

poleca największy wybór książek o treści rozrywkowej, religijnej, naukowej. Książki wydane na emigracji i w Kraju. Ostatnie wiadomości.

Przedstawicielstwo „Kultury”, „Wiadomości”, „Orla Białego”, „Życia”, „Gazety Niedzielnej”, „Robotnika”, „Pokrzyw” oraz czasopism dla dzieci i młodzieży

KATALOGI WYSYŁAMY NA ŻĄDANIE

Najchętniej udzielamy wszelkich informacji.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

PAWLIW - BIEŁOZIERSKI (O.). *Djawi pognoblenyj.* (ukr.). Powieść hist. w 2-ch częściach. Str.: Cz. I-sza — 104; Cz. II-a — 128. (Nakł. Kooperatywnego Wydawnictwa „Zagrawa”. Blomberg (Lippe, Niemcy, 1948).

WNUK (W.). *Wiosna nad Moltawą.* Str. 191 z 29 ilustracjami. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1952).

GOŁUBIEW (A.). *Bolesław Chrobry.* T.I.: „Puszcz” — str. 365, T. II.: „Szło nowe” str. 520, T. III.: „Zle dni” — cz. I. str. 388, Cz. II. str. 450. (wyd. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1952).

UNDSET (S.). *Olaf syn Auduna.* T. II. Str. 445. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1952).

REMY. *Le Messie.* Pp. 254. (Editions du Rocher, Monaco, 1952, frs 420).

DHOTEL (A.). *Bernard le paresseux.* Pp. 316. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, frs 590).

GARY (R.). *Les couleurs du jour.* Pp. 267. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, frs 575).

WERNER (B.E.). *Le bateau des esclaves.* Traduit de l'allemand par Jacques Martin. Pp. 452. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, frs 950).

JUENGER (E.). *Heliopolis.* Traduit de l'allemand par Henri Plard. Pp. 383. (Ed. Plon, Paris, 1952, frs 750).

GIBEAU (Y.). *Allons z'enfants...* Pp. 381. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952, frs 645).

ANGLADE (J.). *Le chien du Seigneur.* Pp. 256. (Ed. Plon, Paris, 1952, frs 450).

SAMCZUK (U.). *Ost. Powieść w trzech tomach.* (ukr.). Tom I.: *Morozino Chutir.* Str. 584. (Wyd. Michał Boreckij, Regensburg (Niemcy, 1948).

SAMCZUK (U.). *Wolność. Powieść-kronika w 3-ch częściach.* Cz. I.: *Kudy tiecze ta riezka* (wydanie trzecie). Str. 314. (Wyd. autora, Toronto, (Kanada), 1952).

WOUK (H.). *Ouragan sur D.M.S. „Caine”.* Traduit de l'américain par Jean Rosenthal. Pp. 580. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952, frs 825).

HISTORIA

HAGEN (W.). *Le front secret.* Traduit de l'allemand par Albert Thumann. Pp. 419. (Ed. Les Iles d'Or (Diffusion Plon), Paris, 1952, frs 840).

MARCHAND. *Mémoires.* Publiés d'après le manuscrit original par Jean Bourguignon, membre de l'Institut. V.I.: *L'île Elbe — Les cent-jours.* Pp. 273. (Ed. Plon, Paris, 1952, frs 795).

SUAREZ (G.). *Briand.* 1923 — 1932 (Vol. VI). Pp. 380. (Ed. Plon, Paris, 1952).

GIGNOUX (C. J.). *Lénine.* Pp. 218. (Ed. Les Iles d'Or (Diffusion Plon), Paris, 1952, frs 435).

AUPHAN (Amiral). *Les échecs de l'histoire ou L'éclatement des empires coloniaux de l'Occident.* Pp. 360. (Ed. Les Iles d'Or (Diffusion Plon), Paris, 1952, frs 795).

OGŁOBLIN (O. prof. dr). *Moskowska teoria III Rimu w XVI — XVII stol.* Str. 55. (Wyd. Cerkiwno-archeograficzna Komisja Apostolskiego Wizytatora dla Ukraińców w Zach. Europie, Monachium, 1951).

WASILENKO - POŁONSKA (N., prof. dr). *Teoria III Rimu w Rosji protyagom XVIII ta XIX stol.* Str. 48. (Wyd. Cerkiwno-archeograficzna Komisja Apostolskiego Wizytatora dla Ukraińców w Zachodniej Europie, Monachium, 1951).

RÓŻNE

STAHL (Z.). *Idea niepodległości i siły u Józefa Piłsudskiego.* Str. 22. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego, Oddz. w Londynie, 1952).

DĄBROWSKI (R.). *Sto dni Musso-liniego.* Str. 333 plus Indeks naz-wiak. (Wyd. Składnica Książki Polskiej, Buenos Aires, 1952).

JANTA (A.). *Przytyk do pewnych polityk czyli Lustro satyryczne.* Pisma Przygodne, Opus Trzeci. Str. 37. (Wyd. Anatol Girs Press, Detroit, Mich. USA, 1952).

MEKARSKI (S.). *Przewrót obcy w kulturze polskiej.* Str. 19. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1952).

MIELERT (H.). *Russische Erde.* Str. 114. (Wyd. Reclam-Verlag, Stuttgart, 1950, Cena w opr. płó-ciennej DM. 5,80).

DIESEL (E.). *Philosophie am Steuer.* Str. 255. (Wyd. Reclam-Verlag, Stuttgart, 1952, Cena w opr. płócienną Dm. 12,80).

MUELLER (E.-J.). *Grundzuge der Stellung des Fluechtlings im geltenden Voelkerrecht.* Str. 63. (Wyd. Paulusdruckerei, Fryburg, Szwajcaria, 1952).

POROHY. *Miesięcznik literacko-artystyczny. Roczniki 1949-1950.* Buenos Aires, Argentyna).

"LIBELLA"

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St.-Louis-en-l'Île — PARIS-IV

Telefon: DANton 51-09

poleca :

H. SIENKIEWICZ : Ogniem i Mieczem (4 tomy)

" Pan Wołodyjowski (3 tomy)

" Potop (6 tomów)

" Krzyżacy (2 tomy)

" W pustyni i puszcy

Fl. CZARNYSZEWICZ : Nadberezyńcy

P. KALINA : Słownik polsko-francuski i fran-cusko-polski (2 tomy)

C. WIERZYŃSKI La Vie de Chopin

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Omawiając („Orzeł Biały”, nr 35/530 z 30. 8. 1952) przedmowę do pierwszego krajowego tomu „Kultury” napisałem:

„Nie odpowiada prawdzie twierdzenie przedmowy, że „służenie interesom Polski na emigracji polega przede wszystkim (podkreślenie moje) na współdziałaniu ze światem wolnych narodów w walce ze Związkiem Sowieckim i komunizmem”. Służenie interesom Polski na emigracji polega przede wszystkim na walce o niepodległość Polski, współdziałanie ze światem wolnych narodów jest natomiast konieczną pochodną tamtego głównego celu”.

P. Londyńczyk komentując („Kultura” nr 10/60, październik 1952) moje omówienie, przytoczył w cudzysłowie tylko pierwsze z dwu wyżej zacytowanych zdań i to nie ściśle, opuszczając mianowicie moje stwierdzenie, zawarte w nawiasie, że podkreśliłem od siebie słowo autorów przedmowy: „przede wszystkim” w tym zdaniu. Przyjawszy zaś tę metodę cytowania moich poglądów, p. Londyńczyk wysnuł z nich wniosek: „Okazuje się więc, że walka ze Związkiem Sowieckim i z komunizmem nie jest służeniem sprawie Polski”.

Jak świadczy przytoczony wyżej mój pogląd na omawiany fragment przedmowy, p. Londyńczyk nie miał żadnej rzeczowej podstawy do formułowania swojego wniosku, który nie znającemu mojej krytyki w „Orle Białym” czytelnikowi mógłby nasuwać przypuszczenie, że nie tylko nie wymienilem głównego celu emigracji, ale nadto uznałem za zbędne jej współdziałanie z wolnym światem w walce z Sowietami i komunizmem.

W związku z tym ustępem przedmowy, który mówi o przemianach w Kraju, napisałem w „Orle”:

„Obok przemian narzucanych przez okupanta, odbywają się w Kraju przemiany własne, rodzime, wynikające z charakteru narodu, jako organizmu żywego — i te są nieodwracalne. Ale redaktorzy przedmowy zachęcają, aby „nie zawsze” potępiać przemiany „w ukształtowaniu psychiki narodowej oraz życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego, jakie są i będą rezultatem... wpływów”, „które dziś oddziałują na życie Polski” i do których mamy „negatywny stosunek”. Tego nie podobna inaczej rozumieć, jak jako aprobatę lub co najmniej pogodzenie się „na zawsze” z pewnymi wpływami, które w życiu polskim utrwali okupant rosyjski...”

P. Londyńczyk wierny swemu obyczajowi cytowania, zreferował dwa ostatnie wyżej przytoczone zdania, opuścił natomiast pierwsze i sformułował swój wniosek: „...nie tylko zachęcamy, ale nawet kategorycznie się przeciwstawiamy potępieniu w czambuł przemian w kształtowaniu się psychiki narodowej w Kraju... Trzeba być pozbawionym wyobraźni i zdolności wczucia się w nurt życia własnego narodu — by powątpiewać w fakt, iż pewne zmiany zachodzące w Kraju mają charakter nieodwracalny...”

Znowu ta sama historia. Jak świadczy przytoczony wyżej mój pogląd na omawianą część przedmowy, p. Londyńczyk nie miał żadnej rzeczowej podstawy do formułowania swojego wniosku i związanego z nim, żenu-

jąco... studenckiego komentarza, w którym tak żwawo się rozpędził, że aż nie uprzytomnił sobie, iż używa mojej, a przez siebie w cytatach przemilczanej, terminologii o nieodwracalności pewnych przemian zachodzących w Kraju.

Już to, jeśli idzie o sprawę ostatnio poruszoną, nie oplaci się naprawdę trud pomawiania mnie o „potępienie w czambuł przemian”, które zaszyły i zachodzą w Kraju. Świadczy za mną w tej materii zbyt obfita dokumentacja od r. 1948 na zjazdach Ligi Niepodległości, w broszurach, w artykułach zamieszczanych w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”, w organie Ligi „Za Wolność i Niepodległość”, w wystąpieniach na forum Rady Narodowej od roku 1950, aby dziecinna i — co tu owijać w bawełnę — nieładna próba przekreślenia tej mojej, jak najbardziej konsekwentnej postawy mogła przekonać kogokolwiek, kto nie po nowicjuszowaku i od święta polemicznego zajmuje się sprawami Kraju.

Szczerze żaluję, że forma potraktowania przez p. Londyńczyka moich poglądów na przedmowę w krajowym tomie „Kultury” — zmusiła mnie do formalnej raczej, aniżeli merytorycznej odpowiedzi.

Jedna tylko uwaga na koniec merytoryczna. Nie jest słuszne twierdzenie p. Londyńczyka, „że nikt z nas na emigracji nie wie, jakie są wyniki... narzuconej rewolucji” po 13 latach różnorodnych zmian, jakie w Polsce zaszyły. Mogą nie wiedzieć o tych wynikach tylko ci, którzy od 13 lat są na obczyźnie, ale znają te wyniki ci — jakże liczni — Polacy, którzy w Kraju przeżyli wojnę, którzy w latach powojennych z Kraju uchodzili. Czyż nie jest świadomym wynikiem obcego przewrotu np. p. Werner, działacz polityczny, który w ostatnich miesiącach opuścił Kraj i podzielił się swoją wiedzą o tym przewrocie w wywiadzie, udzielonym w Londynie?

Prosząc o zamieszczenie niniejszego listu w „Kulturze”, łączę wyrazy poważania

Stefan MĘKARSKI

Londyn, 21 października 1952.

Szanowny Panie Redaktorze!

(...z wykrzyknikiem — z piętra polskiego, nie z przecinkiem — z piętra angielskiego; *sum cuique*). W numerze 10/60 „Kultury” uderzyły mnie szczególnie dwie sprawy: „Zachód a Polacy” w ostatnim ustępie „Z notatnika” niejakiego p. T. S. (?) oraz „Problem II-go Pokolenia” (dlaczego nie po prostu: „Problem drugiego pokolenia”?) pani Marii Krogh.

Jestem niewzruszenie przekonany, że jedną z głównych przyczyn braku wspólnego języka pomiędzy nową emigracją wojenno-inteligencką a dawną emigracją zarobkową w Ameryce jest nie „subiektywizowanie”, lecz niechęć, podejrzliwość, egoizm i dyskryminacja. Nie jest do pomysłenia bowiem, aby najliczniejsza i najbogatsza Polonia na świecie nie potrafiła wchłonąć tej garstki cudem ocalałej inteligencji, tak potrzebnej jej, sprawie polskiej i amerykańskiej. Raczy ją może przyjąć po — wynarodowieniu, zamerykanizowaniu, stępieniu, przesianiu, zniechęceniu! Proszę nie mieszać tego z pomocą materialną Polonii: w sprowadzeniu DP (nieproporcjonalnie mało w stosunku do innych narodowości!), w paczkach do kraju, w ufundowaniu kilku numerów „Kultury”.

Dalej sugeruje p. T. S. „kompleks imigranta czującego się słabszym w porównaniu z otoczeniem”. Jeśli ma to być prawdą, to chyba tylko pod warunkiem uzupełnienia przymiotnika „słabszy” przymiotnikiem „materialnie” (mowa ciągle o inteligentach). Lecz najwątliwszym wydaje się twierdzenie, „że negatywny stosunek do „niekulturalnej Ameryki” ulega radykalnej zmianie po kupnie pierwszego samochodu”. Jest to niewątpliwie wielkie uproszczenie.

Osobiście posiadam od 2 lat samochód, który jest dla mnie wyłącznie prawie balastem, ustawicznym ryzykiem życia i stratą pieniędzy. Muszę go mieć, mieszkając na prowincji. Będąc w dużym mieście, jeździłbym „subway’em” (znaczenie szybkiej i wygodnej), przeznaczając pieniądze z utrzymania wozu na większy zakup np. książek, zwłaszcza polskich. Posiadanie samochodu w niczym mnie nie uduchowiło ani przekonało do Ameryki więcej, niż przedtem.

Jeżeli już mowa o komunikacji, to dlaczego w szczytowym kraju pod tym względem opuszczany szlaban na przejeździe kolejowym jest omal nieznany? Wszędzie prawie zastępuje go dowiecny lecz mało skuteczny napis „Wypatruj i nadsłuchuj!”. Amerykę stać by było na złote szlabany, lecz nawet żelaznych nie ma, a skutki są katastrofalne. Najopływasze zaś lokomotywy koloru pomarańczowego biją w średniowieczny dzwon z równie niewielkim pożytkiem. Często też jest napis na głównych szosach górzystej Kalifornii (5 milionów aut!) „Uważaj na obsuwające się skały!”. Jakież to pomysły i — bezpieczne, nawet lepsze od najsolidniejszych umocnień, bo... tańsze (nie dla jeżdżących tamtędy). Czyż trzeba powtórzyć truizm, iż w wypadkach samochodowych zginęło więcej Amerykanów, niż we wszystkich wojnach od początku świata. Ot — drobne głupstwka, śmiertelne.

Pani Maria Krogh pisze w swoim liście, że żyje na dwóch „piętrach”: polskim i brytyjskim, podobnie jak ja — na polskim i na amerykańskim. Lecz zupełnie niepodobnie reagujemy. Autorka listu przynosi brytyjskie pisma, zagadnienia, sztukę, politykę, prąd i myśli, teatr, artykuły, sprawy — nad polskie.

Ja czytuję przeszło 20 pism angielskich (mam je za darmo w miejscu pracy) i 7 pism polskich (abonuję je uczciwie). Pierwsza autorka dobrze zna, drugie wymienię, gdyż p. Krogh twierdzi z ukłonem w stronę „Kultury”, że poza nią nie ma ani jednego polskiego czasopisma, które poruszałoby sprawy poświęcone zagadnieniom współczesnym. Oto one: „Wiedomości”, „Życie”, „Orzeł Biały”, „Sprawa Polska”, „Dziennik Polski” (londyński) i lokalny „Polak w Kalifornii”. Oczywiście nie wszystkie są na miarę „Time” lub nawet „Kultury”, ale nie drukują też wyłącznie samych „pamiętników niebohaterskich”. Czytam je znacznie chętniej niż amerykańskie, nierzadko pełne bzdur.

Interesuje mnie też więcej gładka i rozsądna zmiana prezydenta nieistniejącej Polski, niż burzliwy, kłótlivy, chaotyczny i zawsze niewiadomy wybór prezydenta USA. Również znacznie bardziej interesuje mnie... zgoda, polska, niż niezgoda... egipska! Bo zgodny rząd polski lepiej dopilnuje spraw polskich, niż najlepszy rząd amerykański. Gdyby punkt widzenia p. Krogh, że nie prawie od nas nie zależy, a wszystko od innych — był słuszny, to jeżeli wynik ostatniej wojny nie zależał od nas, po co mieszałibyśmy się do tego, przyjmując ją i bijąc się na całym świecie oraz robiąc Powstanie Warszawskie?

Autorka tak kontrowersyjnego listu pisze wreszcie, że obcy autorzy poruszają zagadnienia jednostronnie i, że polscy autorzy też stroniczo podchodzą do spraw. Ale tylko polscy autorzy wprowadzają czytelnika w błąd, nie robią tego zaś obcy. Coś to niejasno, chyba, że „gdy dwóch robi to samo, to niekoniecznie jest to samo”. Wydaje mi się, że pani Maria Krogh jest jeszcze na „polskim piętrze” tylko małym palcem lewej nogi...

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku

S. L. LEWICKI
Los Gatos, California

List otwarty do Witolda Gombrowicza

Szanowny Panie:

Blisko rok — bo, od czasu ukazania się „Trans-Atlantyku” na łamach „Kultury”, wczytuję się w myśli Pana z największym zainteresowaniem. Trans-Atlantyk był dla mnie i wielu z tych, których głosu nie ma na szpaltach piśm pierwszą skryzlowaną reakcją na pusty świat podniosłych, a trupim odorem zalatujących idei. Moim zdaniem w nich należy się również doszukiwać powodów osłabienia zaufania dołów do warstwy górnej naszego emigracyjnego społeczeństwa. Stara Gwardia (nieraz tak bywają określane te osoby) pomimo uderzeń bezlitosnego młota czasu trzyma się kurczowo przebrzmiałych koncepcji, które budzą już nie dynamizm — ale szkodliwą melodię kołyszającą nas z jednej tragicznej klęski w objęcia drugiej. Nie, nie mam bynajmniej zamiaru twierdzić, że ta rozbieżność między słowami, a następującą po nich akcją występuje tylko u elity przewodzącej. Tak jak to Pan słusznie zauważył w poezji — tak i tu, nacisk ogółu, czy góry odbija się na innych.

Br..., o ile wstrętniejsze są te, bez żadnego umiaru powtarzane, tabu na ustach osób uspołecznionego dołu, różnych prezesów i innych ważnych, prowincjonalnych osobistości.

Najczęściej używane słowa w naszym życiu organizacyjnym to chyba: „praca społeczna”, „budowanie Polski wszędzie i na każdym miejscu”, oraz „poświęcanie się”. Nic dziwnego że potem nie wiele więcej robimy. Zgodnie z zasadą psychologiczną im więcej się mówi, tym bardziej osłabia się motoryzm — energię pochłonęły słowa.

Jednostki nie ukolysane jeszcze zupełnie tą ogólną presją, trzeźwiej widzące nasz patos, są gotowe robić wszystko z obrzydzenia: uciec z ghetta polskiego, dla samego kontrastu obwołać się antyspołecznikiem, byle na ten sposób nie pracować i poświęcać się.

Nie rzadkie, podobne zjawiska w naszym życiu, pomimo że odbiegły trochę od Pana tematu ściśle zajął się z Pana oświadczeniem: że my jako Polacy jesteśmy synami słabości, choroby i niedorozwoju; oraz że trzeba bronić Polaków przed Polską. Ponieważ gdybyśmy Jej wpływom mniej ulegali mielibyśmy odwagę nazwać rzeczy bardziej po imieniu. Ba, przyznać się do tej prostej prawdy że robimy tylko to co musimy, lub lubimy. Wśród cudzoziemców pozbyli się mitu anegdotek o słoniu i Polsce, natomiast wszędzie zyskali na zaufaniu i prawdopodobnie nie tak często kończyli na gadaniu. Przy czym jeżeli nawet ktoś byłby wzięty za ego-centryka i egoistę tym naszego wspólnego celu też by nie odsunął, bo w nim leży i jego interes.

M. D. ADAMSKI
Toronto, Ont. (Kanada)

Wielmożny Panie Redaktorze!

Byłbym wielce wdzięczny, gdyby Pan redaktor raczył w swoim piśmie umieścić wzmiankę, że przestałem zasilać miesięcznik „ZACZYN” z Londynu moimi pracami i uwagami.

Powodem jest sprawa następująca:

W roku 1951 jeszcze rozesłałem do kilku pism referat na temat potrzeby zmiany lub uzupełnienia polityki polskiej, reprezentowanej przez rząd na emigracji. Referat złożony z dwóch obszernych części zaopatrzyłem zastrzeżeniem, że może być przedrukowany jedynie jako całość. Między innymi posłałem referat do już obecnie nie istniejącego pisma „Od

A do Z” przy którym istniał podobno klub dyskusyjny. Nie oczekiwałem przedruku lecz dyskusji i w jej wyniku krytyki.

W styczniu tego roku zostałem zawiadomiony przez p. E. Różyckiego, że zakłada nowe własne pismo pt. „ZACZYN”, w którym da przedruk mego referatu z minimalnymi skrótami niezbędnymi dla lepszego zrozumienia treści. Bardzo byłem ucieszony nieoczekiwaną możliwością bezpośredniego dotarcia do Czytelników.

W rzeczywistości, wbrew moim zastrzeżeniom i wbrew treści listu mi przysłanego, p. Różycki wyrwał z całości referatu dwa wyjątki i, pozabawiając je związku z całością, osiągnął efekt akurat odwrotny od tego, dla jakiego były pisane.

Zasadnicza treść referatu bowiem miała za cel dowiedzieć, że nie wystarczy myślenie o obronie niepodległości i jej odzyskaniu tylko środkami wojennymi, że należy wykorzystać w stopniu nie mniejszym wszystkie pokojowe środki i koniunktury i — dla podparcia tej tezy — jako przykłady — poruszyłem, obok innych, sprawę potencjału zbrojeniowego Śląska i sprawę ugody polsko-ukraińskiej pod nazwą „Odra-Don”. W wywodach opuszczonych przez p. Różyckiego usiłowałem wykazać możliwość powstania takiej koniunktury, w której obie te sprawy będą koniecznością obrony pokoju możliwą do realizacji środkami polityki pokojowej — bez wojny.

W formie wyjątków, bez tła, p. Różycki wywołał mniemanie, że chodzi o „mocarstwowy imperializm” możliwy do realizacji tylko środkami zwycięskiej wojny, a broniący fałszywą frazeologią pokojową. Jako sprawdzian szkodliwego i fałszywego skutku efektu tych wyjątków wyrwanych z całości służy powoływanie się na moje argumenty właśnie tych czynników, które nie wyleczyły się ze szkodliwego gadulstwa mocarstwowego. Szkodzi to sprawie Polaki i dobremu memu imieniu. Niestety nie odniosły skutku moje prośby, skierowane do redaktora „ZACZYNU”, by Czytelników wyprowadził z błędu co do intencji autora.

Nie mogąc się bronić w inny sposób przedkładam niniejszą prośbę. Zarazem składam z góry serdeczne podziękowanie i łączę wyrazy szacunku i poważania.

Władysław DIAMAND
Monte-Alegre-Lagoa, Parana
Brasylia

Szanowny Panie Redaktorze,

Po pojawieniu się mojego listu we wrześniowym zeszycie „Kultury”, w odpowiedzi na uwagi p. Michała Sambora o „I.K.C.”, zwrócono mi uwagę na fakt, że spostrzeżenia moje co do składu redakcji „Dziennika Polskiego” w Londynie nie są dokładne. Już po wysłaniu listu mojego zorientowałem się, że pominąłem p. Karola Zbyszewskiego, w którego talenty dziennikarskie nikt nie ma prawa wątpić. Na tym wszakże nie kończy się lista moich przewinień. Oto okazuje się, że stałym współpracownikiem „Dziennika Polskiego” jest od pewnego czasu Dr Ludwik Rubel, przed wojną czołowy publicysta koncernu „I.K.C.”. Przepraszam Ludwika Rubla, dawnego kolegę, któremu tyle zawdzięczam jeżeli chodzi o możliwość poznania zagadnień polityki zagranicznej i którego życzliwość dla wszystkich, nieco młodszych kolegów w „I.K.C.”, nikt z nas nie zapomni, za tego rodzaju, na pewno nieświadczone, przeoczenie.

Londyn, 6.X.1952.

Zbigniew GRABOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie tak dawno „Życie Warszawy” zajęło się moją osobą z okazji jakiejś audycji, nadanej przez „Radio Wolnej Europy”. Autor artykułu w „Życiu”, niejaki p. Wilczek, wylewa cały kubel pomysł na moją głowę, twierdząc, że w owej audycji doradzałem jakoby gromadzenie złota i innych kosztowności. Zdziwiło mnie to o tyle, że nigdy jeszcze nie pisałem żadnej audycji dla „Radia Wolnej Europy” i zresztą, muszę lojalnie przyznać, że nigdy się do mnie z żadnymi propozycjami o pisanie audycji z tej strony nie zwracano. Ponadto — nie wchodząc w dyskusję nad audycją, której treści nie znam, chciałbym stwierdzić, że nigdy jeszcze nie miałem złotego zęba, a cóż dopiero zapasu złota. A nie potrafiłbym doradzać komuś, aby robił to, czego ja sam zrobić nie umiałem.

Starłem się sprawdzić informacje „Życia Warszawy”, gdyż o ile wiem, jestem jedynym za granicą polskim dziennikarzem o nazwisku Prądzynski. Okazało się oczywiście — jak się tego spodziewałem — że autorem audycji wcale nie byłem, ja, ale p. Karol PRĄDNICKI.

Warszawa tak skrzętnie zagłusza audycje Radia Wolnej Europy, że w rezultacie sami pp. Wilczkowie nie wiedzą co się dzieje i nie wiedzą co mówią i piszą.

Jerzy PRĄDZYŃSKI

PREUVES

Revue Mensuelle

publie dans son numéro de Novembre
21

NICOLAS CHIAROMONTE
Le Temps de la Mauvaise Foi

GEORGES GLASER
Enquête sur la situation des ouvriers allemands en France

RENEE LANG
Lettres inédites de Rilke, Gide et Valéry

ANDRE PHILIP
Souvenirs sur Gandhi

IGNAZIO SILONE
Etat confessionnel, Etat totalitaire

ANDRE VARAGNAC
L'Europe à la recherche de son histoire

ANDRE GARMAND
Le Caucase ou une civilisation expropriée
HENRY POULAILLE — ANGUS WILSON
Zola hier et aujourd'hui

PREUVES : 41, Av. Montaigne — Paris (8^e) — CCP 178.00
le N° de 80 p. ill. Etranger : 120 Frs. France : 90 Frs
NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE

NOTY BIBLIOGRAFICZNE AUTORÓW

(dok. ze str. 2)

„Klub Trzeciego Miejsca”, w 1951 „Ziele na Kraterze”. W tece trzytomowe dzieło o żydostwie i „Przywództwo w Międzyepoce”. W druku 400-stronicowa powieść „Dwa Pokolenia”, w przygotowaniu duża powieść „Trzecie Pokolenie”.



Manès SPERBER, ur. w 1905 w Zapłotowie. Przez 10 lat jeden z najbliższych współpracowników Alfreda Adlera. W tym samym czasie brał czynny udział w życiu rewolucyjnym. Aresztowany przez Gestapo w Berlinie, gdzie wykładał od 1927 roku psychologię, po 7-miu tygodniach został uwolniony na skutek interwencji polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Następnie przebywał w Wiedniu, Jugosławii i wreszcie w Paryżu. Od r. 1946 do 1948 pracował w gabinecie André Malraux, w tym czasie ministra Informacji. Wydał następujące książki: *Et le buisson devint cendre*, *Plus profond que l'abîme* oraz *...qu'une larme dans l'océan*. W przygotowaniu *La Baie perdue*.

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZYŃNIE

Największa na emigracji

KSIĘGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gl. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIĄŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE
własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

PLON

Un grand livre

LA SECONDE CHANCE

par

C. V. GHEORGHIU

Roman traduit du roumain par LIDIA LAMOURE

*« Cette seconde chance
qu'est la terre d'Occident. »*

L'auteur de *LA VINGT-CINQUIÈME HEURE* nous présente une fresque encore plus saisissante du monde de la Terreur et de l'Absurde auquel conduisent le déchaînement des fanatismes politiques, la division du monde contemporain en deux blocs monolithiques entre lesquels risquent fort de périr l'individu, la personne humaine, la liberté, le droit de chaque homme à la vie.

Collection « FEUX CROISÉS »

In-16 690 fr.

PLON

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4^e trimestre 1952.

Ankieta «Kultury»

«Nasze życie na emigracji»

Zarówno w sensie historycznym, politycznym, socjologicznym jak i kulturalnym — obecna emigracja jest poważnym wydarzeniem w dziejach naszego narodu. Równocześnie, zjawisko to w dużej mierze jest sumą niewiadomych. W prasie polskiej mówiąc o emigracji operujemy ogólnikami, „sztancami” i jakże często frazesami. W wolnym świecie wybory do parlamentu, do przedstawicielstw samorządowych, organizacji politycznych czy zawodowych, ankiety i studia przeprowadzane przez instytucje naukowe — dostarczają bezcennego materiału, który opracowany socjologicznie pozwala tętnić treść i sens w takie ogólniki jak np. „angielska klasa robotnicza”, „młodzież amerykańska” czy „zawodowa praca kobiet”.

Natomiast my żyjemy rozproszeni po wszystkich częściach świata, wśród obcych, i tworzymy odcięte od siebie ugrupowania, które praktycznie biorąc, nic o sobie nawzajem nie wiedzą. Niewątpliwie zupełnie inaczej układa się życie Polaków w Anglii czy we Francji a inaczej w Argentynie czy w Australii.

Ankieta „KULTURY” ma służyć dwójkiemu celowi:

1. Pragniemy lepiej poznać się nawzajem i dowiedzieć się czegoś więcej o nas samych. Musimy informować się o naszym życiu, jeżeli pragniemy w pełni rozumieć jedni drugich i w miarę możliwości nieść sobie pomoc.

2. Przebywamy na emigracji już od 13 lat. W tym okresie zaszły w świecie olbrzymie przemiany. Jest rzeczą kardynalnego znaczenia ustalić, choćby w ogólnych zarysach, po jakiej linii idzie rozwój poglądów emigracji. Czy jesteśmy za reformami i przebudową — czy jesteśmy zwolennikami programu federacyjnego, czy jesteśmy gotowi wziąć udział w odbudowie polskich formacji wojskowych, a jeżeli tak — to na jakich politycznych warunkach? To są sprawy zasadniczego znaczenia i im pełniej poznamy nasze poglądy w tych dziedzinach, tym realniej będziemy mogli planować i tym mniej napotkamy rozczarowań na naszej drodze.

Redakcja "KULTURY" zapewniła sobie fachową współpracę polskich socjologów, którzy przestudiują i opracują materiał ankietowy zarówno pod względem statystycznym jak i socjalno-psychologicznym. Zespół redakcji "KULTURY" opracuje wyniki ankietowe w świetle polskiej problematyki politycznej. Wszystko zależy od tego, ilu Polaków na emigracji weźmie udział w naszej ankiecie. Wnioski i opracowania będą tym prawdziwsze, tym wierniej odzwierciedlać będą rzeczywistość, im więcej Polaków na obczyźnie doceni wagę inicjatywy "KULTURY" i nadesłanie w terminie starannie wypełniony kwestionariusz. Jesteśmy polskim pismem finansowo i politycznie całkowicie niezależnym, sądzimy przeto, że zasługujemy na pełne zaufanie.

Układ kwestionariusza jest prosty. Na większość pytań odpowiada się po prostu przez postawienie "X" w odpowiedniej rubryce. Np. Pytanie 19:

Gdzie Pan(i) był podczas wojny?

- a. w Polsce X
- b. w Niemczech X
- c. w Rosji
- d. na emigracji

Jeżeli pan Z. był np. przez 3 lata w Warszawie a następnie wywieziony został do obozu koncentracyjnego w Niemczech — postawi oczywiście "X" w dwóch rubrykach, jak wskazano powyżej. Pytania są z konieczności uproszczone. Dlatego bardzo są pożądane komentarze, które dodadzą ankiecie koloru i głębi. Komentarz należy zaopatrzyć numerem pytania ankietowego.

Regulamin ankiety

1. Tekst kwestionariusza ankietowego wydrukowany jest w niniejszym numerze oraz dołączony w formie broszurowanej do każdego numeru wrześniowego "KULTURY". Kwestionariusze ankietowe kolportowane będą również niezależnie, by umożliwić jak największym rzeszom Polaków na obczyźnie, wzięcie udziału w naszej ankiecie,

2. O wzięcie udziału w ankiecie proszeni są wszyscy Polacy przebywający na emigracji bez różnicy wieku. Ankietę dostępna jest zarówno dla prenumeratorów i czytelników "KULTURY" jak i dla tych, którzy naszego pisma nie czytają i nie kupują.

3. Odpowiedzi ankietowe należy nadsyłać pod adresem: "KULTURA", 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise), France. Termin zamknięcia ankiety: 31 grudzień 1952.

4. Odpowiedzi ankietowe mogą być podpisane imieniem i nazwiskiem lub mogą być anonimowe.

5. Biorący udział w ankiecie proszeni są usilnie o odpowiedzi na wszystkie pytania. Będą jednak przyjmowane kwestionariusze wypełnione tylko częściowo.

6. Opracowania i wyniki ankiety ukażą się w kolejnych numerach "KULTURY" po przestudiowaniu całości nadesłanego materiału.

Liczymy że prenumeratorzy i czytelnicy, doceniając znaczenie ankiety, nie tylko sami wezmą w niej udział, ale zainteresują nią wszystkich swych znajomych.

Kwestionariusz

0. mężczyzna kobieta

1. W jakim kraju Pan(i) mieszka?

2. Jestem tutaj od lat miesięcy

3. Czy w kraju w którym Pan(i) obecnie mieszka ma Pan(i) szanse zrealizowania swoich ambicji życiowych?

- a. tak
- b. nie

4. Czy zdaniem Pana(i) Polacy mogą się nauczyć czegoś cennego od mieszkańców kraju w którym Pan(i) mieszka?

- a. tak
- b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o dłuższą odpowiedź na osobnej kartce.

5. Czy zdaniem Pana(i) istnieje coś cennego czego mieszkańcy kraju w którym Pan(i) mieszka mogliby się nauczyć od Polaków?

- a. tak
- b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o dłuższą odpowiedź na osobnej kartce.

6. Czy zna Pan(i) jakieś książki napisane w języku kraju w którym Pan(i) mieszka, które zdaniem Pana(i) warto by przetłumaczyć na język polski?

- a. tak
- b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o konkretne sugestie na osobnej kartce — będziemy wdzięczni za uwagi dlaczego zdaniem Pana(i) dana książka zasługuje specjalnie na przetłumaczenie.

7. Czy zna Pan(i) jakieś polskie książki (wydane przed wojną lub po wojnie), które zdaniem Pana(i) warto by szczególnie przetłumaczyć na język kraju, w którym Pan(i) mieszka?

- a. tak
- b. nie

Jeśli Pan(i) odpowie "tak" prosimy o konkretne sugestie na osobnej kartce. Będziemy wdzięczni za uwagi dlaczego zdaniem Pana(i) dana książka zasługuje specjalnie na przetłumaczenie.

8. W jakim jest Pan(i) wieku

9. Stan cywilny:

a. żonaty (zameężna)

Z osobą narodowości polskiej

Z osobą narodowości obcej Jakiej?

b. samotny(a)

c. wdowiec(a)

d. rozwiedziony(a)

10. Czy Pan(i) często czuje się osamotniony(a)?

a. ciągle

b. często

c. czasem

d. rzadko

e. nigdy

11. Wśród jakiej z niżej podanych narodowościowych grup chciałby Pan(i) spędzić następne dwa lata emigracji?

a. Polacy

b. mieszkańcy kraju w którym jestem

c. Europejczycy z Zachodniej Europy

d. Europejczycy "spoza żelaznej kurtyny"

Dlaczego? (prosimy o odpowiedź na osobnej kartce).

12. Jaki jest Pana(i) zawód?

13. Jeśli jest Pan(i) studentem co Pan(i) studiuje?

..... w jakiej uczelni

14. Czy Pan(i) pracuje?

a. stale

b. dorywczo

c. nie pracuje

15. Jeśli Pan(i) odpowiedział(a) (a lub b) — prosimy o podanie gdzie Pan(i) pracuje:

a. w fabryce

b. w biurze

c. wolny zawód

d. handel

e. inne

16. Czy dochody Pana(i) pozwalają

a. jedynie na utrzymanie się przy życiu

b. niewystarczające nawet do utrzymania się przy życiu

c. na rozwój kulturalne (teatr, książki, kino, podróże)

d. na zaoszczędzenie pieniędzy (lub kupno domu, auta, mebli, itd.)

e. na bardzo wygodne życie

17. Jakie jest Pana(i) wykształcenie?

Ukończona

a. szkoła powszechna w Kraju Zagranicą

b. szkoła zawodowa w Kraju Zagranicą

c. gimnazjum w Kraju Zagranicą

d. uniwersytet w Kraju Zagranicą

18. Jaka jest Pana(i) religia?

a. Katolicka

b. Protestancka

c. Mojżeszowa

d. Inne

e. Niewierzący

19. Gdzie Pan(i) był(a) podczas wojny?

a. w Polsce

b. w Rosji

c. w Niemczech

d. na emigracji gdzie?

e. inne możliwości

20. Czy był Pan(i) w:

a. niemieckim obozie koncentracyjnym jak długo

b. rosyjskim obozie pracy jak długo

c. na przymusowych robotach w Niemczech... jak długo

d. na przymusowych robotach w Rosji jak długo

e. w więzieniu niemieckim jak długo

f. w więzieniu rosyjskim jak długo

g. w innych więzieniach lub obozach jakich

jak długo

h. w obozie jenieckim jak długo

21. Jak Pan(i) ocenia swoje poglądy polityczne?

a. prawicowo-konserwatywne

b. lewicowe

c. liberalne

d. inne

e. nieskrystalizowane

22. Jaki jest Pana(i) stosunek do: Rządu Polskiego na wygnaniu?

Jaki jest Pana(i) stosunek do: Rady Politycznej?

Jaki jest Pana(i) stosunek do Komitetu Demokratycznego (Mikołajczyk)?

23. Czy należy Pan(i) do jakiejś partii czy ugrupowania politycznego?

24. Jakie Pan(i) czyta/prenumeruje polskie pisma emigracyjne?

25. Czy pragnąłby Pan(i) służyć w Polskich Siłach Zbrojnych gdyby odtworzono je na obczyźnie?

26. Gdyby Pan(i) mógł wyemigrować do jakiegoś innego kraju — czy zdecydowałby się Pan(i) wyemigrować czy raczej zostać w kraju w którym Pan(i) obecnie mieszka?

- a. wyemigrowałbym do
b. pozostałbym na miejscu

27. A teraz prosimy o krótki statystyczny opis kilku osób, które Pan(i) uważa obecnie za najlepszych przyjaciół (nr "1" oznacza "przyjaciół 1" itd.):

a. mniej więcej w tym samym wieku

1 2 3 4 5

b. dużo starszy(a)

1 2 3 4 5

c. dużo młodszy(a)

1 2 3 4 5

d. narodowość polska

1 2 3 4 5

e. narodowość kraju w którym mieszkam

1 2 3 4 5

f. inna obca narodowość

1 2 3 4 5

g. mieszkamy w tym samym mieście (wsi)

1 2 3 4 5

h. studiuje to samo co ja

1 2 3 4 5

i. pracuje tam gdzie ja

1 2 3 4 5

j. należy do tego samego klubu, organizacji, towarzystwa, itp.

1 2 3 4 5

k. ile razy na miesiąc widuje się Pan(i) z nim (nią)

1 2 3 4 5

28. Gdzie chciałby Pan(i) mieszkać w przyszłości (po zmianie obecnego reżimu w Polsce)

a. w kraju gdzie obecnie mieszkam

b. W innym kraju zagranicą

c. W Polsce o ustroju takim jak przed 1939 r.

d. W Polsce wchodzącej w skład Federacji Europejskiej

Dlaczego? (odpowiedź na osobnej kartce).

29. Czy Pan(i) uważa, że Polacy raczej powinni czy nie powinni przyjmować obce obywatelstwo?

a. powinni

b. nie powinni

Dlaczego? (odpowiedź na osobnej kartce).

30. Czy Pan(i) kiedykolwiek słyszał(a) o ideach Federacji Europy, o Rządzie Światowym, Międzymorzu itp. koncepcjach?

a. tak

b. nie

31. Jeśli Pan(i) odpowiedział(a) "tak", prosimy o odpowiedź:
a. kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się o tych koncepcjach

b. z jakich źródeł

32. Czy Pan(i) jest za czy przeciwko stworzeniu Federacji Europejskiej?

a. za

b. przeciwko

Dlaczego? (Wszelkie komentarze na ten temat dostarczą bardzo cennego i ciekawego materiału. Prosimy się nie krępować ewentualną długością nadsyłanych komentarzy).

33. Gdy Pan(i) obecnie patrzy wstecz, czy uważa Pan(i) swoje lata spędzone w Polsce za:

a. szczęśliwe

b. nieszczęśliwe

Dlaczego? (Odpowiedź na osobnej kartce).



KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Cornelle, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1-rocza	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Skladnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A.1.7.6.	£A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Czaky, 62, Vandrekinder, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz.	90 cruz.	150 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; «Związkowiec» (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Cullacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 168/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lusanne, Genève, Tel. 2-23-58	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, «Gryf Publ.», 808 Wager St., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dżewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyprowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokołowski, 4856 E. Stiles St Philadelphia 37, Pa.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Cornelle, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 4.000 fr. 1/2 strony 6.000 fr. fr.



W bieżącym miesiącu ukaże się
III Zeszyt Krajowy „KULTURY”

pt.:

SOWIETYZACJA KULTURY W POLSCE

Cena egz. — 800 fr.



Poprzednie Zeszyty Krajowe „KULTURY”

pt.:

Ramy życia w Polsce

są jeszcze do nabycia w Redakcji „KULTURY”
i w przedstawicielstwach

w cenie: T. I-szy — 750 fr. i T. II-gi — 500 fr.



W najbliższym czasie ukaże się nakładem
„KULTURY” książka Witolda GOMBROWICZA,
zawierająca dwa jego utwory

TRANS-ATLANTYK I ŚLUB

z przedmową Józefa WITTLINA



Wydana nakładem „KULTURY” broszura

Jana Kowalika

POLONICA NIEMIECKIE

za czas od 1 września 1939 do 31 grudnia 1948 roku
jest do nabycia w Redakcji i w przedstawicielstwach
w cenie 100 fr. za egz.